

KAŻDY WERS JEST JAK ZAKŁĘCIE.

V.E. SCHWAB

# NASZE MROCZNE SERCA



MELISSA ALBERT

must read

MELISSA ALBERT

NASZE  
MROCZNE  
SERCA

Tłumaczyła  
MONIKA WIŚNIEWSKA

**must read**



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

## **CZĘŚĆ I**

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty  
Rozdział dwudziesty  
Rozdział dwudziesty pierwszy  
Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci  
Rozdział dwudziesty czwarty  
Rozdział dwudziesty piąty  
Rozdział dwudziesty szósty  
Rozdział dwudziesty siódmy  
Rozdział dwudziesty ósmy  
Rozdział dwudziesty dziewiąty  
Rozdział trzydziesty

## **CZEŚĆ II**

Rozdział trzydziesty pierwszy  
Rozdział trzydziesty drugi  
Rozdział trzydziesty trzeci  
Rozdział trzydziesty czwarty  
Rozdział trzydziesty piąty  
Rozdział trzydziesty szósty  
Rozdział trzydziesty siódmy  
Rozdział trzydziesty ósmy  
Rozdział trzydziesty dziewiąty  
Rozdział czterdziesty  
Rozdział czterdziesty pierwszy  
Rozdział czterdziesty drugi  
Rozdział czterdziesty trzeci  
Rozdział czterdziesty czwarty

## **CZEŚĆ III**

Rozdział czterdziesty piąty

Rozdział czterdziesty szósty

Rozdział czterdziesty siódmy

Rozdział czterdziesty ósmy

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Rozdział pięćdziesiąty

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału  
*Our Crooked Hearts*

Copyright © 2022 by Melissa Albert

All rights reserved

Copyright © 2023 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki

Jim Tierney

Opracowanie polskiej wersji projektu okładki i łamanie

Andrzej Komendziński

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.

Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

ISBN 978-83-8265-549-0

Must Read jest imprintem wydawnictwa

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

[wydawnictwo@mediarodzina.pl](mailto:wydawnictwo@mediarodzina.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Dedykuję mojej wspaniałej, kochającej bezwarunkowo matce,  
która nie jest matką z kart tej powieści.  
Gdybym kiedyś umieściła Cię w swojej książce,  
byłabyś główną bohaterką.*

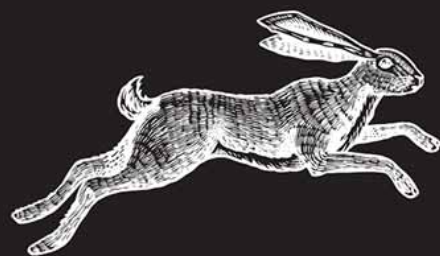


„Senny koszmar to sprawka czarownic”.

ELIZABETH WILLIS, *The Witch*



# CZĘŚĆ I





# ROZDZIAŁ PIERWSZY



Przedmieścia

*Teraz*

JECHALIŚMY ZA SZYBKO. Zbyt blisko drzew, a porastające pobocze chwasty omiatały nasze reflektory.

– Nate. – Zacisnęłam dłonie na krawędzi fotela. – Nate.

Piętnaście minut temu bawiliśmy się na imprezie z okazji końca roku szkolnego. Skakaliśmy jak szaleni, a ja przez cały czas myślałam, że powinnam z nim zerwać. Teraz powinnam to zrobić. Muszę z nim teraz zerwać. Tyle że wtedy on ujął moją twarz i oświadczył, że mnie kocha, a ja byłam zbyt zaskoczona, aby powiedzieć choćby półkłamstwo.

Wyszłam za Nate'em z domu i wsiadłam do jego samochodu, a z moich ust nieprzerwanie wylewały się te wszystkie nic niewarte słowa, które się wypowiada, kiedy zraniło się czyjeś ego, choć ten ktoś uważa, że serce. Zbyt energicznie wrzucił wsteczny, następnie stoczył się niezgrabnie z krawężnika, a mimo to dopiero przecznicę dalej dotarło do mnie, że jest pijany.

Na światłach sprawdzał coś w telefonie. Przez kilka pełnych napięcia sekund zastanawiałam się, czy nie wyskoczyć z auta. Chwilę później znowu jechaliśmy, a z głośników dudnił stary kawałek *Bright Eyes*, rozrywany na strzępy przez wiatr. Muzyka zająknęła się, kiedy Nate skręcił w kluczącą przez rezerwat leśny jednopasmową drogę. Drzewa napierały na nas z obu stron, a twarz smagały rozwiewane wiatrem włosy. Zamknęłam oczy.

Nagle Nate krzyknął – nie było to słowo, lecz przenikliwa, zaskoczona sylaba – i skręcił gwałtownie w prawo.

Tej chwili między skrętem a zatrzymaniem się towarzyszył stan nieważkości, tak jak podczas jazdy w dół kolejką górską. Poleciałam do przodu i moje usta zderzyły się z deską rozdzielczą.

Oblizawszy je, poczułam krew.

– Co to było, do cholery?!

Nate zgasił silnik i ciężko oddychając, wychylił się, aby spojrzeć przez szybę od mojej strony.

– Widziałaś to?

– Ale co?

Otworzył drzwi.

– Wsiadam.

Samochód stał w poprzek wąskiego pasa między drogą a drzewami.

– Tutaj? Serio?

– Jak chcesz, to zostań – rzucił i trzasnął drzwiami.

W uchwycie między fotelami stał kubek Taco Bell z wodą pozostałą po rozpuszczonych kostkach lodu. Przepłukałam nią usta, otworzyłam drzwi i wyplułam krew na trawę. Czułam, że wargę zdążyła już nieźle spuchnąć.

– Hej! – zawołałam. – Dokąd idziesz?

Nate zapuszczał się właśnie między drzewa.

– Chyba tędy poszła.

– Ona? Kto?

– Jak mogłaś jej nie widzieć? Stała na środku drogi. – Zawahał się. – Zupełnie goła.

Wstrzymałam oddech. Przez moją głowę przemknęły sytuacje, które mogły doprowadzić dziewczynę do wylądowania w lesie o trzeciej w nocy, nagej i zupełnie samej. Ostre źdźbła trawy dźgały mnie w golenie, gdy udałam się w ślad za Nate'em.

– Znasz ją? Była ranna?

– Ćśś. Patrz.

Zatrzymaliśmy się na wzniesieniu nad wijącym się między drzewami strumieniem, który zależnie od opadów mógł być albo płytki jak kałuża, albo tak głęboki, żeby się dało płynąć kajakiem. Teraz woda sięgała mniej więcej pasa i kłębiła się pod niepełną tarczą Księżycyca. Wiedziałam o tym dlatego, że dziewczyna, za którą tu przyszliśmy, klęczała w wodzie, zanurzona aż po łopatki.

Rzeczywiście była naga. Włosy przedzielone pośrodku miała tak długie, że płynąca woda ciągnęła jej głowę w tył. Nie widziałam twarzy, natomiast reszta ciała była intensywnie biała. W pobliżu nie znajdowało się nic, co by sugerowało, że nie spadła na Ziemię z jakiejś gwiazdy albo nie wyłoniła się ze szczeliny w górskim zboczu. Żadnych butów na brzegu ani telefonu na złożonym T-shircie. To wyglądało niemal jak scenka ze snu.

Jej dłonie przesuwaly się po ciele w wyjątkowo aseksualny sposób: szczypały skórę, klepały ją, jakby siłą przywracały jej czucie. Dziewczyna wydawała przy tym gardłowe dźwięki, których z niczym nie potrafiłam utożsamić. Może ewentualnie z płaczem.

Prawie zdążyłam zapomnieć o Nacie, lecz w tym momencie on szturchnął mnie łokciem w żebra i wyszczerzył się złośliwie. Kciukiem uruchomił w telefonie latarkę i uniósł go przed sobą niczym pochodnię.

Kiedy dziewczyna odwróciła głowę, zobaczyłam, że jest mniej więcej w naszym wieku, może ciut starsza, ma szeroko otwarte oczy, a kąciaki ust wygięte w uśmiechu. Czyli wcale wcześniej nie płakała. Śmiała się.

Nate chciał, aby poczuła się obnażona, wiedziałam jednak, że tak naprawdę robi to z mojego powodu – jego zachowanie było paskudne, a w tej akurat chwili chciał być paskudny. Poszłabym stąd sobie, tyle że na jej miejscu bardziej bym się wystraszyła, gdybym się przekonała, że gościowi z telefonem nikt nie towarzyszy. No i może potrzebowała pomocy. Już, już miałam ją zaoferować, kiedy odezwała się pierwsza.

– Wyłażcie. – Głos miała niski, niewyraźny, akcent trudny do określenia. Kolejne słowa nabrały śpiewnej intonacji wznoszącej: – Wyłażcie, wyłażcie, kimkolwiek jesteście.

Podniosła się z kolan niczym leśna Wenus. Brudna woda spływała jej z włosów wzdłuż ciała, obmywając busz rodem z lat siedemdziesiątych. Zagwizdała, a dźwięk ten był świdrujący i wyraźny.

– Powiedziałam, żebyście się pokazali, skurwysyny.

Była naga, była sama, tak naprawdę wcale nas nie widziała, ale to my odczuwaliśmy strach. Wyczułam w Nacie drżenie, kiedy zrozumiał, w jakim to zmierza kierunku.

– Ja pierdolę – mruknął.

Dziewczyna wyszła na brzeg. Grubokoścista i niedożywiona, włosy lepiły się do niej niczym mokra kurtyna, lecz tym, od czego nie potrafiłam oderwać wzroku, była jej postawa, zupełny brak świadomości własnego ciała. Jakby była małym dzieckiem albo ptakiem.

Raptownie uniosła ręce w geście charakterystycznym dla dyrygenta, z dłońmi skierowanymi ku ziemi. Oboje się wzdrygnęliśmy, bo wyglądało to tak, jakby coś miało się zaraz wydarzyć. Kiedy nic się nie zadziało, Nate próbował się zaśmiać. Słabo wyszło.

Nieznajoma przykucnęła. Ze wzrokiem zwróconym w naszą stronę macała ziemię, aż jej palce natrafiły na gałąź, grubą i długą na co najmniej metr. Zacisnęła na niej dłoń, po czym wstała. Nate zaklął, wcisnął telefon do kieszeni, a dziewczyna zatrzymała się w pół kroku. Bez światła latarki ona także w końcu nas widziała.

– Ivy, idziemy – warknął Nate.

– Ivy.

Dziewczyna powtórzyła moje imię. W jej ustach brzmiało zimno i ciężko. Przyjrzałam się jej zmrużonymi oczami, upewniając się, że jej nie znam.

– Co się z tobą dzieje? No chodź.

Szarpnął mnie za ramię tak mocno, że aż zabolalo. A potem zaczął się oddalać, przeklinając każdą smagającą go gałąź, każdy nierówny fragment darni.



Miałam na sobie bokserkę, na którą narzuciłam spraną flanelową koszulę z second handu. Zdjęłam ją teraz i rzuciłam w stronę dziewczyny, po czym poszłam za Nate'em.

– Dzięki, Ivy – powiedziała, kiedy znajdowałam się już niemal za daleko, aby ją usłyszeć.

Nate czekał na fotelu kierowcy. Niecierpliwie bębnił palcami o kierownicę.

– Wsiadaj!

Czułam się na tyle nieswojo, że posłuchałam go. Po przekręceniu kluczyka w stacyjce zadudniła muzyka i oboje wyciągnęliśmy ręce, aby ją wyłączyć, po czym cofnęliśmy je gwałtownie, jakby kontakt fizyczny miał nas poparzyć.

Odezwałam się dopiero, kiedy wyjechaliśmy z lasu.

– Ta dziewczyna. Słyszałeś, jak wypowiedziała moje imię?

Ledwo zauważalnie wzruszył ramionami.

– Znała mnie? – Nie dawałam za wygraną. Nie sądzę, bym zapomniała, że poznałam dziewczynę, której skóra ma odcień wyciśniętej cytryny.

– A skąd mam wiedzieć? – Ton głosu miał obrażony.

Opuściłam przesłone z lusterkiem, aby przyjrzeć się wardze, i zaklełam pod nosem. Była spuchnięta i wyglądała jak obrana połówka brzoskwini.

Jechaliśmy w krępującym milczeniu. Kiedy Nate zatrzymał się na końcu mojego podjazdu, sięgnęłam do klamki. Zablokował drzwi.

Odwróciłam się w jego stronę.

– Co ty wyprawiasz?

Pstryknął światło i wciągnął powietrze przez zęby.

– Rany, kiepsko to wygląda. Słuchaj, naprawdę mi przykro. Wszystko w porządku?

– Doskonale. Wypuść mnie.

– Okej, ale... – Przełknął ślinę. – Co powiesz mamie?

Wpatrywałam się w niego. Papieros za uchem i franki rzęs, na widok których starsze panie mówią z uśmiechem: „Szkoda takich dla chłopaka”. Zaczęłam się pokładać ze śmiechu.

Cały zeszywniał.

– Co cię tak bawi?

– Ty. Boisz się mojej mamy, no nie?

– I co z tego? – wypluł z siebie. – Ty też się jej boisz.

Zapiekle mnie policzki. Odwróciłam się. Kiedy próbowałam otworzyć drzwi, on znowu je zablokował.

– Nate! Wypuść mnie. Do Kurwy. Nędzy.

Ktoś uderzył pięścią w szybę od strony kierowcy.

Nate podskoczył, a oczy miał wielkie jak spodki. Chyba spodziewał się, że zobaczy moją mamę. Ale to był tylko mój sąsiad, Billy Paxton.

Billy mieszkał po drugiej stronie ulicy, lecz szczerze mówiąc, w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy. Zwłaszcza po tamtym przykrym incydencie w gimnazjum, na wspomnienie którego nadal potrafiłam przerwać to, co akurat robię, i wzdrygnąć się. On też był na tej imprezie, z której przywiózł mnie Nate, a ja udawałam, że wcale go tam nie widzę.

Nate opuścił szybę i dotknął się za uchem, sprawdzając, czy nie zgubił papierosa.

– Czego chcesz, człowieku?

Billy go zignorował.

– Ivy, wszystko w porządku?

Nachyliłam się w stronę Nate’a, aby mieć lepszy widok.

– Aha? Jak najbardziej.

Przyłożył dłoń do ust. Na jego przedramieniu widniał pasek białej farby.

– On ci to zrobił?

– Ty tak na serio? – warknął Nate.

Nagle zaczęło mi się zbierać na płacz. Wmawiałam sobie, że to pewnie przez ten ból. Ból i opadający poziom adrenaliny.

– Nie, nie. To zrobił... samochód. Nic mi nie jest.

Billy przyglądał mi się jeszcze przez chwilę. Był wysoki i aby zajrzeć do samochodu, musiał się zgiąć niemal w pół.

– Okej. Będę tam. – Wskazał na swoją werandę. – Żebyś wiedziała.

– Dzięki za twoje usługi – mruknął z przekąsem Nate, ale dopiero, kiedy Billy się oddalił.

Nagłym szarpnięciem otworzyłam drzwi, trzasnęłam nimi i odwróciłam się.

– Między nami koniec.

– Co ty powiesz? – Po tych słowach Nate wycofał się na ulicę.

Stałam na krawężniku. Czułam pulsowanie w wardze, byłam wykończona, ale jednocześnie pełna lekkiej jak piórko euforii towarzyszącej byciu wolną.

Billy odchrząknął. Siedział spięty na werandzie, nadal mnie obserwując. Zakłopotana uniosłam rękę.

– Sorry za to – bąknęłam.

– Za co?

Powiedział to tak cicho, że nie byłam pewna, czy miałam go usłyszeć. Niemal odpuściłam. Może to ból w ustach – dokuczliwy, uparty – sprawił, że jednak się odwróciłam.

– Przepraszam za to, że uznałeś, że musisz wkroczyć do akcji – rzuciłam tonem ostrzejszym, niż zamierzałam.

Billy wstał i pokręcił głową.

– To się już nie powtórzy – zapewnił, po czym zniknął za drzwiami.

Moje spojrzenie pobiegło ku jednemu z ciemnych okien na piętrze. Chwilę później zrobiło się w nim jasno, a ja odwróciłam wzrok. W żołądku żal mieszał mi się z ostatniej jakości wódką. Pora spać, nim ta noc stanie się jeszcze bardziej do bani.

Powoli przekręciłam klucz w zamku, następnie wstrzymując oddech, uchyliłam drzwi, aby się przez nie wślizgnąć. I wydałam zduszony krzyk,

bo na schodach siedziała mama.

– Mama! – Spuściłam głowę i zasłoniłam dłonią usta. – Czemu nie śpisz?

Nachyliła się w stronę wpadającego przez szybę nad drzwiami światła księżyca. Jasne włosy miała spięte, spojrzenie przenikliwe.

– Zły sen – wyjaśniła. A potem zerwała się na równe nogi, bo zobaczyła moje usta.

– Co się stało? Miałaś wypadek?

Warga mi pulsowała niczym drugie serce.

– Nie! Nic mi się nie stało. To znaczy... w sumie to nie był wypadek...

Jej skupienie wydawało się wręcz namacalne.

– Mów, co się konkretnie stało. Ale już.

– Nate... gwałtownie skręcił – mruknęłam. – Samochód wypadł z drogi.

– A potem co?

Pomyślałam o tej nieznanym dziewczynie w lesie, klepiącej się po kredowobiałej skórze.

– Potem nic. Potem przyjechaliśmy do domu.

– To wszystko? Tylko tyle się wydarzyło?

Skinęłam lekko głową.

– No dobrze. – Ta jej dociekliwość działała mi na nerwy. Kąciki jej ust drgnęły konspiracyjnie. – Ale Nate dzisiaj pił, prawda?

Lekko się zachwiałam, próbując myśleć. Mniej niebezpieczna wydawała się chwilę wcześniej, kiedy była po prostu wkurzona.

– Mhm.

Mama kiwnęła głową, jakby mówiła: „Wiedziałam”.

– Idź do swojego pokoju. Natychmiast.

Minąwszy ją, weszłam na górę. W pokoju nie zapaliłam światła, tylko od razu padłam na łóżko i zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, stała nade mną, lewą ręką przykładając mi do ust woreczek z lodem. Tą ręką z bliznami.

– Uderzyłaś się w głowę? – Wróciła charakterystyczna dla mamy rezerwa; równie dobrze mogła pytać o godzinę. – Powinniśmy brać pod uwagę wstrząśnienie mózgu? Powiedz mi prawdę.

Wtuliłam twarz w kojący chłód lodu. Kiedy po raz ostatni tak się mną zajmowała? Próbowałam sobie przypomnieć, lecz w głowie miałam pustkę.

– Z moją głową wszystko w porządku – wymamrotałam. Dotarłam do tego piekielnego miejsca, kiedy człowiek nadal jest pijany, a mimo to ma już kaca. – Mówiłam ci, to nic takiego. Nate nie ma nawet guza.

– Nie ma nawet guza. – Głos miała cichy i naznaczony wściekłością. – Natomiast moje dziecko wygląda jak bokser.

– Dana.

Nagle w pokoju znalazł się także tata. Trzymał rękę na jej ramieniu i zasłaniał sobą światło. Walczyłam z opadającymi powiekami, kiedy zrobił krok w stronę łóżka, a mama się wycofała, pozostając poza zasięgiem mojego wzroku.

– Sądziłem, że lepiej cię wychowaliśmy – oświadczył. – Co cię naszło, żeby wsiąść do samochodu z nietrzeźwym kierowcą?

– Nie wiem.

Ciężkie ojcowskie westchnienie.

– Twoja postawa zaczyna mnie męczyć. Masz pojęcie, jak dużo gorzej mogło się to skończyć?

Moje spojrzenie pobiegło ku obracającemu się nad jego ramieniem wentylatorowi i sennie próbowałam policzyć łopatki.

– Nie wiem – powtórzyłam. – Bardzo dużo?

To wcale nie było pyskowanie, co nie znaczy, aby on tak tego nie odebrał. Jego głos nadawał i nadawał, cierpliwy i jednocześnie wzburzony. Gdy tata skończył mi uświadamiać moją głupotę, na wpół już spałam. Trafiłam do krainy niebytu i pozostałam w niej aż do rana, by pierwszy dzień wakacji rozpocząć kacem i spuchniętą wargą.

I czekającą na dni świadomości tajemnicą. Minie jednak wiele dni, nim znowu zobaczę tamtą dziewczynę ze strumienia.

## ROZDZIAŁ DRUGI



Przedmieścia

*Teraz*

ZADZWONIŁ TELEFON, wdzierając się do moich snów pod postacią pisku hamulców samochodu Nate'a, krzyku, którego nie zdążyłam wydać, nawoływania jakiegoś fruującego nade mną nocnego ptaka w czasie, kiedy ja podążałam przez czarny las za dziewczyną bladą jak opadła gwiazda. W końcu pociągnął mnie ku świadomości, a sen się cofnął niczym słona woda.

Leżałam przez chwilę, odsuwając od siebie te obrazy. Nigdy nie pamiętałam, co mi się śniło. Nigdy. Nikt mi nie wierzył, kiedy to mówiłam, ale taka była prawda. Nim odebrałam, jednym okiem zerknęłam na wyświetlacz.

– No proszę, a jednak żyjesz. – Głos Aminy był zjadliwie radosny. – Piętnaście wiadomości to za mało? Potrzebowałaś dwudziestu?

– Nie krzycz na mnie – odparłam żałośnie. Usta mnie bolały. Sen nadal przylegał do mojej skóry jak wazelina. – Późno poszłam spać.

Wypiłam wodę ze stojącej przy łóżku szklanki, następnie opowiedziałam wszystko najlepszej przyjaciółce. O imprezie, zerwaniu, dziewczynie na drodze. O mojej nieudanej próbie wślizgnięcia się do domu. Czułam, że jest coraz bardziej wnerwiona.

– Zabiję go! – oświadczyła, gdy dotarłam do końca opowieści. – Widziałaś, co wczoraj pił? Absynt. – Była wyraźnie zniesmaczona. Amina miała w sobie coś ze skarżypyty. – W sumie pewnie to była wódka

z zielonym barwnikiem spożywczym, no ale jednak. Na pewno nic ci nie jest?

– Na pewno. Serio.

– No. Brzmisz normalnie.

W jej głosie pobrzmiwała nutka, którą nie do końca potrafiłam rozgryźć.

– No i? Co w tym złego?

– Po prostu... możesz być wkurzona, wiesz? Powinnaś. On mógł cię zabić.

– Jestem wkurzona – odparłam. Byłam?

Amina westchnęła.

– Nieważne. Nate jest beznadziejny. Nie mogę uwierzyć, że mama przyłapała cię w nocy. Paskudnie było?

Potałam oczy.

– Nie tak źle. Dlaczego nagle wszyscy tak jej się boją?

Uczyliła pauzę dla, jak zakładałam, efektu komicznego. Kiedy jednak znowu się odezwała, ton głosu miała poważniejszy. Bardziej szczerzy.

– Wiesz, że zawsze możesz przyjść do mojego domu, prawda? Gdyby zaszła taka potrzeba.

Już i tak przesiadywałam u niej na okrągło. Dawniej sobotnie noce spędzałyśmy na przemian u mnie i u niej, ale ze dwa lata temu zaczęła się wymawiać od spania w moim domu. Należała do tych osób, które są uzależnione od rutyny – wielostopniowa pielęgnacja cery, konkretna herbata zaparzona koniecznie przez jej ojca, dwie poduszki, bez których nie potrafiła zasnąć – dlatego nie nalegałam. Teraz jednak ściągnęłam brwi.

– Tak, wiem. Ale czemu miałyby to być konieczne?

Kolejna pauza, a potem:

– Tamta dziewczyna, którą widziałaś. Była naga? Tak zupełnie?



Zmrużyłam oczy, słysząc tę zmianę tematu, ponownie jednak nie naciskałam.

– Aha.

– I stała na środku drogi.

– Chyba tak. Ja tego akurat nie widziałam. Byłam zbyt zajęta martwieniem się, że zginę.

Jej głos zrobił się o dwadzieścia stopni chłodniejszy.

– Naprawdę go zabiję.

– O ile pierwszy nie zrobi tego mój tata.

– Albo mama. Wiesz, że pomogłaby ci ukryć ciało.

– Zabiłaby ciało, do którego ukrycia by mnie zmuszała.

– Jednak tym, co uważam za interesujące – rzekła przebiegle – jest ta część, w której na ratunek przychodzi ci gorący facet z naprzeciwka.

– Amina – rzuciłam ostrzegawczo.

– Tak?

– Po prostu... nie ekscytuj się zbyt.

– Nigdy się nie ekscytuję.

Zaśmiałam się.

– Wracam do łóżka. Kocham cię.

– Ja ciebie też – odparła.

Nim zdążyłam odłożyć telefon, ekran rozświetliła wiadomość od Nate'a.

W swoim życiu

czemu poświęcam cenny czas

ludziom, których nie obchodzi czy

żyję czy nie?

Instagramowa poezja czy tekst jakiejś smutnej piosenki? Nie zamierzałam dawać mu satysfakcji i tego guglować, zbyt się jednak zirytowałam, aby znowu zasnąć. Jego imię w swoich kontaktach zmieniłam na NIE i udałam się do łazienki, aby obejrzeć wargę. Mój brat



Hank wszedł, drapiąc się po gołej kłacie, i w połowie drapnięcia znieruchomiał.

– Co się stało? – Golił się obok mnie, zerkając w lustro na moją wargę. – Chwila, to dlatego tata wrzeszczał na ciebie w środku nocy?

Zmrużyłam oczy.

– Fajnie, że pytasz, czy nic mi nie jest.

– Zamierzałem ci pogratulować, że w końcu choć raz napytałaś siebie biedy. Tyle że sądziłem, że powód jest fajny. – Przyjrzał się mojemu odbiciu. – Wiesz, jak wyglądasz? Jak ten śmieszny pies z naprzeciwka, kiedy zjadł pszczołę i spuchły mu usta. Dobrze się czujesz? Co ci się stało?

Dałam mu kuksańca w bok.

– Zjadłam pszczołę. Przestań zionąć na mnie tym smoczym oddechem, jeszcze zaśmierdną mi włosy.

Hank chuchnął mi mocno we włosy na czubku głowy, po czym śmiejąc się, odszedł. Zaledwie przed tygodniem przyjechał do domu po pierwszym roku studiów, a ja już miałam dość. Żadne jedzenie nie mogło się czuć przed nim bezpieczne, a jeśli ktoś go poprosił, aby coś zrobił – podniósł z ziemi swoje buty, umył talerz – jęczał, że ma wakacje. Mnie coś takiego nie uszło na sucho przez choćby godzinę.

– Ivy, wstałaś? – z dołu dobiegł głos taty. – Zejdź tu na chwilę.

Zastałam go w kuchni. Opierał się o blat w tym swoim paskudnym, obcisłym stroju cyklisty, i pałaszował płatki. Na mój widok uśmiechnął się, a zaraz potem skrzywił.

– Och, skarbie, twoja warga. Co za gnojek.

Wzruszyłam ramionami. Nate rzeczywiście był gnojkiem. Rzucił się na błędy w wymowie niczym kot na karalucha. Potrafił unieść palec w trakcie rozmowy, wyjąć zeszyt i zacząć pisać, podczas gdy ty stałaś i czekałaś jak jakiś dupek. „Przepraszam”, mówił z tym swoim fałszywym uśmiechem. „Po prostu musiałem zapisać ten pomysł”. Raz udało mi się zerknąć na jeden z tych „pomysłów”. Brzmiał następująco: „Magiczna wyspa, na której

giną wszyscy ludzie oprócz jednego. Obiekt seksualnej obsesji / wznosi się ku bogu?”.

Ale był uczniem przedostatniej klasy, w którym durzyły się wszystkie dziewczyny. To oczywiste, że się zgodziłam, kiedy zaprosił mnie na randkę. Wyobrażał sobie na mój temat nie wiadomo co – kiedy jest się osobą spokojną, ludzie wymyślają dla ciebie różne osobowości – i nie potrafiłam przyznać się nawet Aminie, że nawet mi się to podobało. Podobała mi się osoba, którą sądził, że jestem. Wyluzowana zamiast udająca taką, powściągliwa, a nie przejmująca się tym, że powie coś głupiego.

Tata najwyraźniej mylnie wziął mój grymas za oznakę kaca giganta, bo wcisnął mi w dłoń własny kubek z kawą.

– Porozmawiajmy o zeszłej nocy.

– Nabroiłam – powiedziałam od razu. Z tatą było łatwo, chciał jedynie, aby wzięło się odpowiedzialność za własne czyny. Hank mnożyłby wymówki, aż w końcu udusiłby się pod ciężarem własnych bzdur, ale ja potrafiłam w to grać. – Nie miałam pojęcia, że Nate był pijany. Miał być przecież kierowcą.

Tata kiwnął głową.

– To dobry początek, ale mimo wszystko musisz się orientować. To ty musisz zachować czujność, bo nikt tego za ciebie nie zrobi. To, co się stało zeszłej nocy... – Pokręcił głową. – Skarbie, to było nie w twoim stylu.

Mogłam przyznać mu rację i odejść. Ale te słowa dziwnie mnie dotknęły. Może dlatego, że dopiero co myślałam o tym, jak Nate mi mówił, kim jestem. Zupełnie nie mając racji.

– Nie było w moim stylu – powtórzyłam. – Co w takim razie według ciebie by było?

– Hej, mówię jedynie, że mamy szczęście. Trafiła nam się mądra córka. W ogóle nie musimy się o ciebie martwić. Za to twój brat... – Przechylił głowę i zrobił komiczną minę, zapewne po to, aby zasugerować, że to zabawne, kiedy synowie wpadają w tarapaty. Córki niekoniecznie.

– Nie bądź taki miękki, Rob. Jestem pewna, że przyszedłby jej do głowy z tuzin sposobów na podniesienie ci ciśnienia.

W drzwiach piwnicy stała mama. Oboje podskoczyliśmy; żadne z nas nie słyszało jak wchodzi na górę. Włosy miała rozpuszczone, a białko lewego oka przecinały cienkie, czerwone nitki.

– Dana. – Tata zrobił krok w jej stronę. – Co robiłaś w piwnicy?

Zignorowała go.

– Jak warga, Ivy?

Ibuprofen nie zaczął jeszcze działać. Bolało jak diabli.

– W porządku.

Mama podeszła bliżej, aby przyjrzeć się mojej ranie. Zbyt blisko. Jej skóra emitowała dziwny zapach. Ostry, niemal ziołowy. Ale przecież za wczesna pora na krzątanie się w ogrodzie.

Spojrzała mi w oczy.

– Zostajesz dzisiaj w domu.

– Co? Dlaczego?

– Dlatego – odparła takim tonem, jakby rzucała mi wyzwanie – że masz szlaban.

Wypowiadając te słowa, zerknęła na tatę. Kwestie rodzicielskie zawsze cedowała na niego, w taki beznamiętny, ironiczny sposób. Jakbyśmy byli zabawkowymi dziećmi w domku dla lalek, które on upierał się brać na poważnie.

– Naprawdę? – Spojrzałam na tatę. – Tak?

Na jego twarzy malowała się niepewność.

– Skoro twoja matka tak mówi.

– Ale... są wakacje. Nie zrobiłam nic złego.

– No cóż. Wsiadłaś do samochodu z pijanym kierowcą.

– Nie wiedziałam, że jest pijamy!

– Następnym razem bądź uważniejsza – odparła mama, po czym zasznurowała usta. – Powiedz mi, proszę, że rzuciłaś tego idiotę.

Ależ mnie zirytowała. Ale czułam także odrobinę triumfu.

– Tak. Rzuciłam.

– Zuch dziewczyna – mruknęła i odwróciła się, aby wyjść z kuchni.

– Hej. – Tata delikatnie chwycił ją za ramię i zwrócił w swoją stronę. – Masz początek migreny?

Ton głosu był dziwnie oskarżycielski. Ale tata miał rację. Minęło tyle czasu od jej ostatniej migreny, że zapomniałam o tym, że przez ból głowy usta jej tak jakby wiotczeją, a mięśnie wokół oczu drgają.

– Zajął się tym – odparła. – Zadzwońłam już po Fee.

Fee była jej najlepszą przyjaciółką, niemal siostrą. Gdy tylko mamę dopadała jedna z rzadkich migren, ciocia Fee zjawiała się z niesmaczną miksturą octową, którą sobie aplikowały zamiast lekarstw.

– Nie o to mi... – Urwał i odsunął się od niej. – Wiesz co, nieważne. Zrobisz, jak uważasz. – Pocałował mnie w skroń. – Później jeszcze porozmawiamy. Wybieram się na przejażdżkę.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, spojrzałam na mamę.

– Tata jest na ciebie zły?

– Nie przejmuj się tym – odparła szorstko. – Idę na górę.

– Mamo, zaczekaj!

Chyba robiłam się zachłanna. To, że czekała na mnie w nocy, ukarała mnie, ochrzaniła za wybór chłopaka, sprawiło, że zapragnęłam od niej więcej. Nie miałam jedynie pewności czego.

– W nocy, kiedy wróciłam do domu, mówiłaś, że miałaś zły sen.

Przechyliła głowę. Nie było to kiwnięcie.

Wzięłam szybki oddech.

– Ja ci się śniłam?

– Ivy. – Głos miała łagodny. Wyjątkowo jak na nią. – Niepotrzebnie cokolwiek... to był tylko sen.

Ale ja pamiętałam, na jak rozbudzoną wyglądała, jak bardzo była zdenerwowana i czujna, nawet zanim zobaczyła moją wargę.

– Co ci się śniło?

Uszczypnęła sobie grzbiet nosa i zamknęła oczy.

– Ciemna woda, płynąca woda. I...

– Co? – Mój głos wydał się dochodzić z daleka.

Otworzyła gwałtownie oczy.

– Nic. – Próbowала się uśmiechnąć. – Fee by mi powiedziała, że to oznacza zmianę. Ale dla niej coś takiego zwiastuje właściwie każdy sen.

Nie odpowiedziałam uśmiechem. Znowu widziałam tamtą dziewczynę w lesie, kucającą w czarnej wodzie strumienia.

– Hej, mamó – zaczęłam z wahaniem. – Ja...

Potarła palcem opuszczoną powiekę.

– Nie teraz. Naprawdę. Muszę się położyć.

Pozwoliłam jej odejść. Jak zawsze zastanawiając się, co mogłam powiedzieć inaczej, aby została.

# ROZDZIAŁ TRZECI



Przedmieścia

*Teraz*

CHOĆ MINĘŁA DOPIERO JEDENASTA, dzień już był skwarny, a wszystkie samochody i skrzynki pocztowe lśniły w słońcu. Usiadłam na górnym schodku, racząc się na przemian kawą i gęstym, czerwcowym powietrzem. Auto Billy’ego Paxtona nadal stało na podjeździe. Widziałam je wcześniej z okna. I gdyby tak się akurat złożyło, że Billy wyszedłby z domu, mogłabym mu jeszcze raz podziękować. Tym razem lepiej.

Brzęknął mi telefon w tylnej kieszeni. Wiadomość od Aminy.

Aaach, NATYCHMIAST sprawdź fb Nate’a

– O nie, szepnęłam.

Nadeszła kolejna wiadomość.

Nic o tobie, sorry! Odezwij się, gdy to zobaczysz

Nate wrzucił post niecałe dziesięć minut temu. Zbliżenie jego ładnej, zasługującej na cios pięścią twarzy, rozchylone usta, przymknięte oczy. Ponad jego ramieniem widać było szyld Dairy Dream. Dzięki białoczarnemu filtrowi to zdjęcie można by uznać za fotos.

Usta miał spuchnięte i pomazane stalowoszarą krwią. Nad jednym okiem tworzył się siniec. Podpis głosił: „Powinniście zobaczyć tego drugiego”.

Pierwszy komentarz umieścił jego młodszy brat, Luke. „Słyszałem, że ten drugi to stojąca na poboczu furgonetka pocztowa”.

Wpatrywałam się w ekran tak długo, aż zaczęła mnie boleć szczęka. Rozluźniłam ją.

No i? Widziałaś?

No, odpisałam. Widziałam.

SZYBKO DOSTAŁ ZA SWOJE, odpisała Amina. Nigdy nie przepadała za Nate'em. KTO WJEŹDŹA W ZAPARKOWANE AUTO???

Nie odpisałam. Mój telefon znowu brzęknął.

Zachowuję się jak potwór? Sorry! Przysięgam, że wcale bym się nie cieszyła, gdyby zginął. Zapewniam, że na 90% to nie ja zaparkowałam tę furgonetkę.

Hahaha, odpisałam, następnie odłożyłam telefon na beton, ekranem do ziemi.

Dotknęłam palcem ust i poczułam, jak przez mój brzuch przekopuje się gąsienica strachu. Było to po prostu niepokojące. Kiedy karma działała tak sprawnie.

Usłyszałam dźwięk przypominający grzechoczące w kubku kostki do gry i uśmiechnęłam się. Pikapa mojej cioci zawsze najpierw się słyszało, a dopiero potem widziało. To auto miało więcej lat niż ja i tylko ona umiała nim jeździć, gdyż w tym celu potrzeba było około pięciu sztuczek, a jedna z nich to modlitwa.

– Hej, mała Ivy! – zawołała, wjechawszy na podjazd. Wysiadła z samochodu z przerzuconą przez ramię wypchaną torbą Women & Children First. – Pokaż no tę wargę.

Było ponad trzydzieści stopni w cieniu, a u niej jak zawsze pełen rynsztunek: ciemna szminka, metalowa biżuteria i kurtyna ciężkich, czarnych włosów z przedziałką pośrodku. Nachyliła się i ujęła moją brodę. Jej skóra pachniała octem, czarną herbatą i sproszkowanym bursztynem, który wcierała sobie w nadgarstki.

– Pięknie. Komuś życie niemiłe.

Odsunęłam się od niej.

– Mnie jest miłe.

– Nie tobie, ale temu twojemu chłopakowi. – Zawahała się. – Byłemu?

Kiwnęłam głową.

– No i dobrze. Rzucamy z twoją mamą monetą o to, kto mu pomoże odnaleźć Jezusa.

– Lepiej byś się poczuła, gdybym ci powiedziała, że niedawno wjechał samochodem w furgonetkę pocztową?

Jej spojrzenie przeskoczyło na dom.

– No proszę. Mam nadzieję, że nikt nie zginął? Ani nie został ciężko ranny?

– Nic mu nie jest. Ma tylko trochę poturbowaną twarz. Tak jak ja.

Uśmiechnęła się lekko, aczkolwiek jej spojrzenie pozostało twarde.

– Karma to suka.

Wskazałam głową na torbę.

– Przywiozłaś mamie tę ohydłą herbatę?

Wyjęła z kieszeni mały, metalowy pojemniczek bez żadnej naklejki.

– I maść na twoją wargę. Tylko używaj jej oszczędnie.

– Dzięki, ciociu – odparłam i ją uściskałam.

Bez względu na to, co wchodziło w skład tej maści, na pewno zadziała. Ciocia Fee była mózgiem i rękami odpowiedzialnymi za ziołowe specyfiki sprzedawane w Małym Sklepie, należącym do niej i mamy przybytku dla kasiastych i ekstrawaganckich w centrum Woodbine. Jej mikstury miały status kultowych i dzięki nim biznes jakoś się kręcił.

Weszła do domu, a ja za nią, aby wypróbować maść. Cuchnęła butwiejącym drewnem i smakowała jak jądra samego szatana, dlatego starłam ją i włożyłam pudełeczko do szafki z lekami. Przy odrobinie szczęścia Hank uzna to za balsam do ust.

Kiedy weszłam na górę, zza drzwi sypialni rodziców dobiegały dźwięki ich rozmowy. Mama się zaśmiała, głośno i gardłowo, a mnie ścisnęło w żołądku. To był dźwięk, który potrafiła z niej wydobyć tylko najlepsza przyjaciółka.



Czasami dochodziłam do wniosku, że gdybym tak bardzo nie kochała cioci Fee, to możliwe, że byłabym o nią zazdrosna. I zastanawiałam się, czy tata mógłby powiedzieć to samo.

Czekałam na nią na dole, udając, że czytam gazetę.

– Hej. Mama ci mówiła, jak długo będę miała szlaban?

Ciocia Fee przechyliła głowę.

– „The Economist”? Serio?

– Tak – odparłam obronnym tonem.

– Tak długo, jak będzie trzeba.

– Ale są wakacje!

– Nie słyszę, kiedy tak jęczysz – odparła automatycznie. Jedna z jej ulubionych kwestii z czasów mojego dzieciństwa. W końcu ustąpiła. – No to zrobmy tak. Jeśli szlaban będzie trwał dłużej niż tydzień, namówię ich, aby ci pozwolili na dzień w mieście razem ze mną.

– Tydzień?

– Zaczekaj, aż sama będziesz miała dzieci i jedno z nich wróci do domu o czwartej nad ranem z rozbitą wargą.

Przerzuciłam kartkę gazety.

– O czym jeszcze rozmawialiście?

– Głównie o tobie. I twoim bracie.

– To nie rozumiem czemu wydawała się taka radosna – mruknęłam.

Ciocia Fee zacisnęła usta. Martwiła się o nas, wiem, ale zbyt była oddana mojej mamie, aby to przyznać.

– A może pójdziesz na górę? – rzekła zamiast tego. – Po prostu... zajrzyj do niej. Jak się nazywała ta zabawa, w którą się kiedyś bawiliście? Ta, którą wymyśliłaś? Ta z rymowaniem? Czuje się już lepiej, mogłybyście się pobawić.

– Zabawa? – Ściągnęłam brwi. – Jaka zabawa?

Niepewnie postukała środkowym palcem w kciuk.

– Och, co też ja opowiadam. Myślałam o kimś innym.

– O kim?

– Używaj tej maści na usta, Ivy. Oszczędnie. Zjedz też coś bogatego w żelazo, bo masz niedobór. I trzymaj się z daleka od chłopców, którzy źle cię traktują.

Pocałowała mnie we włosy, po czym wyszła.

Wtedy przypominałam sobie, kiedy mama miała ostatnio migrenę. To wspomnienie musiał przywołać zapach octu na ubraniach cioci. To było nieco ponad dwa lata temu. Tę datę tak dobrze pamiętałam z powodu tego, co się wydarzyło wieczór wcześniej: talent show w moim liceum. Ciocia Fee przywiozła tę ohydłą herbatę i rozmawiałyśmy o tym, co się stało z Hattie Carter.

Hattie Carter. To imię i nazwisko wylądowało w moim mózgu niczym czarny ptak na przewodzie. Długo już o niej nie myślałam.

Czułam tępy ból w skroniach. Jakaś myśl zbyt szybko mi uciekła, znikając w srebrzystej mgle.

Rozmasowałam ból i udałam się do swojego pokoju, gdzie nie czułam zapachu octu.

# ROZDZIAŁ CZWARTY



Przedmieścia

*Teraz*

TAMTEGO DNIA NIE WIDZIAŁAM SIĘ JUŻ Z MAMĄ. Musiała się jednak poczuć lepiej, bo kiedy nazajutrz się obudziłam, jej już nie było. Pierwszy poniedziałek lata. Byłam uziemiona, bez samochodu i sama.

O dziesiątej stałam w łazience w starym bikini i nakładałam na włosy rozjaśniacz. Kupiłam go jakiś czas temu, ale nie miałam odwagi go użyć.

Moje pierwsze rozstanie zasługiwało na coś takiego. Poza tym Nate nie przepadał za rudymi. „Ona jest dziewczyną z włosami – warknęła raz na niego Amina – a nie włosami z dziewczyną”.

Jeśli jednak mam być szczerą, to na pomysł ich rozjaśnienia wpadłam dawno temu. Przypuszczalnie wtedy, kiedy ktoś po raz chyba tysięczny rozplątał się nad tym, jak bardzo jestem podobna do mojej matki.

Skóra na głowie piekła mnie, kiedy siedziałam w czepku na brzegu wanny. A gdy w końcu zmyłam rozjaśniacz, długo przyglądałam się sobie w lustrze.

Nawet mokre włosy miały odcień staromodnej platyny. Na ich tle brwi wyglądały jak dwie ciemne kreski, a usta jak u zabójcy z gry komputerowej. Miałam prosty nos mamy, jej władczy podbródek, ale dzięki nowym włosom wyglądałam także jak ja.

Lustro w łazience składało się z trzech paneli. Gdy nachyliłam się ku mojemu zmienionemu odbiciu, widziałam siebie z trzech stron. Twarz się zamazywała, nosem dotykałam chłodnej powierzchni lustra.

Coś się poruszyło w lewym panelu.

Odwróciłam gwałtownie głowę w tamtą stronę i przez chwilę patrzyłam na obcą osobę. Serce podeszło mi do gardła, a chwilę później śmiałam się z samej siebie. Nieco nerwowo, zgoda.

Sądziłam, że przestałam już myśleć o tej dziewczynie, którą Nate i ja widzieliśmy w wodzie, o jej nagości i osobliwym spojrzeniu. Ale musiała jednak czaić się gdzieś z tyłu mojej świadomości, dlatego że przez chwilę gotowa byłam przysiąc, że to jej twarz i jej jasne włosy widzę w lustrze.

Zrobiłam się niespokojna, a może po prostu mnie nosiło. Wcześniej dałam znać Aminie, że mam szlaban, i koło południa przysłała mi zdjęcie, na którym trzyma plastikową łyżeczkę do lodów z narysowaną na niej twarzą. Poznaj swoją dublerkę, łyżeczkę Ivy! Do końca dnia ona i nasi przyjaciele Richard i Emily przysyłali fotki, na których pozują z łyżeczką Ivy w Dairy Dream, skate parku, samochodzie Richarda. W Denny's zapozowali obok dzbanka z kawą, bo przezabawne było dla nich to, że zwolniono mnie stamtąd po zaledwie miesiącu kelnerowania za to, że wynoszę dodatkowe darmowe posiłki. Ostatnie zdjęcie przedstawiało bernardyna Emily, Claudiusa, z połamanym plastikiem w pysku. RIP, łyżeczko Ivy.

Sucz się doigrała, odpisałam, a potem wyszłam sprawdzić skrzynkę pocztową. Może dopisze mi szczęście i będzie tam czekać jakieś czasopismo.

Moje spragnione włosy jeżyły się w słońcu, wysysając z powietrza wilgoć i uwalniając gryzącą woń amoniaku. Gdy szłam powoli przez podjazd, czytałam w telefonie jakiś artykuł, dlatego mało nie nadepnęłam na królika.

Leżał rozciągnięty na środku podjazdu w kałuży krwi. Korpus z rozłożonymi szeroko silnymi łapami. A z dziesięć centymetrów dalej leżała głowa.

Odkoczyłam, zamykając oczy, ale pod powiekami zdążył mi się wypalić ten obraz.

Wyglądało to zbyt czysto, aby królika zostawił jakiś pies. Mogła to być sprawka któregoś z okropnych dzieci z naszej przecznicy? Pomyślałam o Verze, owładniętej obsesją śmierci ośmiolatce, którą opiekowałam się raz i nigdy więcej. Albo o Peterze z twarzą cherubina, który kiedyś chodził od drzwi do drzwi, próbując sprzedać należący do jego mamy pierścionek zaręczynowy. Zdecydowanie był tego rodzaju dzieckiem, które podpala mrówki.

„Albo Nate” – pomyślałam niechętnie, przyciskając dłoń do brzucha, do szarpiącego mnie tam niepokoju. Przypomnił mi się ból ramienia po tym, jak w lesie mnie szarpnął, jego minę, kiedy się z niego śmiałam. W tamtych chwilach sprawiał wrażenie zdolnego do wymierzenia kary. Ale czy mógłby zrobić coś takiego?

Uznałam, że nie. Po pierwsze, był weganinem. Zasadniczo. To znaczy, zdarzało mu się jeść burgery. Ale nazywał siebie weganinem.

Niemniej krążyły plotki na jego temat, ciągnął się także za nim wściekły ślad niepokoju i byłych dziewczyn. To, co swego czasu (mimo że teraz tylko się wzdrygałam) pozwalało mi triumfować, że to właśnie mnie pragnął. Po ich rozstaniu jedna z jego byłych ogoliła sobie głowę. Inna przez kilka tygodni dzień w dzień chodziła w tej samej czarnej bluzie, z rękawami opuszczonymi aż do czubków palców. Ludzie w szkole twierdzili, że na nadgarstku wydziarała sobie agrafką jego imię, ale ludzie to dupki.

Zrobiłam królikowi zdjęcie. Na ekranie wyglądał mniej złowieszczo, cała krew i aura strachu spłaszczone. „Co by zrobiła Amina?” – zapytałam siebie i wysłałam zdjęcie Nate’owi.

Wiesz coś o tym?

Zdażyłam wrócić do domu i zastanawiałam się właśnie, czy zadzwonić do taty w sprawie królika, kiedy przyszedł dalszy ciąg odpowiedzi od Nate’a.

Wtf co to ma być

Czemu mi wysyłasz to cholerne zdjęcie?

TY TAK NA POWAŻNIE

Goń się Ivy

Głowa mi pulsowała, jakby stał tutaj i na mnie krzyczał. Kiedy obmyślałam odpowiedź, przez okno zobaczyłam, jak na podjazd wjeżdża samochód mamy. Mało nie przejechała królika.

Wysiadła w czarnej workowatej sukni, z upiętymi włosami, które dzięki promieniom słońca wydawały się jeszcze bardziej rude. Oczy miała ukryte za wielkimi, ciemnymi okularami w białych oprawkach, więc nie potrafiłam odczytać wyrazu jej twarzy. Ale wiedziałam, w którym momencie dojrzała królika.

Przygarbiła się. Ramiona poszły do przodu, jakby wciągnęła gwałtownie brzuch, dłońmi sięgnęła kolan. Równie szybko się wyprostowała. Sposób, w jaki jej głowa odwracała się w stronę domu, przywiódł mi na myśl wężącego na wietrze drapieźnika.

A potem puściła się biegiem. Przez podjazd, przez drzwi. Kiedy zobaczyła mnie przed oknem, uniosła ręce. Nie był to gest zaskoczenia. Ani samoobrony. Dłonie trzymała prostopadle do ziemi, palce zakrzywiła w geście, który szarpał mi wnętrzności niczym kostka gitarowa. Ta postawa była niezrozumiała, a mimo to w sposób tak oczywisty złowroga, że wzdłuż pleców przebiegł mi zimny dreszcz.

Po chwili jej twarz jakby zwiotczała i mama opuściła ręce.

– Ivy! – wykrzyknęła. – Twoje włosy!

Dotknęłam ich, nierównych białych końców, które zakręcały mi się na linii brody i śmierdziały chemią.

– Myślałam... – Ciężko oddychała. – Nie poznałam cię.

– Przepraszam – bąknęłam.

Oczy miała rozbiegane i przyciskała dwa palce do zagłębienia pod szyją.

– Jesteś sama?

– Aha.

– Cały dzień?

– Eee, tak? Mam szlaban, nie pamiętasz?

Podeszła bliżej. Oczy miała świetliście niebieskie, tak jak ten szczęściarz Hank. Dotknęła własnych włosów.

– Zakryłaś rudość.

Wzruszyłam ramionami. Co? Miałam przeproszać?

– Nie podobają mi się. – Głos miała zimny i stanowczy. – Ten kolor wygląda u ciebie tanio. Z tymi włosami i wargą mogłabyś spokojnie zagrać jedną z tych martwych dziewczyn w *Prawie i porządku*.

Przygryzłam policzek i zobaczyłam, że widzi, że jest mi przykro. Przez chwilę sądziłam, że może nawet coś o tym wspomni.

– Idę na górę – rzekła zamiast tego. – Z moją głową nie jest jeszcze dobrze.

To najbliższe przeprosin, co mogłam otrzymać.

Siedziała w swoim pokoju aż do kolacji.

Wpadające do kuchni wieczorne światło sprawiało, że pomieszczenie wydawało się jeszcze ciemniejsze. Mama dłubała widelcem w zamówionym na wynos jedzeniu – prawą rękę miała gładką, lewą zaś całą w bliznach: od knykci aż do nadgarstka. Miała te blizny od zawsze, dziś jednak odnosiłam wrażenie, że się wyróżniają, że pulsują niczym spuchnięte żyły. Nagle uznałam za coś dziwnego, że nigdy mi nie zdradziła, skąd się wzięły.

Tata rozprawiał się ze stertą gnocchi i z wielkim trudem próbował powiedzieć coś miłego na temat moich włosów. Hank przez całą kolację siedział z nosem w komórce. Z jego uśmiešku wywnioskowałam, że wymienia wiadomości z jakimś chłopakiem, i pewnie wcale nie tym, z którym się akurat spotyka. Hank nie powinien otrzymać od losu wielkich, niebieskich oczu i kości policzkowych Kaza Brekkera. To było niczym podarowanie dwulatкови miotacza promieni.

Mama głośno krzyknęła.

Wszyscy podnieśliśmy głowy, łącznie z moim bratem. Przycisnęła dłoń do ust, po czym coś na nią wypluła. Szybko na to zerknęła i zamknęła dłoń.

– Dana?

Chwilę trwało, nim podniosła wzrok na tatę. Zwiniętą dłoń trzymała na kolanach, drugą obejmowała szklankę z wodą.

– Hmm?

Odłożył widelec.

– Co to było? Co przed chwilą wyjęłaś z ust?

Patrzyła na niego bacznie.

– Pancierz krewetki.

– Na pewno? Wyglądało jakby... mógł ci się ułamać ząb?

Kąciki jej ust uniosły się w sztucznym uśmiechu. Razem z bratem spojrzeliśmy po sobie, po czym spuściliśmy głowy.

– Za kogo mnie masz, Rob? Straciłam ząb i nie zauważyłam tego? To był pancierz krewetki.

– W porządku.

Do końca kolacji nikt już się nie odezwał ani słowem.

Oczywiście kłamała. Ja też to widziałam. To, co wypluła, było małe i żółtawe. Ale to nie jej ząb.

Rzekłabym, że królika.

Już o ósmej uciekłam do swojego pokoju. Leżałam w łóżku, ssąc kostki lodu i przerzucając kartki pożyczonej od Richarda powieści graficznej, ale przez cały czas miałam przed oczami mamę. To, jak na mnie spojrzała, zanim się zorientowała, że ja to ja. Gest, jaki wykonała rękami, który brzdęknął niczym fałszywa nuta, którą już kiedyś słyszałam. I martwego królika, i jego nieruchome oczy.

– Ivy? – Mama zapukała do drzwi, po czym je otworzyła.



Przełknęłam kostkę lodu i skrzywiłam się, kiedy ześlizgnęła się wzdłuż przętyku niczym ostrze łyżwy.

– Tak?

– Chciałam zapytać, jak się czujesz. Fee mówiła, że dała ci coś na wargę.

W sumie dawno nie myślałam o rozbitej wardze, bo przestała mnie boleć. Kiedy przyłożyłam do niej mały palec, przekonałam się, że opuchlizna prawie już zeszła.

– No. Pomogło.

– To dobrze. No więc tak. Twoje włosy. – Ponownie zastukała we framugę i w końcu weszła do pokoju. – Myślę, że jednak ci pasują. Bardzo w stylu starego Hollywood.

Nie miałam nic do powiedzenia w reakcji na to beznadziejne wycofywanie się. Patrzyłam, jak podnosi z podłogi brudny T-shirt, składa go, po czym kładzie w nogach łóżka. To zupełnie nie w jej stylu: mama nam nie sprzątała. I nie miała tego typu nerwowych rąk, które po prostu musi czymś zająć.

– Przedwczoraj w nocy – powiedziała od niechcienia, nadal wygładzając T-shirt – mówiłaś, że Nate gwałtownie skręcił.

– No.

Podniosła wzrok.

– Z jakiego powodu tak zrobił?

Uśmiechnęłam się do niej bez odsłaniania zębów.

– Z powodu królika.

Przyglądała mi się bez słowa.

Odłożyłam czytana wcześniej książkę i nachyliłam się ku mamie, wyciągając rękę. Ze ściągniętymi brwiami, jakby podejrzewała pułapkę, wyciągnęła swoją.

Ujęłam jej dłoń. Dotknęłam opuszką palca brzegu blizny i spojrzałam pytająco na mamę.

Zabrała mi rękę.

– Przestań.

– Mamo – powiedziałam cicho. Godzinę temu wypluła ząb jakiegoś stworzenia. Widzieliśmy, jak to robi, widzieliśmy, jak kłamie, nie przejmując się tym, czy jej wierzymy. To było jak wieczna gra w udawanie. Wzięłam głęboki oddech. – Za kogo mnie wzięłaś, kiedy wróciłaś dziś do domu?

Wzdrygnęła się. Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie, lecz ramiona podskoczyły.

– Ivy, masz białe włosy i spuchniętą wargę. Nie wiem, na co patrzyłam.

Rosła we mnie brawura. Uniosłam ręce i ułożyłam je w nienaturalny sposób identycznie, jak ona wtedy na korytarzu. Poczułam mrowienie w palcach.

– Co to oznacza? – zapytałam ją.

Rzuciła się na mnie. Kolanem wsparła się o łóżko i wisząc nade mną, zaciskała moje palce w swoich, dociskając mi ręce do boków.

– Nie. – Głos miała spokojny. – Nie rób tak.

Jej prawa dłoń na mojej lewej była gładka i z pomalowanymi paznokciami, lewa na mojej prawej naznaczona bliznami, o których nigdy nie rozmawialiśmy. Z mojego gardła wydobył się dźwięk – paliło mnie w nim, jakbym próbowała przełknąć aspirynę. Mama dzwignęła się z łóżka.

– Ivy – szepnęła. Oczy miała mokre. Czekałam, podczas gdy jej usta obracały w sobie niewypowiedziane słowa, a wyraz twarzy zmieniał się jak automat do gier. I widziałam, jak się ode mnie oddala, wycofuje w głąb siebie, znika. – Dobranoc – powiedziała i zamknęła za sobą drzwi.

Po jej wyjściu próbowałam płakać, ale nie mogłam. Zamiast tego leżałam ze wzrokiem wbitym w okna. Gdy zamieniły się w czarne kwadraty, usiadłam. W domu panowała cisza – Hank gdzieś wyszedł, rodzice zaś na drugim końcu korytarza albo spali, albo oglądali dwa różne programy na dwóch iPadach. Nadeszła północ, a ja nadal czułam się zbyt pusta, aby zasnąć.

Na dole kucnęłam przed otwartą lodówką i zjadłam kluski, które zostały z kolacji. Kiedy wstałam i zamykałam drzwi, moją uwagę zwróciło coś za szybą.

Ktoś tam był, w porastających linię ogrodzenia ziołach. Pochylona postać, która pozostawała przez chwilę w takiej pozycji, grzebiąc w ziemi, a po wyprostowaniu stała się moją matką. Otrzepała dłonie o dzinsy, po czym ruszyła w stronę domu.

Jakiś instynkt kazał mi wyjść szybko z kuchni i udać się na prowadzące do piwnicy schody. Przez szparę w drzwiach obserwowałam, jak podchodzi cicho do zlewu. Tyłem do mnie umyła ręce, a potem nalała sobie szklanek wody. I drugą. Nadal była odwrócona, kiedy się nachyliła, głowę oparła na skrzyżowanych rękach i krzyknęła. Tylko raz, wciskając ten dźwięk w swoją skórę.

Stałam na schodku, czując na karku chłodny oddech piwnicy, a za kolanami podszczypywał mnie strach. Kiedy moja matka wyprostowała się, uczyniła to z szybkością otwierającego się scyzoryka. Wychodząc z kuchni, twarz miała nieprzeniknioną, oczy ołowiane. Czekałam za drzwiami, dopóki nie miałam pewności, że sobie poszła.

Na podwórzu za domem czuć było sfermentowane dzikie jabłka, zmoczony rosą rozmaryn i ziemię, którą mama kupowała na worki. Wzięłam do ręki rydel leżący na zwiniętym wężu i przeszłam przez grządkę z miętą, gdzie po zmroku czaiły się czarne muchy, wielkie jak stawy w kciuku. Gdy dotarłam do miejsca, gdzie wcześniej widziałam, jak się pochyła, padłam na kolana i zaczęłam kopać.

Po jakichś dziesięciu centymetrach rydel uderzył w metal. Chwilę trwało wykopanie zakręconego słoika po dżemie, umieszczonego w ziemi pionowo, pustego, jeśli nie liczyć dwóch centymetrów jakiejś mieszanki na dnie. Ziemia, suszone zioła, odrobina krwi. W tym wszystkim tkwił odłamek rozbitego lustra i zwinięty kawałek białego papieru.

Z oddali obserwowałam zawartość słoika i dudnienie własnego serca. Następnie wcisnęłam słoik z powrotem w ziemię i zasypałam go. Przydeptałam to miejsce, aż wyglądało tak, jak zostawiła je mama.

Prosto z podwórka poszłam pod prysznic, nie mając pojęcia, co bym powiedziała, gdyby mama wyszła z pokoju i zobaczyła moje brudne kolana i palce.

Mój oddech był przyspieszony. Obraz mi się zamazywał, głowę miałam lekką, jakby wypełniał ją hel. Nie dlatego, że wystraszyłam się tego, co wykopałam w ogrodzie, ale dlatego, że tak się nie stało. Odkrycie to powinno być dla mnie dziwne i przerażające. Nie było. Współgrało ponurym akordem z uczuciem, które mną zawładnęło, kiedy mama ułożyła w ten charakterystyczny sposób swoje ręce, i z pewnością, że w jej dłoni dojrzałam ząb królika.

Głęboko, w samym środku mnie było ciche, spokojne miejsce. Kałuża czarnej, zamarznętej wody. Tworzyły ją pytania, których lepiej nie zadawać, tajemnice, których wolałam nie ruszać. Odkąd sięgam pamięcią, pozwalałam, aby ta warstwa lodu stawała się coraz grubsza. Teraz coś się pod nią poruszało, sprawiając, że powierzchnia pękała.

„Jesteś taka wyluzowana” – powiedział mi raz z uznaniem Nate. „Niczym się nie przejmujesz”.

Mój tata pobłażliwie: „To, co się stało zeszłej nocy, było zupełnie nie w twoim stylu”.

I moja matka. Kiedy nie spodobało się jej zadane przeze mnie pytanie, pchnęła mnie na łóżko, zmieniła ułożenie moich rąk, jakbym była jej lalką, jakby moje ciało w ogóle nie należało do mnie. Nie opierałam się. Tak bardzo jej to ułatwiłam. Nie odezwałam się ani słowem.

Koniec z takim zachowaniem. Nawet pod strumieniem wody miałam oczy szeroko otwarte, nagle tak mając dosyć tajemnic, że nie byłam w stanie znieść ciemności.

# ROZDZIAŁ PIĄTY



Miasto

*Wtedy*

SWOJEJ MATKI W GRUNCIE RZECZY NIE ZNAŁAM. Umarła, kiedy miałam dwa lata, a tata nie należał do osób żyjących wspomnieniami. Gdy zadawałam pytania, odsyłał mnie do szuflady w kuchni, gdzie przechowywał stertę starych fotografii i owinięty gumką lok jej rudych włosów.

No więc tak. Matka może być zdjęciem.

Moja najlepsza przyjaciółka swoją straciła nawet wcześniej. W chwili, kiedy Fee pojawiła się na tym świecie, kobieta, która ją urodziła, odeszła z niego. Śmierć przekształciła ją w ciemnooką męczennicę, a ich mieszkanie w relikwiarz, w którym ojciec Fee czcił jej wszystkie ślady.

Czyli matka może być świętą. Duchem.

Czasami jest nieznaną na ławce w parku, karmiącą z ręki dziecko, a powietrze między nimi jest tak delikatne, że można je ugniatać niczym ciasto na chleb. Albo kobietą w pociągu, z colą w ciekącym kubku i szarpiącą dziecko za ramię tak, że aż zaczyna płakać. Zawsze lubiłam obserwować złe matki.

Matką może być ostry nóż, dłuto. Może ona nadawać kształt i niszczyć. Nigdy nie sądziłam, że stanę się kimś takim.

Istnieją kwestie, które córka powinna wiedzieć o kobiecie, która ją wychowała. Jeśli ta kobieta miała odwagę. Jeśli była w stanie wypowiedzieć te słowa.

Powiedzmy, że leżysz nocą w łóżku i ćwiczysz w myślach to, co byś jej powiedziała, gdybyś tylko mogła. Tej swojej córce, którą dzieli od ciebie zaledwie korytarz, a mimo to nieskończenie nieosiągalnej. Tkwiąc w tym bagnie, co byś mimo to powiedziała?

Od czego byś zaczęła?

Kiedy miałam pięć lat, tata zgubił klucze gdzieś w ciemnościach między barem a naszym mieszkaniem. Niósł mnie na rękach, a jego oddech wysyłał w mroźne powietrze piwne obłoczki. W zimnie ciągnącym od jeziora przeszliśmy niecały kilometr, on w rozpiętej kurtce, bo było mu ciepło, ja cała drżąca w wiatrówce, bo nigdy nie pamiętał, że dzieci rosną. Zawsze kończył się już listopad, kiedy dostawałam zimową kurtkę, która na mnie pasowała.

Dobry nastrój taty prysł, kiedy dotarliśmy pod klatkę i okazało się, że nie możemy otworzyć drzwi. Podczas gdy on wciskał guzik domofonu dozorczy, ja ześlizgnęłam się na ziemię i zaczęłam iść. W połowie drogi do karczmy Green Man skręciłam na czarną trawę i podniosłam klucze z zagłębienia, w które wpadły.

Jako dziewięciolatka włożyłam palce w odpływ w szkolnej łazience i uchwyciłam zameczek, którego nie widziałam, przytwierdzony do bransoletki z charmsami, o której w ogóle nie wiedziałam, że tam wpadła. Sztaluga, cukierek, pointa. Obejrzałam po kolei każdą oślizłą zawieszkę, po czym wyrzuciłam bransoletkę do śmieci.

Gdy miałam dwanaście lat, pewnego ciepłego, letniego wieczoru sama wracałam do domu. Tata gdzieś wyszedł, a klucz do mieszkania wisiał na łańcuszku pod moją koszulką. Weszłam na drugie piętro, przeszłam przez korytarz, następnie zatrzymałam się i wbiłam wzrok w zamknięte drzwi naszego mieszkania. Nic nie słyszałam, bo nie było nic do słyszenia. Ale najciszej jak potrafiłam, cofnęłam się na ulicę, a potem pobiegłam do bloku, w którym mieszkali Fee i wujek Nestor. Dlatego to tata, a nie ja godzinę później otworzył drzwi i ujrzał czającego się w cieniu mężczyznę

z kuchennym nożem i rozpiętymi džinsami. To tata rozbił owiniętą brązowym papierem butelkę na jego głowie i go wystraszył. Na wykładzinie pozostały po nim plamy krwi, których nie dało się doprać.

Podobne historie krążyły także o mojej mamie – tata mówił, że nazywała je swoimi domysłami. Ale kiedy opisywałam to najlepszej przyjaciółce Fee, jedynej, która pytała, wyjaśniałam, że ja to po prostu czułam. Przedmioty, miejsca, ich kontury i sposób, w jaki powietrze poruszało się między nimi. Można to porównać do stanięcia pośrodku swojego pokoju. Zamknięcia oczu. Nagle czujesz intensywne przyciąganie ze strony schowanego pod materacem pamiętnika. Zdjęcia chłopaka, który ci się podoba, przytwierdzonego do tablicy korkowej pomiędzy plakatami i zdjęciami z gazet. Zakrytego miejsca, gdzie rozlałaś lakier do paznokci i poplamiała się podłoga, dlatego przesunęłaś łóżko o trzydzieści centymetrów w prawo.

Tak właśnie odbierałam cały świat. A przynajmniej nasz mały jego fragment. Nie uznawałyśmy tego za dziwaczne, Fee i ja. Ani nawet za wyjątkowe. Przypuszczalnie dlatego, że ona miała własne „coś”: zawsze wiedziała, czego ludzie potrzebują. Nie ich głowy, lecz ciała. Bez końca chodziła za tobą ze szklanką wody, jabłkiem, fiolką z lekiem przeciwbólowym. Na okrągło suszyła mojemu tacie głowę, aby raz na jakiś czas zjadł warzywo.

Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami, które wychowały się jak siostry, a nasz świat tworzyło osiedle dziesięciu bloków, rozlewające się niczym plama ropy wokół ulicy, gdzie mieszkaliśmy z naszymi ojcami. Nasze mamy także były najlepszymi przyjaciółkami, nim w odstępie dwóch lat zabrała je śmierć. Dzieliliśmy przesądne przekonanie, że pewnego dnia to samo stanie się z nami.

Ojcowie nas kochali, starali się, tyle że różnie im wychodziło. Wujek Nestor był dobrym człowiekiem, który patrząc na córkę, zawsze widział utraconą żonę. A mój tata funkcjonował jak kran w naszej łazience, z którego woda leciała albo potwornie gorąca, albo lodowata. Byłam jego kochaną dziewczynką albo największym ciężarem i nigdy nie potrafiłam przewidzieć, w jakim akurat będzie nastroju.

W wielu aspektach szybko dorosłyśmy – jako ośmiolatki same jeździłyśmy kolejką, a dwa lata później pracowałyśmy dorywczo dla naszych ojców. Tyle czasu spędzałam w miejscowym pubie taty, że właściwie nie pamiętałam już, kiedy po raz pierwszy piłam alkohol.

Ale w tych wszystkich aspektach, które miały znaczenie, byłyśmy małymi dziewczynkami. Nie potrafiłyśmy odpowiednio się ubrać, swobodnie zachowywać czy rozmawiać z innymi ludźmi. Tata mi powiedział, wcześniej i otwarcie, dlaczego powinnam kopać, krzyczeć i uciekać, gdyby jakiś mężczyzna próbował mnie kiedyś złapać, a ja przekazałam to Fee, więc nasze rozumienie seksu było dość ponure. Zastanawiałam się czasem, co nasze matki chciałyby, abyśmy wiedziały, gdyby mogły nas uczyć.

Dotrwałyśmy w ten sposób do piętnastego roku życia. Kto wie, jak długo jeszcze tak by to wyglądało, gdybyśmy nie poznały Marion.



# ROZDZIAŁ SZÓSTY



Przedmieścia

*Teraz*

TUŻ PRZED ŚWITEM OBUDZIŁ MNIE DŹWIĘK krztuszącego się na końcu podjazdu auta cici Fee. Wsłuchiwałam się w kroki mamy na korytarzu na dole, skrzypnięcie i westchnienie drzwi wejściowych, a potem dostosowywanie się domu do jej nieobecności. Minęła godzina spokoju, a potem rozpoczęła się poranna rutyna taty. Prysznic, radio, młynek do kawy. W górę moich nóg zakradał się pas coraz wcześniejszego dziennego światła. Kiedy usłyszałam, że drzwi garażu się zamykają, usiadłam.

Łóżko Hanka było puste. Najwyraźniej nie wrócił na noc. Mimo to na palcach przeszłam przez korytarz i stanęłam pod drzwiami sypialni rodziców. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy byłam tu po raz ostatni. Kręciło mi się w głowie, gdy z ogromnym wysiłkiem przywoływałam to jedno wspomnienie.

W końcu się udało. Młodsza ja leżąca między rodzicami. Spojrzenie prześlizgujące się po pozostawionej przez wodę plamie na suficie, stopy wsunięte pod ciepłe nogi taty. Moja głowa na ramieniu mamy. To wspomnienie niemal sprawiało ból.

Czy ono w ogóle było prawdziwe? Ostrożnie pchnęłam drzwi, przeszłam przez próg i położyłam się na łóżku. No i proszę, plama na suficie.

Wstałam. Ich sypialnia wyglądała jak pokój w akademiku dzielony przez współlokatorów, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego. Część taty była przyjacielska, pełna przedmiotów, których nie da się stamtąd zabrać:

tomiki wierszy z pozaginanymi rogami, grube jak cegły powieści fantasy, oprawione w ramkę zdjęcie przedstawiające mnie i Hankę z ustami niebieskimi od lodów. Jej część była bardziej oszczędna. Wąska biblioteczka wypełniona wspomnieniami i biografiami, pusty nocny stolik. Pod oknem agresywnie rosła bujna paproć, która swój początek miała jako odnóżka z ogrodu cici Fee.

Weszłam do łazienki i przyjrzałam się ustawionym na toalecie zdjęciom. Oto moi rodzice wyglądający niemożliwie młodo w dniu swojego ślubu, a zaraz obok szkolne fotografie mojego brata i mnie, gdy mieliśmy lat trzynaście i jedenaście. Na końcu rzędu stało zdjęcie przedstawiające mamę i cicię Fee – zrobiono je, kiedy chodziły do liceum. Wzięłam je do ręki.

Stary papier się odkształcił i po jednej stronie napierał na szybkę. Flesz aparatu błyszczał nad budzącymi postrach łukami brwiowymi mojej cici, w krwistoczerwonych paznokciach mamy, wisiorach w kształcie połówek serc zawieszonych na łańcuszkach. Obie miały czerwone usta i oczy pomalowane niewprawnie eyelinerem, a miny takie, jakby uważały, że są jedynymi dziewczynami na świecie.

Miałam co najmniej tyle lat, ile one na tym zdjęciu, a mimo to czułam się jak dziecko, na zawsze wykluczone z ich dwuosobowego kręgu. Już chciałam odłożyć zdjęcie, ale coś kazało mi się wstrzymać. Wytarłam koszulkę kurz z szybki i baczniej się przyjrzałam.

Oldskulowe fragmenty serc na tanich łańcuszkach, wykonane z takiego samego giętkiego metalu, jakiego używano do produkcji kluczyków do pamiętników. Tyle że te zawieszki nie były połówkami, jak wcześniej zakładałam. Każda z nich to jedna trzecia serca. Mama miała poszarpaną krawędź, a Fee część środkową, z obu stron ząbkowaną. Ktoś musiał mieć drugą krawędź.

Obracając w głowie tę myśl, weszłam do garderoby. Prześlizgnęłam się wzrokiem po starannie złożonych ciuchach mamy i przejrzałam leżące na tacy zmięte paragony oraz wyblakłe wróżby z chińskich ciasteczek. Do framugi przyklejony był pasek zdjęć z fotobudki, na którym mama jako

mała dziewczynka wciska się obok mojego dawno nieżyjącego dziadka. On miał przyciemniane okulary typowe dla prezenterów wiadomości i bujne owłosienie na torsie, ona równo przyciętą grzywkę i szczerbaty uśmiech. Z boku paska widniały słowa: W BARZE SHENANIGANS PIJE SIĘ DO DNA.

Szukałam dalej, choć sama nie wiedziałam czego. Pamiętnika, który by wszystko wyjaśniał? Jeszcze więcej rozbitego szkła i krwi? Na górnej półce stał karton z papierami, lecz to były same akty urodzenia, formularze podatkowe, akt ślubu. Przez chwilę wpatrywałam się w podpisy na tym ostatnim dokumencie, próbując wyobrazić sobie rodziców – lat dwadzieścia i dwadzieścia cztery, nienarodzony Hank śpiący sobie za pępkiem mamy – stojących ramię w ramię w urzędzie stanu cywilnego.

Pojawiły się tu także małe tajemnice. Na dnie paskudnego plecaka z łuszczącego się skaju znalazłam papierową torbę pełną piór; większość była brązowa albo szara, albo dropiasta, ale pojawiło się także kilka wręcz żarówiastych. Z kieszeni starych ogrodniczek wypadła szminka, której sztyft zamieniono na złowrogo wyglądające igły i szpilki.

Pod pudełkiem z kozakami na wysokim obcasie leżał tomik poezji Mary Oliver, *Dream Work*, a jako zakładkę wetknięto w niego nadgryziony zębem czasu paragon. Wyjęłam go. Ćwierć wieku temu moja matka kupiła w Walgreens na Halsted Avenue cień do powiek CoverGirl i paczkę gum do żucia, a na paragonie niebieskim długopisem zapisała jakiś adres. Pewnie mieszkania znajomego albo kawiarni. Czegoś, co wtedy miało niewielkie znaczenie, a teraz żadne.

A jednak nie zostało to wyrzucone, lecz umieszczone niczym ususzony kwiat między kartkami książki. Nim odłożyłam paragon na miejsce, zrobiłam mu zdjęcie.

W pewnym momencie znieruchomiałam. Przed sobą miałam miękką ścianę wiszących ubrań, czarnych i okazjonalnie niebieskich. Kierując się instynktem, wsunęłam ręce w sam środek ciuchów niczym nurek, po czym odepchnęłam wieszaki na bok, aż moim oczom ukazała się ściana.

Z osadzonym w niej sejfem wielkości deski do krojenia.

Zamarłam, bardziej zaskoczona swoim przecuciem niż samym sejfem. Następnie wybiegłam na korytarz i udałam się do gabinetu taty. Odwróciłam masywną klawiaturę, odsłaniając kryjące się pod nią okruszki bajgli, i zrobiłam zdjęcie przyklejonej pod spodem karteczki z całym mnóstwem haseł.

Wróciwszy pod ścianę z sejfem, przebiegłam wzrokiem po liście: kombinacje dat urodzin członków rodziny, numerów odzieży, ciągi liter, które wydawały się przypadkowe, ale najpewniej były mnemonikami. Odsiałam hasła, które zupełnie nie pasowały.

Udało się za trzecim razem. W ustach czułam suchość, w uszach mi szumiało. Otworzyłam sejf.

W środku znajdował się przedmiot wielkości książki w miękkiej okładce, wykonany w całości ze złota.

Słyszałam o ludziach, którzy trzymają oszczędności pod postacią sztabek złota, ale ten przedmiot wydawał się za duży. I zbyt piękny, aby być tylko pieniędzmi. Wyglądał jak coś, co można znaleźć w muzeum albo w sklepie z antykami, pod szkłem.

Kiedy wzięłam to do ręki, odniosłam wrażenie, że w środku jest puste, nie dojrzałam jednak żadnego spawu. Powierzchnia była nieco cieplejsza od mojej skóry. Delikatnie przechyliłam przedmiot na boki, następnie nim potrząsnęłam, podziwiając wypolerowaną górę, kosztowny ciężar, sposób, w jaki boki zaginało światło w pryzmatyczne promienie. Jakie było jego przeznaczenie?

Przyłożyłam ucho do górnej części. Nic. Oczywiście, że nic. Ponownie odwróciłam przedmiot. Pod wpływem impulsu przytknęłam go do języka.

Dłonie mi zawibrowały, jak podczas uderzenia kijem do baseballu w piłkę. Metal miał smak szokujący, elektryczny, żywy.

Usłyszałam w uchu głos mojej matki. Nie wyobraziłam jej sobie, ja ją słyszałam, niski głos recytujący zbitkę sylab, których nie potrafiłam zrozumieć. Zamknęłam oczy i osunęłam się we wspomnienie tak wyraźne, jakbym się teleportowała.

Poczułam dojmującą, zimną woń nocnego jeziora. Zobaczyłam gwiazdy, które wiszą nad wodą tak, jakby się przeglądały w lusterku. Ten obraz był równie wyraźny jak świeżo zamalowane płótno. Gdybym tylko chciała, mogłabym wyciągnąć rękę i dotknąć kolorów. Choć nie mogłam się odwrócić, aby ją zobaczyć, wyczuwałam obok siebie moją matkę, ciepłą w tym chłodnym powietrzu.

Kiedy otworzyłam oczy, siedziałam na podłodze w garderobie. Niewidzącym wzrokiem wpatrywałam się w ratanowy kosz na pranie z falbanką pajęczyn na samym dole. Złoty przedmiot ponownie był obojętny, a wyładowanie, do którego doszło podczas kontaktu śliny z metalem, zdążyło minąć.

„Sen” – pomyślałam oszołomiona. Pobożne życzenia splątały się razem z paranoją, tworząc... to coś, co mi się przed chwilą przytrafiło.

Ale w gruncie rzeczy wcale tak nie myślałam. Poruszyło to coś we mnie, coś prawdziwego. Wspomnienie zakopane tak głęboko, że wcale nie wydawało się moje.

Ponownie polizałam lśniąca powierzchnię. Nic się nie wydarzyło. Zastanawiałam się, czy nie zatrzymać tego złotego przedmiotu. Nie chciałam jednak ryzykować, że zgubię coś niezwykle cennego. Dlatego włożyłam go z powrotem do sejfu, na razie. Gdy to robiłam, zupełnie z tyłu zauważyłam coś, co wcześniej mi umknęło.

Było to małe pudełko wykonane z aromatycznego drewna. Na wieku namalowane dwa pistolety oraz litery układające się w słowa FLOR FINA. Wpasowywało się poufale w moje dłonie, dlatego że było moje. Pudełko po cygarach, w którym jako mała dziewczynka przechowywałam swoje skarby. Które wiele lat temu zaginęło.

Nie zaginęło. Zostało zabrane. Zamknięte w sejfie w pomieszczeniu, do którego nigdy nie wchodziłam. Skradziona część mnie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY



Miasto  
*Wtedy*

NIE PAMIĘTAM, CO ROBIŁAM, kiedy pierwszy raz ujrzałam Marion. Przypuszczalnie wyjmowałam z frytkownicy paluszki rybne. Wydawałam za mało reszty jakiejś staruszce w czepku przeciwdeszczowym, bo wkurzyła mnie tym, że za swoje zamówienie zapłaciła pięciocentówkami. To było w czasach, kiedy nasi ojcowie parę przecznic od jeziora prowadzili smaźalnię.

Czekałam na nową osobę, która miała tu dorywczo pracować. Tata miał już wtedy kręgosłup w ostatnim stadium sypania się i nie mógł dłużej pracować po czternaście godzin. Ja byłam zadzierającą nosa smarkułą, nadal księżniczką taty, kiedy tylko chciał, abym nią była, i niecierpliwie czekałam, aby pokazać nowej pracownicy, gdzie jej miejsce. W końcu ktoś inny mógł czyścić łapacze tłuszczu. Jednak kiedy weszła, wszelkie złośliwości uwięzły mi w gardle.

Marion była starsza, miała siedemnaście lat. Uszy przebite metalem, zielona kurtka zdecydowanie za cienka na tę pogodę. Ale nie dlatego tak się na nią gapiałam. Niczym zgubiony komplet kluczy, niczym ukryta bransoletka, coś mnie w tej nieznanym dziewczynie przyciągało. Dosłownie czułam, jak stoi na wytartych płytkach, bardziej treściwa i realna niż cała reszta w tym pomieszczeniu.

Ona także odpowiedziała zaciekawionym spojrzeniem. Miałam rude włosy po zmarłej mamie, aczkolwiek jej były kręcone, a moje raczej cienkie i sterczące, kiedy się je upięło na czubku głowy w koczek. Na dworze

panowała zimowa aura, lecz nad frytkownicą było potwornie gorąco. Miałam na sobie T-shirt, a na ramionach piegi po oparzeniach tłuszczem.

– Czy my kiedyś... – zaczęła, a ja w tym samym czasie powiedziałam:

– Myślisz, że my...

Urwałyśmy. Napiętą ciszę mogliśmy przerwać śmiechem, tak jednak nie zrobiłyśmy.

– Jestem Marion – przedstawiła się.

– Dana.

– Dana. – Powtórzyła to słowo, jakby to była nazwa jakiegoś nieoznaczonego na mapach kraju, nieprzerwanie świdrując mnie spojrzeniem bladych oczu. – Zaprzyjaźnimy się.

Rudowłosi łatwo się rumienia. Nie trzeba się wcale zdenerwować ani zawstydić, wystarczy najmniejsze nawet wytrącenie z równowagi. Uniosłam podbródek i pomyślałam o górach lodowych, o skakaniu do zimnego oceanu.

– Tak myślisz? – zapytałam nieco opryskliwie.

– Ja to wiem. – Głos miała cichy, lecz dziwnie władczy i poważny.

W tym momencie dotarło do mnie, że jest równie nieprzystosowana jak ja.

Pokazałam jej, gdzie może powiesić kurtkę i czarną torbę, a przez cały ten czas próbowałam rozgryźć, o co chodzi z tą dziewczyną. Była dość krępa, miała rumiane policzki, włosy związane w kucyk wsunięty pod kaszkiet. Nie była ładna, lecz jej twarz miała w sobie coś, co nie pozwalało odwrócić wzroku. Marion wyjęła z kurtki płytę i mi ją pokazała. Na czarno-białej okładce jakaś kobieta machała mokrą głową, z włosami upiętymi w niedbałą półkoronę.

– Twój tata mówił, że mogę puszczać w pracy własną muzykę – rzuciła. – Gdzie macie odtwarzacz?

Fee i ja wychowałyśmy się na muzyce, którą kochali nasi ojcowie. Cream, the Moody Blues, Led Zeppelin. Nawet polka, którą grano w polskich salach tanecznych, gdzie poznali się rodzice mojego taty. Obie wirowałyśmy na bosaka w rytm muzyki, a nasi ojcowie w tym czasie upijali się mocną ukraińską wódką, zagrzewając nas do tańca.

Muzyka Marion okazała się zupełnie inna. To były nerwowe wiązki punka, katujące w dziewięćdziesięciosekundowych seriach. Ciężko brzmiący gitarowy rock, w którym kobiety zawodziły jak Robert Plant, oraz efektowne dźwięki, które połyskiwały i kaleczyły niczym odłamki kolorowego lampionu.

Tamtego pierwszego dnia pracowałyśmy ramię w ramię, niewiele się odzywając. Marion uczyła się powtarzalnych rytmów fast foodowej obsługi, ja natomiast chłonełam muzykę. Po zamknięciu Fee czekała na mnie na ulicy, układając stopami tetris w rynsztoku. Na widok Marion na jej twarzy pojawiła się rezerwa, która chwilę później złagodniała, tak jak zawsze, kiedy Fee aktywuje swoją empatię.

– Jesteś głodna – oświadczyła.

Marion gmerała przy zapięciu kurtki. Czasami spojrzenia Fee zawstydzają ludzi.

– Już jadłam. Tutaj.

– To się nie liczy – zbyła ją moja przyjaciółka. – Potrzebujesz jedzenia.

Poszłyśmy do jej mieszkania, gdzie w lodówce czekało zawsze naczynie żaroodporne z czymś smacznym. Tego wieczoru było to *picadillo*<sup>[1]</sup>, pachnące miętą, którą jej tata uprawiał za budynkiem.

– Nie przepadam za mięsem – powiedziała nam Marion.

A potem wciągnęła całą porcję niczym rottweiler. Nasyciwszy się, westchnęła, a uśmiech zmienił równowagę całej jej dziwacznej twarzy.

– Nie mogę uwierzyć, że ugotował to twój tata. Mój potrafi jedynie przyrządzić whisky z wodą sodową. A mama wykładać krakersy na talerz.

Na podstawie tych słów odmalowałam sobie w myślach obraz jej rodziców. Mamę ćwiczącą w dresie tae bo, pilnującą liczby punktów



Strażników Wagi. Tatę stukającego dwukrotnie szklanką o bar, tak jak to robił mój tata, a potem przerzucającego się na kufel z guinnessem. Później zrobiło mi się głupio, kiedy się dowiedziałam, jak bardzo nie miałam racji.

Jednak tamtego wieczoru byliśmy najedzone, było nam ciepło, a z naszych twarzy nie schodziły uśmiechy. Marion wręczyła Fee płytę i położyliśmy się na nierównej podłodze w jej pokoju, aby słuchać. Nasze głowy leżały blisko siebie, a muzyka była na tyle głośna, że czułyśmy, jak wibruje w podłogowych deskach.

Tak się to właśnie zaczęło. Od jedzenia i muzyki. Reszta pojawiła się później: magia, to, co ją napędzało. Byłyśmy pełne gniewu jeszcze przed pojawieniem się Marion, nawet jeśli nie wiedziałyśmy o tym. Na naszych ojców, na nieżyjące mamy, na siebie o to, że mamy piętnaście lat, życie wielkości ziarnka ryżu i zero pomysłów na zmianę. Ale to Marion nadała naszemu gniewowi formę.

Zaczęło się od muzyki. Skończyło zupełnie inaczej.

## ROZDZIAŁ ÓSMY



Przedmieścia

*Teraz*

SIEDZIAŁAM NA ŁÓŻKU I PRZEGLĄDAŁAM zawartość pudełka na cygara.

Część rzeczy była mi oczywiście znana. Zielony stras z mojej dawnej papierowej korony, odcinek biletu z tego razu, kiedy ciocia zabrała mnie – tylko mnie – na *Hamiltona*. Marmurkowy plektron od taty, zawieszony na cienkiej wstążce, i pióro z kobaltowym nabojem.

Ale nie pamiętałam, skąd mam ten płaski czarny kamień, okrągławy i z otworem w środku. Albo czterolistną koniczynę, zasuszoną i dociśniętą do kawałka taśmy klejącej. Przyjrzałam się lepiej – to była pięciolistna koniczyna. Musiałam dokleić jeden listek. Był tu także drewniany słój o szerokości i grubości mniej więcej jednodolarówki, ogarek białej świeczki, związany gumką kosmyk rudych włosów. Moich? Mojej matki? Przejechałam dłonią po swojej rozjaśnionej głowie.

Gdy zamierzałam wszystko z powrotem tam włożyć, na samym dnie dostrzegłam jakąś kartkę, złożoną do rozmiaru pudełka. Już sama jej faktura była znajoma. Jeszcze zanim ją otworzyłam, wiedziałam, że to arkusz z któregoś z moich starych szkicowników.

To był szkic wykonany ołówkiem, całkiem dobry. Bosy chłopak w dżinsach trzymał bukiet białych gardenii. Uśmiechał się z zamkniętymi oczami. Jego piegi zostały rozmazane niczym plamki gwiazd.

Dotknęłam kartki palcem. Poszarpane brzegi płatków kwiatów, marzycielski uśmiech chłopaka. Całkiem dobrze udało mi się to uchwycić.

Ale co kazało mi stworzyć – a w dodatku zachować – rysunek przedstawiający Billy’ego Paxtona?

Sprawdziłam datę. Narysowałam to latem przed siódmą klasą, zaledwie kilka miesięcy przed Krępującym Incydem, oznaczającym pierwszy i aż do przedwczoraj ostatni raz, kiedy Billy i ja rozmawialiśmy ze sobą. Jego twarz w moim szkicowniku – nieobecna, pogodna – nie pasowała do mojego wyraźnego wspomnienia tego, jak na mnie wtedy patrzył, zaciekle i niemal z nienawiścią.

Najwyraźniej przed narysowaniem tego zobaczyłam go po drugiej stronie ulicy. Jego wyrytą w mej pamięci twarz uwolniłam na fali białych płatków.

Obejrzałam uważnie rysunek, a potem każdy wyjęty wcześniej przedmiot, szukając wskazówek, które zdradziłyby mi powód ukrycia tego pudełka. Nie znalazłam tu jednak żadnych odpowiedzi, a jedynie kolejną zagadkę.

Po co? To pytanie, które zadawałam sobie, kiedy myłam twarz, ubierałam się, jadłam płatki z kartonu oznaczonego jako „płatki Hanka”. Po co schować pudełko ze skarbami swojego dziecka? Zrywałam się z miejsca, chodziłam od ściany do ściany, ponownie siadałam. Aż w końcu miałam dość wrzeszczenia w myślach na mamę.

Musiałam się z nią skonfrontować, teraz, dzisiaj. Dlatego że wciąż czułam jej szczupłe palce zaciskające się na moich, przyszpilające mnie do łóżka. Wciąż czułam smak tego dziwaczного złota. W mojej głowie buzował płomień i nie mogłam pozwolić, aby się wypalił.

Wyszłam na skwar, czując się krucha niczym szklanka cukru. Jadąc rowerem przez parkingi, przez pełne kurzu łąki. Balansując na brzegach stawów retencyjnych i licząc, że nikt nie rzuci we mnie przez okno samochodu kubkiem po coli.

Cała byłam zlana potem, kiedy dotarłam do centrum Woodbine. Tworzyło je sześć przecznic ze sklepami, restauracjami i kawiarniami oraz

z dwusalowym kinem i zabawnym barem Le Bleu, gdzie ludzie, którzy chcieli udawać, że znajdują się w wielkim mieście chodzili napić się koktajli ze świecącymi w ciemnościach pałeczkami do mieszania.

Sklep mamy i ciotki wciśnięty był między dwa wytworne sklepy ze słodyczami i mieścił się tuż pod studium tańca, więc z góry zawsze dobiegały odgłosy kroków. Z otwartych okien studia słychać było metaliczne dźwięki jakiejś symfonii.

Ale witryna Małego Sklepu była ciemna. Kiedy pociągnęłam za drzwi, nie otworzyły się.

Dzień był tak jasny, że w ogóle nie dało się dojrzeć wnętrza, nawet kiedy przyłożyłam do szyby zwinięte dłonie. Przebiegłam wzrokiem po godzinach otwarcia, choć znałam je na pamięć. Sklep powinien zostać otwarty o dziesiątej.

Pomiędzy Małym Sklepem a Waniliową Krówką biegł wyłożony płytkami korytarz z latarniami z kutego żelaza. Przeszłam pod nimi szybkim krokiem, po raz pierwszy ciesząc się z tego, że podczas świątecznego ruchu zostałam zmuszona do pomocy przy pakowaniu zakupów na prezenty – dysponowałam dzięki temu kluczem do wejścia służbowego.

Po chwili otoczył mnie piwniczny chłód zaplecza. Nikogo nie było, ale światło się paliło.

– Halo? Mamo?

Cisza. Na zapleczu było mnóstwo starannie posegregowanego towaru. Przyjrzałam się półkom, drewnianemu pudełku, gdzie trzymano nieotwarte próbki produktów – czekoladki wykonane przy pełni księżyca, minerały do wcierania w skórę twarzy, czasopisma ze skandynawskimi kobietami w ogrodniczkach, które mówiły, dlaczego powinno się karmić niemowlęta miodem. Tego rodzaju durnowatości.

Mały Sklep swoją nazwę zawdzięczał głoszonej przez ciotkę Fee teorii małych rzeczy: wszystko, co sprzedawały, miał zapewnić małe dobro, lekką poprawę, która uczyni życie lepszym. Zazwyczaj pachniało tu ziołami i herbatą ulung, no i taką świecą, jaka akurat paliła się na ladzie, dzisiaj

jednak powietrze było drażniące, nieprzyjemne. Oklejało mi język. Rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym przepłukać usta, i na segregatorze dostrzegłam kubek z mrożoną kawą. Brzeg oznaczony był ciemną szminką cioci Fee. Dotknęłam kubka. Nadal zimny.

– Mamo? – powtórzyłam. – Ciociu Fee?

Zapaliłam pozostałe światła i weszłam do pustego sklepu. Wszystko tutaj było łagodnie białe lub w odcieniu wyrzuconego na brzeg drewna. Na tym tle oferowane produkty wyróżniały się jak dzieła sztuki. Moje spojrzenie pobiegło natychmiast ku rdzawej plamie przed ladą.

Krew. Zbyt dużo jak na krwotok z nosa, zbyt mało, żeby się zacząć rozglądać za zwłokami. W tej plamie leżało pasmo włosów. Przybliżyłam się i już wiedziałam, że to brązowoszare futro królika.

Poczułam rozpieranie w głowie, coraz silniejsze. Nie ból, jeszcze nie.

Odwróciłam się i przez tylne drzwi wybiegłam na miejski beton. Klęcząc w anemicznym świetle latarni, z płucami zatkanymi przesłodzonym powietrzem, zadzwoniłam do matki.

Od razu włączyła się poczta głosowa. Ona zawsze zostawiała telefon w samochodzie, pozwalając, aby bateria się rozładowała, a skrzynka wypełniła nagranyymi wiadomościami.

No to ciocia Fee. Przynajmniej usłyszałam sygnał. Kiedy jednak u niej także włączyła się poczta, zaklęłam tak głośno i soczyście, że stojąca kilka metrów ode mnie i zaciągająca się elektronicznym papierosem pracownica sklepu z krówkami rzuciła:

– Eeej!

Pokazałam jej środkowy palec i wsiadłam na rower. Gdy odjeżdżałam, gonił mnie jej śmiech.

Ciocia Fee mieszkała w piętrowym domu na końcu ulicy pełnej takich właśnie budynków, podmiejskich pierwszych domów dla rodzin z jednym dzieckiem. Podjazd okazał się pusty. Kiedy zajrzałam przez

okienko do garażu, nie dojrzałam jej samochodu. Zadzwoiłam do drzwi, jednak nikt nie otworzył.

Stałam na schodku i zastanawiałam się, czy sprawdzić, czy jakieś okno jest otwarte, kiedy piknął mi telefon.

Przepraszam, że nie odebrałam. Niedługo pogadamy, okej?

Ciocia Fee. Pięść wokół mego serca nieco się rozluźniła, kiedy opadłam na schodki.

Byłam w sklepie – odpisałam. Co się dzieje? Gdzie jesteście?

Za plecami miałam dom. Pusty, ale gdy czekałam na odpowiedź, zaczął mnie swędzieć kark. Zeszłam na trawę i odwróciłam się, aby mieć okna na oku.

Przepraszam – odpisała. Coś załatwiamy, ale z nami wszystko w porządku. Niedługo zadzwonię, mała Ivy.

Czytałam po raz kolejny jej słowa, próbując namierzyć źródło mojego niepokoju. Zrobiłam powolny wydech. Potarłam swędzący kark.

Czy ma to jakiś związek z królikami?

Tym razem nie odpisała. Postąpiłam jeszcze trochę na trawie, czekając, aż się odezwie, tak się jednak nie stało.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



Miasto  
*Wtedy*

NIM SKOŃCZYŁAM PIĘTNAŚCIE LAT, nauczyłam się być wieloma różnymi osobami. Przy tacie byłam trudna i nerwowa, pozerka. Przy dzieciach w szkole cicha i spokojna. Przy Fee nigdy nie musiałam się nad tym zastanawiać, więc kto to wie. W pociągu, na świecie byłam dziewczyną twardą jak hartowane szkło.

Ale Marion była jedną osobą. Nie chciała, nie potrafiła się zmieniać. Bywały dni, kiedy mi tym imponowała, lecz bywały i takie, że jej brak zgody na udawanie potwornie mnie wkurzał. Obie z Fee wiedziałyśmy, kiedy mamy stać się małe, a kiedy udawać, że czujemy się ważne, ale Marion nie zgadzała się być kimkolwiek innym niż osobą, którą była. Była zbyt zasadnicza, zbyt silna, nie znała się na żartach, chyba że sama była ich autorką. Pyskowała klientom na głos zamiast po cichu, a na gwizdy reagowała wręcz alergicznie.

Jej odmowa chodzenia na kompromis dodawała nam odwagi. Namawiała nas do zapuszczania się poza naszą dzielnicę, przemieszczania się wzdłuż długiego kręgosłupa miasta. Razem przeciskałyśmy się przez tłum na publicznych imprezach, trzymając się za ręce i udając, że ktoś czeka na nas z przodu. O drugiej w nocy zrobiliśmy sobie spacer pod wiaduktem, mijając śpiwory i sklepowe wózki. Za cenę kawy i ciasta odnajmowałyśmy stoliki w całodobowych bistrach uczęszczanych przez męczyzn w roboczych buciorach i gutter punkom strzepującym popiół do swoich jajek.

Marion podjęła pracę u taty w środku zimy, kiedy miasto pozostawało zahibernowane pod warstwą słonego lodu. To był wieczór pod koniec marca, początek odwilży. Siedziałyśmy na plaży w Farwell w ciuchach cuchnących rybim tłuszczem i dzieliłyśmy się butelką Malörta.

O tak późnej porze plaża stanowiła miejsce schadzek. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Było ciepło jak na tę porę roku, z boomboxa Marion leciały cicho kawałki Yo La Tengo. Choć raz była zrelaksowana, zanurzając łokcie w piasku. Głowa Fee spoczywała na moich kolanach, a ja zaplatałam jej czarne włosy w luźne warkocze, powoli i rytmicznie, jakby to był różaniec. Wzdłuż brzegu szło dwóch mężczyzn. Zobaczyłam, jak jeden z nich nas dostrzeża i chwyta kolegę za ramię, kierując go w naszą stronę.

Uniosłam nogi, aż Fee w końcu usiadła.

Ci dwaj biali faceci szli plażą, a koszule w prążki wystawały im ze spodni khaki. Ten, który pierwszy nas dojrzał, był chudy jak szczur i miał rozjaśnione sterczące włosy. Jego kolega był niższy i młodszy i miał wystający brzuch. Gdzieś udało mu się spalić na słońcu. Zatrzymali się kilka metrów od nas, zasłaniając widok na jezioro.

– Bry wieczór paniom – wymamrotał Szczur. Był tak pijany, że wyglądał, jakby miał ostre zapalenie spojówek.

– Panowie – odezwałam się. – Przyjemny wieczór w Admirale?

Ten spalony zamrugął.

– Nie byliśmy w Admirale.

– Ona z nas sobie drwi – powiedział Szczur, szeroko się uśmiechając. W szczywany sposób potrafił sprawiać pozory dowcipnego, tyle że pod nimi skrywała się czarna dziura. Wymierzył palcem w każdą z nas po kolei: Marion, Fee i mnie. – Niech no zgadnę. Ty jesteś ta zdzirowata, ty ta pikantna, a ty ta smutna laska emo.

– Lubię muzykę emo – odezwał się Spalony, promiennie się przy tym uśmiechając. – Grałem kiedyś w zespole. W liceum.

Szczur objął przyjaciela.

– Słyszycie? Która z was ma ochotę obciągnąć gwiazdzie rocka?



– Hę? – Spalony z trudem się na nas skupił. – Stary. To dzieci.

– Nie jesteśmy zainteresowane – odezwała się Fee, a ton głosu miała totalnie beznamiętny. – Idźcie sobie dalej.

Szczur klapnął na piasku.

– Idźcie sobie dalej! A ty co jesteś, cholerny... cholerny Johnny Corleone? Idźcie sobie dalej.

– Vito Corleone – poprawił go Spalony. – Chodź, Matt. Idziemy.

Wiedziałam, w jaki sposób pokryć pogardę wystarczająco grubą warstwą cukru, aby tego typu faceci się odczepili. „Przykro mi, mam chłopaka”, tego rodzaju teksty. Ale usta miałam przepełnione jadem, no i wkurzało mnie milczenie Marion.

– Posłuchaj kolegi, Matt – rzuciłam do niego. – Jesteś obleśny. Nikt cię tu nie chce.

Z twarzy Szczura opadła maska. Myślę, że chciał rzucić się na mnie i mi przyłożyć, ale pozostawał uwięziony przez dylemat sympatycznego faceta: jeśli jesteś zbyt miły, aby uderzyć dziewczynę, co masz zrobić, kiedy jakaś suka cię obrazi?

Ostatecznie niemal leniwie nachylił się i dwukrotnie zastukał knykциями w moją głowę. Mocno.

– Bądź dla mnie miłsza, skarbie.

Nim zdążyłam zareagować, wkroczyła między nas Fee. Odepchnęła go.

– Nie ma mowy, skurwielu! – wypluła z siebie. – Nie dotykaj jej.

Wtedy Marion zerwała się na równe nogi. Drżała, przed sobą trzymała wyciągnięte, zaciśnięte w pięści dłonie. Jej usta się poruszały, a twarz wyglądała na opętaną.

– Ty g-gnoju – wydyszała.

Szczur się zaśmiał, ale słyhać w tym było pewną nerwowość. Chyba wszyscy byliśmy wystraszeni.

– Myślałeś, że co tu się stanie? – Jej głos nadal drżał. – O jakich obrzydlistwach myślisz, kiedy zaczepiasz dziewczyny, które cię nie chcą?

Podwinał wargę.

– Chcesz pogadać o brzydocie, mała? To spójrz w lustro.

Marion znieruchomiała. Chociaż nie, ona odzyskała równowagę i wyprostowała się niczym płomień lampy sztormowej. Kiedy się odezwała, głos miała cichy. Był to rytmiczny pomruk, który wprowadzał zamęt w moim sercu.

– Niech wszystkie jego myśli się pokażą. – Jej głos nabierał mocy i pewności. – Niech ich mroczna materia dotknie powietrza. Niech zaatakują go od zewnątrz.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Taa, spadam stąd – oświadczył Szczur i położył dłonie na kolanach. – Pierdolone dziwadła.

Gdy wstał, coś mu sfrunęło na policzek. Miało opalizującą poświatę cykady, skrzydła z czerwonej koronki i czarny pancerz. Strzepnął to coś.

Drugi owad wylądował mu na skroni. Tym razem zabił go, zostawiając plamę nad brwią.

– Co, do licha? – mruknął, patrząc na dłoń.

Teraz pojawił się trzeci – wyłonił się z mroku i przysiadł mu na brodzie.

I kolejny.

I kolejny.

Ich skrzydła rachitycznie trzepotały, odnóża przemieszczały się po jego czole, policzkach i szyi oraz skórze widocznej ponad zapięciem koszuli. Odganiał je, a skóra mu czerwieniała i połyskiwała potem.

– Co to... kim ty jesteś... – Owad wylądował na jego ustach. Kwiląc, przejechał po nim ręką, po czym krzyknął, kiedy zaatakowała go nowa fala.

– Nie. Nie, nie, nie, nie...

A potem przestał mówić i mocno zacisnął usta. Przewrócił się, krzyczał z zamkniętymi ustami, pocierał twarzą o piach. Nie miałam pojęcia, czy owady kęsa go, gryzą czy jedynie pełzają mu po skórze, za to było ich coraz więcej.

Cofnęłam się przerażona. Fee kopnęła w faceta piachem, chyba próbując w ten sposób odgonić robale. Marion tylko patrzyła. Usta miała otwarte, twarz niczym pokój, z którego ktoś właśnie wyszedł i zatrzęsnał za sobą drzwi.

– Pomocy! – zawołał Spalony. – Pomóżcie nam!

Nad brzegiem wody jakiś mężczyzna z plecakiem zwolnił, aby popatrzeć. Na ścieżce dwoje rowerzystów zawróciło, patrząc w naszą stronę.

– Pora się zbierać. – Fee zbierała nasze rzeczy. Głos miała spokojny, lecz coraz wyższy. – Idziemy, ale już, Marion, *mueve tu culo!*

Marion odzyskała świadomość. Zaszokowana przyjrzała się tej scenie, jakby była zupełnie bez winy. A potem zaczęła biec.

– Zaczekaj! – wrzasnął Spalony, kucając blisko, ale nie za blisko wijącego się na piachu kolegi. – Wracajcie!

Pędziłyśmy po piasku. W ramionach trzymałam boombox Marion. Oczy zachodziły mi łzami, nogi miałam jak z waty, a kiedy w końcu dotarliśmy do Morse, ledwie byłam w stanie się na nich utrzymać.

– Stop – wydyszałam. – Stop.

Obejmowałyśmy się, podtrzymując się nawzajem, a dźwięki wydobywające się z naszych ust brzmiały nieco jak śmiech. Marion wyrwała nam się nagle, po czym zwróciła na trawę frytki i Malörta. Po wszystkim przytulałyśmy ją i głaskałyśmy po plecach, kiedy płakała.

*Co ty zrobiłaś?*

– Nie wiem – powtarzała Marion. – Nie wiem.

*Jak to zrobiłaś?*

Na czubkach butów miała wymiociny. Wytarła je o krawężnik.

– Proszę. Przestańcie pytać.

Słysząc było, że mówi poważnie. Milczaliśmy długą chwilę, ale w końcu nie wytrzymałyśmy.

*Czy my też tak byśmy mogły?*

Siedziałyśmy na skraju parkingu przed supermarketem, a wokół naszych stóp fruwały puste opakowania po chipsach. Fee pobiegła tam wcześniej, aby kupić Marion wodę, i wróciła z buglesami, pop tartsami i doritosami. Wszystko to było takie pyszne, takie elektryczne, pełne sztucznego aromatu, który palił mnie w język. Od nowa się śmiałyśmy, z ustami pełnymi okruchów, wspominając to, jak Szczur padł na kolana, a potem twarzą w piach.

– Tak – powiedziała Marion. Nieśmiało, jak staroświecka panna młoda. – Jeśli chcecie. Możemy to robić razem.

„Jeśli”, tak powiedziała. Jeśli chciałyśmy nauczyć się jak być dziką, jak mieć władzę, jak sprawiać, by skurwiele padali na kolana. W życiu nie pragnęłyśmy niczego równie mocno, jak właśnie tego.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



Przedmieścia

*Teraz*

PRZEJECHAŁAM PRZED PODJAZD i na jego końcu zastałam mojego brata. Siedział w słońcu i rolował skręta. Przyjrzał mi się zmrużonymi oczami.

– Twoje usta już lepiej wyglądają. Ale wydawało mi się, że masz szlaban. Zostawiłam rower przy garażu.

– I co z tego? Tobie na sucho uchodzi dużo więcej.

Hank wzruszył ramionami, jakby to potwierdzał.

– Tata mi powiedział, co się stało z twoim gównianym chłopakiem. Mam coś z tym zrobić?

– Byłm chłopakiem. I zdecydowanie nie.

– Następnym razem zadzwoń po prostu do mnie, kretynko. Gdybyś potrzebowała podwózki.

– W porządku, ale lepiej wtedy odbierz. – Usiadłam obok. – No więc tak. Hank.

– No więc tak. Ivy.

– Wiem, że nie chcesz tego robić. Nigdy. Ale musimy pogadać o mamie. Nie odrywał wzroku od skręta.

– Szczerze? To ostatnie, co musimy zrobić.

– Mówię poważnie – upierałam się. – Coś się z nią dzieje. Nie rozmawiałeś z nią ostatnio, co?

– Rozmawiać? Z mamą? A to zabawne.

Ich niepewna relacja była strupem, którego starałam się nie zdrapywać. Na ogół.

– Posłuchaj mnie. Wczoraj w nocy widziałam, jak zakopuje coś w ogrodzie. No więc to wykopałam.

Znieruchomiał.

– Tak?

– To był słoik z krwią. I zbitym szkłem. I krwią! O co, kurde, chodzi?

– Wczoraj była pełnia?

Serce mi przyspieszyło.

– Nie jestem pewna. Chyba nie. Dlaczego?

– To mi brzmi totalnie jak coś, co robi biała dama New Age w blasku księżyca w pełni. Pewnie coś związanego z dobrobytem, co przeczytała w jakiejś książce.

To brzmiało tak irytująco wiarygodnie, że aż wyjęłam telefon i otworzyłam zdjęcie martwego królika.

– W porządku, tyle że ktoś zostawił przedwczoraj to na naszym podjeździe. A ja właśnie wróciłam ze sklepu. Jest bez powodu zamknięty i właściwie mam niemal pewność, że ktoś zostawił tam na podłodze kolejnego królika.

Hank zerknął na ekran, po czym się skrzywił.

– Fuj, kto robi zdjęcie takiemu czemuś? Wiem o króliku, widziałem, jak tata myje szlauchem podjazd. Podrzuciło go pewnie to dziecko kukurydzy, jak on tam ma na imię, ten z niebieskiego domu.

– Peter.

– No tak. Peter. Ale jeśli się martwisz, pogadaj z ciocią Fee.

– Napisałam do niej. Później ma do mnie zadzwonić.

– To dobrze. – Przez chwilę mi się przyglądał, po czym pokręcił głową. – Powie ci, jeśli dzieje się coś złego. Mama by tego nie zrobiła, ale ona owszem.

– Pewnie tak. – Zawahałam się. Powiedzieć mu o sejfie w garderobie czy nie?

Uznałam, że jeszcze nie teraz. Chciałby znowu się tam włamać, zobaczyć na własne oczy. Albo zupełnie by to zbagatelizował. Tak czy inaczej wywołałoby to tylko moją irytację.

Hank uniósł gotowego skręta.

– Chcesz?

– Nie trzeba.

– No i dobrze.

Schował go do pustego pudełka po pastylkach, po czym strzepnął okruchy z kolan, jakby zaraz miał wstać. Ale ja jeszcze nie skończyłam, więc otworzyłam usta i powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy.

– Pamiętasz Hattie Carter? – spytałam.

– O Boże. – Zaśmiał się cicho. – Wszyscy pamiętają Hattie Carter.

– No tak, ale czy wiedziałeś, że była moją dręczycielką?

– Miałaś dręczycielkę?

– Każdy w pewnym momencie ma. Chyba że samemu jest dręczycielem.

Starałam się, aby mój głos brzmiał lekko, ale bezskutecznie. Cola wlana mi do szafki. Plotki o mojej rzekomej zdirowatości. Ból brzucha w niedzielę wieczorem. Najgorsze, że to wszystko było totalnie przypadkowe. Była po prostu palantką z w-fu, która bez powodu terroryzowała mnie tygodniami, aż w końcu nasz nauczyciel przyłapał ją na tym, jak wysyłała swoim koleżankom zrobione w szatni zdjęcie mnie w samej bieliźnie. Podchodziło to na tyle blisko pod terytorium sądowe, że szkoła ruszyła tyłek i coś z tym zrobiła.

Coś: pewnego dnia wywołano nas z lekcji i kazano nam usiąść razem z rodzicami w gabinecie dyrektorki. Dyrektorka zafundowała nam ogólny wykład, którym zdawała się potępiać także mnie, o klikach, odpowiedzialnym wykorzystywaniu telefonu i akceptacji dzielących nas różnic. Myślałam, że mama przewierci ją spojrzeniem na wylot. Hattie wręczyła mi list z przeprosinami, napisany zielonym długopisem żelowym

i oklejony błyszczącymi naklejkami ze szczeniakami, co dyrektorka odebrała jako uroczy gest, ja jednak wiedziałam, że jest to pasywno-agresywne zachowanie zatwardziałego potwora, który przez połowę pierwszej klasy szczekał na mnie na korytarzach.

Mój tata gotował się ze złości, opiekuńczo trzymając rękę na moim ramieniu, gdy tymczasem jej nawet nie udawał, że nie przewija czegoś w swoim telefonie. Jej mama w ogóle się nie zjawiała. Moja siedziała w bezruchu, z paznokciami wbitymi w kolana i błędzącym po twarzy dziwnym uśmiechem. W końcu wstała, wygładziła sukienkę i z tym samym lekkim uśmiechem oświadczyła dyrektorce, że jej interwencja to farsa, że w ciągu roku straci tę posesję, a następnie przeniosła swoje paznokcie na moje ramię i wyprowadziła mnie z gabinetu.

Mama miała rację. Dwa miesiące później dyrektorka „zrezygnowała” na fali plotek o niestosownych esemesach wysłanych niedawnemu absolwentowi. Jej odejście mama po prostu zgadła albo może te esemesy uratowały ją przed koniecznością podłożenia heroiny do samochodu tej kobiety. Dana Nowak w ogóle by mnie czymś takim nie zaskoczyła.

Wcześniej jednak nadszedł upadek Hattie. Szkolny talent show odbywał się w ciepły, kwietniowy wieczór, zaledwie tydzień po tym, jak w gabinecie dyrektorki posłała mi krokodyli uśmiech. Razem z chórem wspierałam pewną uroczą uczennicę dziesiątej klasy i jej interpretację *You Can't Always Get What You Want*. Znajdowałam się na widowni, cała spocona pod poliestrową togą chórzystki, kiedy na scenie pojawiła się Hattie.

Robiła usta „złego faceta”. Niebieskie oczy miała obwiedzione brokatową kredką w stylu pierścieni Saturna, a nażelowane włosy zaczesła gładko do tyłu. Wiedziałam, jak bardzo w środku jest zepsuta. Fakt, że mimo to potrafiła tak pięknie wyglądać, sprawiał, że chciało mi się płakać.

Jej występ był drewniany i zaskakująco pozbawiony wdzięku, choć przyjaciółki przez cały czas wydawały okrzyki zachwytu. Aż nagle znieruchomiała na środku sceny. Piosenka leciała, jednak usta Hattie się



nie poruszały. Kiedy objęła się obiema rękami w pasie, pomyślałam, że zaraz zwymiotuje.

Nie zwymiotowała. Zbiegła ze sceny z nogami rozstawionymi jak u kowboja, a jej oczy przepełniała panika. I nie miało znaczenia to, że nikt tak naprawdę nie miał pewności, co się stało. Nazajutrz niemal wszyscy uczniowie we wszystkich klasach wiedzieli, że Hattie Carter zesrała się w majtki na scenie.

Po tym, jak pobiegła za kulisy, a ciszę przerywały jedynie wybuchy nerwowego śmiechu, zerknęłam na moją matkę. Uważałam, że jednoczy nas nienawiść do Hattie, i sądziłam, że może też na mnie spojrzeć i uśmiechnie się albo puści oko, albo szepnie: „Dobrze jej tak”. Ale ona stała zwrócona do sceny, brodę miała uniesioną i nadal wpatrywała się w miejsce, gdzie wcześniej stała Hattie. Usta miała wygięte w takim samym niebezpiecznym uśmiechu, jaki prezentowała w gabinecie dyrektorki.

Myślałam też o tym wszystkim oraz o Nacie i naszych rozbitych wargach. I o uczuciu dręczącym mnie od lat, że moja matka zachowywała się najbardziej jak mama, kiedy była wściekła w naszym imieniu. Jak zły chłopak. Jak dziewczynka, która nie chciała, aby ktoś inny bawił się jej lalkami.

– Ta sprawa z Hattie na talent show. To było zaraz po tym, jak mama się dowiedziała, że mi dokucza. – Zawahałam się. – A pamiętasz trenera Keene’a?

– Tego bigota? – zapytał Hank z nutką odrazy w głosie. – Pewnie, że pamiętam.

– Ostatecznie go nie zdiagnozowano, prawda? A zachorował parę dni po tym, jak ci nagadał? – Spojrzałam na Hanka. Z tak bliska jego wielkie, niebieskie oczy mamy wyglądały nieco niepokojąco. – Myślisz... zastanawiałeś się kiedyś, czy mama...

– Ivy! – Uderzył pięścią w swoją nogę, po czym rozwinął dłoń. – Przestań. Za dużo myślisz.

– Za dużo myślę? – Dałam mu prztyczka w skroń. – Boisz się, że zepsuję sobie mój kobiecy mózg?

– Chodzi mi jedynie o to, że mama to mama. Wiemy o tym. A ty nie masz w tej chwili nic do roboty, więc robisz z tego wielkie halo. Przeczekaj szlaban. Przebolej go. A potem zapomnij o wszystkim. I... nie przejmuj się, okej? Nie ma sensu.

Po drugiej stronie ulicy na podjazd Paxtonów zajechało kombi. Obserwowałam, jak z samochodu wysypuje się Billy i jeszcze trzy osoby: dwie dziewczyny i chłopak, którego znałam ze szkoły. Zastanawiałam się, czy w tym gronie jest dziewczyna Billy'ego.

Hank szturchnął mnie w ramię, tak że łokieć, na którym się wspierałam, spadł mi z kolana.

– Dobry masz widok? Paxton wyprzystojniał, co nie?

Skrzywiłam się.

– Patrzę po prostu przed siebie. Moje spojrzenie zatrzymało się na jego domu!

– Taa, na pewno chcesz zatrzymywać spojrzenie na jego domu.

Billy wpuścił przyjaciół do domu. Nim wszedł za nimi, zatrzymał się i obejrzał na mnie. Pomyślałam o rysunku znalezionym w pudełku po cygarach, o jego młodszej, rozgwieżdżonej twarzy i spuściłam wzrok.

– Hank. Zamknij się, zanim cię usłyszy.

– Nie wiedziałem, że ma ponaddzwiękowy słuch nietoperza. To jest naprawdę hot. – Kiedy Billy zniknął za drzwiami, Hank zerknął na mnie z ukosa. – A tak w ogóle to co się między wami wydarzyło?

Z jękiem odchyliłam głowę.

– Miałam dwanaście lat. Czy w tym wieku jest się ekspertem od delikatnego dawania komuś kosza? Byłam zażenowana!

Bo to właśnie ten incydent z siódmej klasy nadal sprawiał, że oblewała mnie fala wstydu. Mały Billy Paxton, przypadkowy szóstoklasista, który mieszkał po drugiej ulicy, w drugim tygodniu roku szkolnego podszedł do mnie. „Ivy”, tak powiedział, a na jego twarzy malowała się taka

determinacja, jakbym była plutonem egzekucyjnym. „Będziesz moją dziewczyną?”.

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem, twarze nas obojga stawały się coraz bardziej czerwone, inni uczniowie gromadzili się wokół nas, aby obserwować tę dramę. „Nie, dziękuję”, odparłam w końcu mechanicznie, po czym odwróciłam się na pięcie i uciekłam do ubikacji. Od tamtej pory nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, aż do tamtej nocy z Nate’em. Ani słowa.

Hank zamrugał.

– Rany, ale z ciebie królowa lodu. Biedny Billy.

Coś tam zaczęłam dukać, ale w tym momencie jego telefon zawibrował chyba po raz dziesiąty, odkąd tu usiadłam. Westchnąwszy głośno, wyjął go z kieszeni. Na ekranie widać było cały ciąg wiadomości od jego chłopaka ze studiów. Takie olewanie w celu zakończenia znajomości to u Hanka nic nowego.

Uniósł telefon.

– Idź sobie. Muszę się skupić na zerwaniu z Jaredem.

Przechyliłam głowę, aby odczytać ostatnią wiadomość:

Dziwnie się zachowujesz czy po prostu jestem przewrażliwiony?

– Och, koniecznie – odparłam. – Musisz być skupiony podczas zrywania z kimś za pomocą wiadomości tekstowej. W przeciwnym razie byłoby to niefajne.

– No jasne. – Albo nie załapał, albo nie dał się sprowokować. Gdy jednak wstałam, chwycił mnie za kostkę. – Hej. Ivy. Nie wchodziłbym mamie w drogę. Na twoim miejscu.

Dotknęłam ręki, na której pojawiła się gęsia skórka.

– Co masz przez to na myśli?

Unikał mojego wzroku.

– Pozwól jej po prostu robić to, co chce. Oboje niedługo stąd wyjedziemy.

– Rozdzwonił się jego telefon. – A teraz jeszcze dzwoni? – zapytał z niedowierzaniem i machnął na mnie ręką, każąc mi sobie pójść.

W kuchni spryskałam sobie twarz wodą z kranu. Przez cały ranek bawiłam się w detektywa i nie przyniosło to nic oprócz strachu. Ostrzeżenie Hanka, krew na podłodze Małego Sklepu. Wstrętnei Nate i Hattie Carter, i dezorientująca zawartość ukrytego w garderobie sejfu. Ciocia Fee nadal nie zadzwoniła.

Wtedy przypomniał mi się adres, ten, który znalazłam na starym paragonie. Kiedy go sprawdziłam, okazało się, że to sklep w miasteczku studenckim na północ od nas. Kwiaciarnia sprzedająca książki. Zadzwoniłam tam.

– Płatki i Proza – odezwała się ciepło jakaś kobieta, a jej głos miał intonację wznoszącą.

– Dzień dobry, mam na imię... eee, przepraszam. Czy mogłabym się dowiedzieć, od jak dawna istnieje ten sklep?

Pauza.

– Jesienią minie osiem lat.

– A nie wie pani przypadkiem, co tu było przed wami?

– Byliśmy sklepem z płytami. Och, niech no pomyślę. Dr. Wax, tak się to nazywało.

– Czyli to właśnie mieściło się pod tym adresem dwadzieścia pięć lat temu?

– Nie... przepraszam, możesz chwilę zaczekać? – Kiedy znowu się odezwała, jej głos był stłumiony i zwracała się do innej osoby. Słuchałam, jak mówi i śmieje się z czegoś. Po kilku minutach wróciła do mnie. – Jesteś jeszcze?

– Jestem.

– Okej. Ten sklep z płytami mieścił się jednak po sąsiedzku. Nasz lokal długo stał pusty. Dwadzieścia kilka lat temu było tu miejsce zwane "Twixt and Tween".

Przycisnęłam telefon do ucha.

– Twicksintween? Mogłaby to pani przeliterować?

– "Twixt and Tween – powiedziała powoli. – Jak *betwixt and between*<sup>[2]</sup>? Wiesz co, ja stąd nie pochodzę. Dam słuchawkę właścicielce.

Jakieś szelesty, a chwilę później usłyszałam nowy głos. Mniej przyjazny, starszy.

– Halo? Interesuje cię historia tego lokalu?

– No. Tak.

– Wolno mi spytać dlaczego?

Nie przygotowałam sobie żadnego kłamstwa, więc powiedziałam prawdę.

– Wydaje mi się, że moja mama tam bywała. W miejscu, w którym był pani sklep, kiedy ona miała tyle lat, co ja.

Cisza. Kiedy kobieta znowu się odezwała, jej szorstki głos zawierał w sobie nutkę czegoś złożonego.

– Czyli była jedną z dziewczyn Sharon.

W domu panowała cisza. Słyszać było jedynie wiatr poruszający moskitierą w oknie.

– Zgadza się – powiedziałam. – Próbuję dotrzeć do Sharon.

„Sharon nie żyje” – wyobraziłam sobie, jak mówi. Albo: „Dałaś się nabrać, kłamczucho, zmyśliłam ją sobie!”. Zamiast tego usłyszałam:

– No to podyktuj mi swoje imię i numer telefonu. Nic nie obiecuję, ale jej to przekażę.

Tak zrobiłam i podałam także imię mojej mamy. A potem położyłam się na łóżku i ze wzrokiem wbitym w sufit pozwalałam, aby moje myśli drgały niczym liście.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY



Miasto

*Wtedy*

DWA DNI PO TAMTYM INCYDENCIE NA PLAŻY wsiadłyśmy w autobus jadący na północ.

Pierwszy raz wybierałyśmy się w odwiedziny do Marion. Nie wiem, co sobie myślała Fee, ale ja zakładałam, że Marion jest taka sama jak my. Nie na tak biedna, aby korzystać z opieki społecznej czy aby groziła jej eksmisja, ale generalnie niezamożna. Ubierała się tak jak my, w paskudne ciuchy z second handów. Malowała sobie pierścionki na palcach i kreski na powiekach tym samym niebieskim piórem kulkowym, a za serwowanie paluszków rybnych budowlańcom i gburowatym okolicznym mieszkańcom dostawała pod stołem płacę minimalną. Nikt by o niej nie pomyślał, że ma pieniądze.

To było jedno z tych wiosennych popołudni, kiedy powietrze jest tak przejrzyste, że skupia cały świat niczym soczewka, a mimo to jest tak zimno, że człowiek się trzęsie. Po zaledwie półgodzinnej podróży wysiadłyśmy z autobusu, czując się tak, jakbyśmy trafiły do Oz. Wszystkie trawniki okazały się aksamitne i wypieszczone, wszystkie twarze dobrze odkarmione. Słońce przebijało się przez chmury pod postacią złotych sztabek, jakby nawet światło po opuszczeniu miasta stawało się kosztowne.

Obcięte brzegi dzinsów Marion ocierały się o jej conversy, gdy prowadziła nas ulicami swojego spokojnego miasteczka uniwersyteckiego, mijając domy usadowione niczym żaglówki na trawiastych falach. Kiedy

skręciła w łupkową ścieżkę wiodącą do jej domu, razem z Fee popatrzyłyśmy na siebie za jej plecami. To spojrzenie było ostre niczym nóż do tektury.

Przez nieskazitelnie czyste wnętrza prześlizgiwałyśmy się niczym odrażające glisty. Przyglądając się przedmiotom, które pełniły wyłącznie funkcję dekoracyjną, otwierając lodówkę, w której zamiast puszek z piwem i napromieniowanego mięsa z marketu kryły się sok ze świeżo wyciśniętych pomarańczy i hummus. Marion była kleptomanką, ale w tym miejscu to mnie aż świerzbiły palce. Z drewnianej popielniczki zwinęłam rzadką pięciocentówkę, a z oparcia fotela na biegunach cienką książeczkę zatytułowaną *Dream Work*. Fee obserwowała mnie z ustami zaciśniętymi w linię cienką jak horyzont.

Ten dom był konfesjonałem. Przed nami leżały grzechy Marion: to, że mieszkała w miejscu z pianinem i myła włosy markowym szamponem. Że co wieczór kładła się spać w łóżku z baldachimem w kwiatki. A prześcieradło miało nawet falbankę.

Z szafki nocnej wzięłam zdjęcie, na którym nastoletnia Marion promiennie się uśmiecha, a jej cera sprawia wrażenie ziemistej na tle żółtego, satynowego kostiumu do tańca i ust muśniętych sceniczną szminką. Moje kciuki pozostawiły ślady na szkle, paznokcie pomalowane czarnym, łuszczącym się lakierem *Wet'n Wild*.

Przez całą *tour* po domu milczałyśmy, teraz jednak się roześmiałam. W tym śmiechu kryła się cała moja zazdrość, całe poczucie zdrady, a to wszystko okraszone pogardą. Fee sięgała po jednorozca z dmuchanego szkła, uchwyconego w trakcie skoku. Kiedy się odwróciła, zapytała głosem tak ostrym, jakiego jeszcze u niej nie słyszałam:

– Po co ci ona w ogóle?

Miała na myśli magię. Minęło dopiero parę dni, odkąd się dowiedziałyśmy, że istnieje, a mimo to wyczuwałyśmy, że magia nie wywodzi się z puchu i dostatku.

Marion stała pośrodku swojego pokoju bogatej dziewczynki, wyrastając z żółtego dywanu niczym chwast.

– Jeśli wam opowiem, to mnie wysłuchacie?

Wzruszyłyśmy ramionami. Byłyśmy dwiema płochliwymi miejskimi myszami, wygryzającymi dziury w dywanie. Ostatecznie jednak zamieniłyśmy się w słuch.

Marion była niespodziewanym dzieckiem rodziców w dojrzałym wieku, które przyszło na świat, kiedy ich synowie wyfrunęli już z rodzinnego gniazda. Matka i ojciec byli dla niej pobłażliwi, lecz zdystansowani, chętnie powierzając opiekę nad córką kolejnym nianiom.

Marion starała się być posłusznym dzieckiem, które po ich domu chodziło na palcach niczym gość. Żywiła przekonanie, że zachowywany przez rodziców dystans to wyłącznie jej wina i że może uda jej się temu jakoś zaradzić. Lecz z czasem oni coraz bardziej się oddalali.

Miała dwanaście lat, kiedy w końcu odpuściła sobie chęć zadowolenia ich. Tyle zajęło jej czasu, aby do niej dotarło, że nic, co jest obecne w jej życiu, nie należy tak naprawdę do niej. Jej młodsza wersja zaczęła się czuć jak zmarła siostra nadal nawiedzająca ich dom. Na ścianach wisały jej zdjęcia, ale to Marion sypiała niespokojnie w jej łóżku z baldachimem. A może wszystko pokręciła? Może to ona była duchem.

Kiedy nie przebywała w szkole, włóczyła się po kampusie, gdzie jej rodzice pracowali jako wykładowcy, wślizgiwała się do sal wykładowych i czytała na trawie. Mnóstwo czasu spędzała w głównej bibliotece uniwersyteckiej, wybudowanym z czerwonej cegły ulu studenckiej aktywności i jasno oświetlonych kabin do czytania. Drugą biblioteką – oazą badaczy, powstałą w latach czterdziestych – Marion nie zawracała sobie głowy. Nie była nawet do końca pewna jej lokalizacji.

Znalazła ją w pewien mroźny poniedziałek.

Po lekcjach kręciła się dookoła, zabijając czas pod zimowym niebem błękitnym niczym oczko w pierścionku. Była już niemal pora kolacji, ale nikt na nią nie czekał – mama miała dyżur na uczelni, a tata seminarium. Od domu dzieliło ją półtora kilometra, zapomniała szalika i bez jakiegoś



szczególnego powodu chciało jej się płakać. Była na tyle rozkojarzona, że nieznamy chodnik pomyliła ze skrótem.

Latarnie tutaj były stare i malowały jej skórę na brzydki pomarańcz. Szybko się zorientowała, że idzie w złym kierunku, ale szła dalej, aż ścieżka rozlała się w misę zamrożonej trawy.

Za nią mieścił się najdziwniejszy budynek, jaki w życiu widziała: wielopoziomowy Frankenstein, wyposażony w okna o przedziwnych kształtach i nieoczekiwane wychodnie. Według mosiężnego szyldu na froncie budynku była to ta druga biblioteka.

Marion sprawdziła godzinę na swoim różowym swatchu: 17.35. Pchnęła rzeźbione, drewniane drzwi i nie minęło dwadzieścia pięć minut pozostałe do zamknięcia biblioteki, a się zakochała.

Bibliotekę ekscentrycznie zaprojektowano jako pełną tajemnic niczym kalendarz adwentowy. Znajdowały się tutaj ukryte wnęki, półpiętra i galerie, a na drugim piętrze kącik czytelniczy, który Marion zaanektowała dla siebie. Co rusz natrafiało się na witraże: na szczycie schodów na dziewczynę z nożem i jabłkiem, na korytarzu na drugim piętrze na lisa skulonego pod krzakiem róży.

Prawo do korzystania z księgozbiorów miała wyłącznie kadra i goszczący na uczelni badacze, ale Marion była dzieckiem dwojga zatrudnionych na etacie profesorów, a jej matka twardą ręką zarządzała wydziałem antropologii. No i umiała się cicho zachowywać. Nie była nieśmiała, nie była urocza, po prostu łatwo wtapiała się w tło, umykając spojrzeniom dorosłych. Nie minęło wiele czasu, a strażnik przy drzwiach na jej widok tylko machał ręką.

W bibliotece zawsze panował chłód jak w katedrze. Najzimniej było w piwnicy, a labirynt regałów przecinały salki czytelnicze. Wykładziny pochłaniały dźwięki, więc zawsze człowiek myślał, że jest sam, dopóki nie wpadało się na jakiegoś starego profesora, który gapił się na ciebie, jakbyś był jednym z bliźniąt z *Lśnienia*.

Marion nie wierzyła w zjawiska nadprzyrodzone – jej rodzice mieli w zwyczaju podważać jej obawy chłodnymi naukowymi faktami i choć to było irytujące, to się sprawdzało. Ale ten akurat poziom biblioteki zdawał się mieć warstwy. Wyczuwało się nagromadzoną tutaj historię, kładącą łuszczącą się łapę na twoim karku. Marion raczej nie zapuszczała się do piwnicy.

Przed długi czas spodziewała się – miała nadzieję – modliła się o to, aby jej życie uległo zmianie. Ale ono przypominało zepsutego flipbooka. Gdy odkryła bibliotekę, miała lat dwanaście. A czternaście – wyższa, bardziej samotna, bardziej zła na to, że jest sama – kiedy się tam schowała przed nadciągającą wrześnieją burzą.

Strażnika nie było w jego zwyczajowym miejscu. Recepcja także okazała się pusta. Marion nie była tu już jakiś czas. Książki zawsze stanowiły lekarstwo na jej samotność, ostatnio jednak zastanawiała się, czy nie stanowią przypadkiem także jej przyczyny. Dopiero co zaczął się rok szkolny, a dziewczyny z jej klasy zdążyły zewrzeć szeregi. Wymieniały się błyszczkami Dr Pepper, opowieściami o tym, która doszła do trzeciej bazy, i podniszczonym egzemplarzem *Mojej słodkiej Audriny*, którą Marion już czytała. Żadna nie była dla niej otwarciem niemila, ale nie pożyczaly jej pomadek Lip Smacker.

Nosiła odpowiednie stroje, jej matka nadal o to dbała. Nie była brzydka. Głos miała normalny, ładnie pachniała, a mnóstwo dzieci było o wiele bardziej dziwnych, a jednak miały przyjaciół. W takim razie dlaczego ona zawsze była sama? Dlaczego?

Wbiegała po głównych schodach, potykając się w botkach za kostkę, kiedy zobaczyła ptaka. Poczula go: obdarzony skrzydłami pocisk, który przemknął obok jej ramienia, tak blisko, że poruszyły się jej włosy. A potem przysiadł na górnym stopniu i ją obserwował. Kardynał, promienny i osobliwy jak elf.

Marion otarła mokre oczy.

– Cześć – rzuciła.

Ptak sfrunął ze schodka. Poszła za nim w dół schodów, licząc, że uda jej się go wypuścić przez otwarte drzwi, on jednak skręcił w lewo, frunąc wzdłuż gzymsów z tłoczonymi liśćmi winogron, i przeleciał przez drzwi prowadzące do piwnicy.

Marion zatrzymała się. To tylko głupi ptak. Mogła udawać, że go nie widziała. Wtedy uświadomiła sobie, że jedyną osobą, przed którą by udawała, jest ona sama, a myśl ta okazała się tak żalosna, że dziewczyna poszła za ptakiem w ciemność.

To znaczy, nie było tam ciemno. Na schodach panował półmrok, ale nie było tak, że nic nie było widać. Marion wcisnęła dłonie do kieszeni kurtki, pomiędzy miękkość starej chusteczki i okruszki owsianego batonika, no i rozejrzała się w poszukiwaniu ptaka.

Jak na zawołanie zaświergotał gdzieś przed nią. Niechętnie poszła za nim przez dział historii wojen okresu średniowiecza, poezji epickiej, podkategorie, które zajmowały jedynie fragmenty regałów. Ten mały dupek pewnie obsrywał właśnie coś cennego, no i proszę, znowu zniknął. Po chwili dojrzała błysk czerwonych piór pod marmurowym łukiem i ruszyła szybko w tamtą stronę ze wzrokiem skierowanym ku górze. Kardynał zniknął. Kiedy spuściła wzrok, zrobiła głośny wdech.

Ale nie krzyknęła. Jej serce wkrótce zwolniło, a szok przekształcił się w ciekawość. Później będzie się zastanawiać, czy to szybkie odzyskanie równowagi było godne podziwu czy straszne. Nie potrafiła tego stwierdzić.

Na środku pomieszczenia stał stół z ciemnego drewna inkrustowanego powtarzającym się wzorem owoców z jasnego drewna. Na jedynym krześle przy stole siedziała badaczka, którą Marion miała już tu okazję widzieć – czterdziestokilkuletnia kobieta z fryzurą na grzybka. Siedziała przygarbiona, czołem niemal dotykając blatu. Stojąca w drzwiach Marion widziała szklistość otwartego prawego oka.

Biblioteka była miejscem, w którym całe dni można by przeleżeć martwym. Ale ta kobieta była martwa od niedawna. Po pierwsze, nie było nic od niej czuć. To znaczy było, ale zwykłymi, ludzkimi rzeczami.

Zwietrzałą kawą, szamponem kokosowym i przesłodzoną wonią cygar Swisher Sweets. Gdy Marion pochyliła się nad nią, jej oddech poruszył satynowymi włosami. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby nieboszczka miała podnieść głowę.

Jeżynowa szminka wyglądała tak świeżo, że łatwo było sobie wyobrazić, jak kobieta nakłada ją, przeglądając się w jednym z bibliotecznych luster. Jej skóra nie była ani ciepła, ani zimna. Za to herbata w termosie nadal gorąca. Marion posmakowała ją i wyczuła zapach szminki.

Pod prawą ręką kobiety leżała wciśnięta książka. *Howlett House: historia*. Tak się nazywała ta biblioteka w swoim pierwszym życiu; teraz to była Biblioteka Howlett House. Marion ściągnęła brwi, bo ta książka wydawała się zbyt nijaka, żeby na niej umrzeć. Ale to było, zanim przeczytała strony, na których pozostała otwarta – i zanim się zorientowała, że lewa dłoń kobiety, ukryta pod stołem, ściska drugą książkę. Zarówno książka, jak i dłoń wsunięte były do pojemnej, czarnej torby stojącej na jej kolanach, jakby była uczennicą próbującą ją ukryć przed nauczycielem.

Książka warta ukrycia to książka warta wyszarpięcia ze stygnących palców martwej kobiety, zwłaszcza kiedy widać było, że pogięta, pozbawiona kolorów okładka jest kusząco pusta, a całość wygląda na zbyt starą, aby być notatnikiem nieboszczki.

Gdzieś z głębi piwnicy do uszu Marion dobiegły głosy. Może nie jakoś specjalnie spanikowane, ale ożywione i na tyle liczne, że wiedziała, że nie odkryła zwłok pierwsza.

Szybko się wyprostowała. Obie książki trafiły do jej plecaka. W czeluściach torby martwej badaczki połyskiwała złota szminka. Marion ją także wzięła.

Następnie wyślizgnęła się z pomieszczenia. Udała się okrężną drogą w stronę schodów, zerkając między regałami, gdy przez korytarz szybkim krokiem przechodziły dwie bibliotekarki i dwoje ratowników medycznych. Kiedy zniknęli z pola widzenia, chyłkiem wbiegła po schodach.

Burza przyciskała nos do wszystkich okien, ślisko ciemnych i naznaczonych ładunkami elektrostatycznymi. Ale Marion czuła spokój.

Śmierć okazała się jedynym, co było na tyle wielkie, na tyle głodne, aby połknąć wszystkie jej niepokoje.

Na górze w swoim kąciku przeczytała rozdział, który zainteresował martwą badaczkę. To była nakreślona w skrócie historia pierwszego mieszkańca biblioteki – Johna Howletta, ekscentrycznego spadkobiercy z branży zbrojeniowej, który wybudował ten przyprawiający o zawroty głowy dom–chimerę, a potem zmarł w wieku trzydziestu lat, oraz służącej, której wszystko zapisał. Krótko się cieszyła rolą pani domu – zginęła przypuszczalnie z rąk siostrzeńca bogacza, który po jej śmierci wszystko odziedziczył.

Książka przyznawała, że niewykluczone, że ta kobieta sobie na to zasłużyła: żywiono powszechne przekonanie, że to ona zabiła swojego pracodawcę i dokonała zmian w jego testamencie. Jego dawni służący twierdzili, że byli kochankami, a raczej, co było bardziej szokujące, okultystą i jego uczennicą. Prawda, jak twierdził autor książki, okazała się jeszcze dziwniejsza: to Howlett był uczniem, a ona zbiegłą okultystką, która uciekła z Baltimore przed karą śmierci i do swych praktyk wykorzystywała osławioną księgę zaklęć oprawioną w ludzką skórę.

Jeśli ta bluźniercza księga rzeczywiście istniała – co według historyka było mało prawdopodobne – dawno temu została spalona. Niektórzy jednak wierzyli, że okultystka ukryła ją w tym domu. Służba, inni historycy, goście Howlett House – wszyscy szukali jej bez powodzenia.

Marion czytała w stanie coraz większego rozgorączkowania. Dochodzące z niższych poziomów głosy, ciężkie kroki, trzaski policyjnych krótkofalówek – nic do niej nie docierało. Kiedy skończyła czytać, wzięła do ręki starszą książkę i przycisnęła palce do jej cętkowanej okładki. Zagryzając wargi, otworzyła ją.

Za oknami zaczął padać deszcz.

Weszła do tej biblioteki jako samotna dziewczyna uciekająca przed burzą. Wyszła z załączkiem nowej, prawdziwej siebie, z kryjącą się w plecaku oprawioną w ludzką skórę księgą okultystki.

Marion zazdrośnie trzymała się obietnicy zupełnie innego życia. Ubrania z second handów, gust muzyczny i samodzielnie wykonane w uszach dziurki na kolczyki były wyrazem tego, kim się stała, pomiędzy tamtym dniem a obecnym, ale także czymś jeszcze: przynętą. Bo cóż fajnego kryła w sobie magia, jeśli uprawiało się ją w pojedynkę?

Trzy lata później weszła do smażalni ryb, gdzie zatrudniła się w tajemnicy po to, aby oszczędzać na nieuczelniane życie, którego jej rodzice nigdy by nie zaaprobowali. I gdy tylko ujrzała Danę, wiedziała. Wystarczyło jedno spojrzenie i wiedziała, że nie jest już sama.

– Znalazłaś ciało – powiedziała Fee.

– Profesorki okultyzmu – doprecyzowała Marion. – Tętniak.

– Jesteś czarownicą – odezwałam się.

– Okultystką. Wyznawczynią. Istnieje wiele na to określeń. Chcę nią być. I będę. – Twarz miała ożywioną. Niemal widać było czerń jej głodnego serca.

– Pokaż nam – poleciłam.

– Pokazać wam książkę? Czy magię?

– Wszystko. Cholerne wszystko.

– No. – Fee szeroko się uśmiechała. – Dopuść nas do tego.

# ROZDZIAŁ DWUNASTY



Przedmieścia

*Teraz*

BYŁ PÓŹNY WIECZÓR, A JA ZBIERAŁAM W CAŁOŚĆ fragmenty układanki.

Zakopany słoik, sejf w garderobie. Migreny i martwe króliki, i los Hattie Carter. I to: *Czyli była jedną z dziewczyn Sharon*. Oczywiście wygooglowałam sobie "Twixt and "Tween oraz *sharon twixt and tween*, ale istniały rzeczy, których nie wiedział nawet Internet.

Pewne słowo ciągle przychodziło mi do głowy, nie dawało spokoju niczym jakieś ziarenko, które utkwilo w zębach. Słowo na określenie tego, co to może znaczyć, kiedy coś się zrobi – coś, co powiedzmy, może mieć związek ze słoikiem z krwią – oczekując, że gdzieś tam na świecie coś się stanie.

Przypomniały mi się drwiące słowa Hanka. „To mi brzmi totalnie jak coś, co robi biała dama New Age w blasku księżycy w pełni”.

Okej, tak. Ale co jeśli – dla dobra argumentu – co jeśli w przypadku mojej matki księżyc wysłuchał?

To było nedorzeczne. Gdybym w to wierzyła, byłabym równie beznadziejna jak większość klientów Małego Sklepu, te pytające dusze, które zamieniają pieniądze na zioła i kryształy, i remedia mojej cioci, tak jakby błyskotki potrafiły powstrzymać mrok.

Zacisnęłam usta, aby poczuć miejsce, gdzie skóra mi się zagoiła. Maści cioci Fee użyłam raz i natychmiast ją starłam. Mimo to rana zaleczyła się jak u Wolverine'a. Nawet arnika tego nie potrafi. Co oznaczało, o ile to była prawda, że siedzą w tym obie.

Może byłam idiotką, jeśli w to nie wierzyłam. Jeśli nie przyjmowałam do wiadomości tego, co się działo na moich oczach, co równie dobrze mogło się kryć za bliznami i milczeniem, i tajemnicami, z którymi nauczyłam się żyć: moja matka była zdolna do rzeczy nadprzyrodzonych.

Byłam sama ze swoimi wirującymi myślami. Hank gdzieś wyszedł, tata udawał, że jest orkiem albo jakąś tam inną postacią podczas wieczoru gier z kolegami ze studiów doktoranckich. Napisał koło ósmej, że prześpi się w mieście. Przeczytałam jeszcze raz ostatnią wiadomość od cici Fee.

Przepraszam. Coś załatwiamy, ale nic nam nie jest. Niedługo zadzwonię, mała Ivy.

Podgrzałam w mikrofalówce ciastka z kawałkami czekolady i usiadłam przy stole w kuchni. Klimatyzacja wyłączyła się z westchnieniem i w domu zrobiło się aż za cicho. Za plecami miałam drzwi prowadzące do piwnicy, naprzeciwko mnie znajdowały się okna. Jako że słońce zaszło, a światła nie były zapalone, stały się lustrem. W nim nieznamoma z platynowymi włosami dłubała w talerzu z ciastkami.

Ktoś mógł tam teraz stać. Po drugiej stronie lustro i mnie obserwować. Mogło go dzielić ode mnie zaledwie kilka metrów, a ja w ogóle nie zdawałabym sobie z tego sprawy.

Usłyszałam stłumione walnięcie. Dźwięk ten nie dochodził od okien, lecz z drugiej strony domu, gdzie przez przesuwane drzwi wychodzi się do ogrodu.

Ciastko stanęło mi w gardle. To był dźwięk czegoś uderzającego w szybę.

Powoli wstałam, ściskając w ręce telefon. Idąc przez dom, pogasiłam wszystkie światła, tak bym ja widziała co się dzieje na zewnątrz, ale żeby nikt nie widział mnie. Za domem było ciemno. Lampa była wyposażona w czujnik ruchu i zapalała się wtedy, gdy ktoś podszedł do tarasu. Ta świadomość dała mi odwagę, aby przebiec przez dywan, minąć czarne usta pralni i szybko otworzyć przesuwne drzwi.

Stałam tam i wdychałam letnie powietrze przesycone wonią kwiatów oraz dymem z czyjegoś grilla. Księżyc znajdował się wysoko i bardzo daleko, jarząc się niczym żarówka halogenowa. Nie poruszało się nic



oprócz wiatru w ogrodzie. Już, już miałam się cofnąć do środka, kiedy usłyszałam cichutki dźwięk: szept wiatru przefruwającego nad stłuczonym szkłem.

Pod piknikowym stołem leżał stosik połyskujących odłamków. Obok niego – przecięty na pół cieniem i światłem księżycy łuk rozlanej krwi. Mój oddech stał się urywany, ale nie rozumiałam, na co patrzę, dopóki nie zobaczyłam odłamku szkła.

Ktoś wykopał słoik ukryty przez mamę i rozbił go na betonie.

W środku znajdował się zrolowany kawałek białej kartki. Z miejsca, w którym stałam, nie widziałam go, ale widziałam, że tam jest. Musiałam przywołać całą swoją odwagę, aby zejść po schodkach. Światło się zapaliło i w jego blasku krew mojej matki przyprawiała mnie o mdłości. Znalazłam karteczkę, poplamioną i przyklejoną do leżaka. Ujęłam ją dwoma palcami i pociągnęłam. Oddychając przez zęby, rozwinęłam kartkę. Moim oczom ukazało się pismo mamy.

*To co szkodliwe niech odejdzie to co niechętnie niech zniknie to co trujące niech przepadnie niebezpieczeństwo zaklinam giń*

Powiew wiatru prześlizgnął się po mnie niczym elektryzujący się jedwab. Wieczór nie był jednak taki cichy. Tykanie i drapanie – dźwięki te wydawały stworzenia, pogoda i senne podmiejskie urządzenia. Biegiem wróciłam do domu i zamknęłam za sobą drzwi.

To słowo, którego unikałam, powróciło niczym krzyk. To, które byłam zbyt praktyczna, aby wypowiedzieć, może zbyt głupia, nasionko maku, które chrzęściło, uwalniając truciznę, gdy w końcu je rozgryzłam. Czary. Słowa na papierze, krew w słoiku – nawet szpilki i pióra w garderobie. Wszystko wskazywało na tę samą niemożliwość.

Nie czułam zaskoczenia. Czy choćby ulgi, że w końcu potrafię nazwać to coś, co czyniło moją matkę tak niedostępną. Zamiast tego zawładnęła mną dusząca wściekłość. No bo co, do kurwy nędzy? Co moja mama wyobrażała sobie, że robi? Skąd w niej czelność, aby uważać, że rzeczywistość powinna się naginać według właśnie jej woli?

I co, u licha, mówiło to o rzeczywistości, która coś takiego robiła?

Pod gniewem wilo się coś jeszcze, przewracając intensywnie zielonymi ślepiami. Zazdrość. Odsunęłam się od tej myśli. Nie zapalając świecy, obeszłam cały parter. Sprawdziłam drzwi i okna. Wszystkie były zamknięte, wszędzie panowała cisza, z wyjątkiem jazgotu w mojej głowie. Przez okno w kuchni nie dojrzałam niczego bardziej złowieszczonego niż krzewy bzu i żółty siding sąsiedniego domu. Kiedy się odwróciłam, moje spojrzenie padło na leżące na talerzu ciastka.

Zjadłam dwa, pozostawiając trzy nietknięte. Teraz w świetle sączącego się przez okno światła zobaczyłam, że każde z tych ciastek ma odgryziony kawałek.

Zwinnie podbiegłam do drzwi wejściowych. Przekręciłam zamek, następnie gałkę, po czym wypadłam na ganek.

Gdy biegłam przez podjazd, moją skórę atakowały komary. Dom był ciemny i nieruchomy, wszystkie okna czarne lub osrebrzone. Kiedy sięgnęłam po telefon, zorientowałam się, że został w domu. Zakląłam i kucnęłam, po czym skryłam twarz w dłoniach.

– Ivy?

Odwróciłam się. Dom Paxtonów otoczony był długą werandą w stylu wiejskim. Na niej jarzyła się pomarańczowa kropka papierosa Billy'ego, gasnąca i rozjaśniająca się niczym sygnał na morzu.

– Coś się stało? – zawołał.

– Myślę, że ktoś jest w moim domu.

– Serio? – Rzucił papierosa i przebiegł przez podjazd. – Nic ci się nie stało? Dzwoniłaś na policję?

W świetle latarni widziałam każdy pieg na jego skórze. Zrobiło mi się gorąco w policzki na wspomnienie znalezionej w pudełku szkicu, na którym moja młodsza wersja narysowała te piegi jako gwiazdy.

– Nie.

– Och. – Spojrzał nieufnie na mój dom. – Mam to zrobić?

– Jeszcze nie. Czy możesz po prostu... posiedzieć ze mną przez chwilę?

Posłusznie siadł na betonie.

– Tak. Oczywiście. No więc co się stało?

Nie wiedziałam, jak wyglądam. Przypuszczalnie tak, jakbym odskoczyła właśnie od wybuchu, z oczami wielkimi jak spodki. Jakoś nie chciałam głądzić o ciastkach.

– Nic. Właściwie to nic, po prostu... siedzę sama w domu. Myślałam, że ktoś jest w ogrodzie. Wróciłam do środka i wydawało mi się, że ten ktoś jest w domu.

– Kurde. Był?

– Nie wiem – odparłam powoli. Może sama nadgryzłam te ciastka? Nadgryzłam? Nie nadgryzłam? Nadal czułam na języku smak czekolady. Kiedy próbowałam wyobrazić sobie intruza, miałam przed oczami moją matkę przemieszczającą się przez dom w ujęciach niczym z horroru. Zadrżałam. – Nie wiem, co się dzieje.

Przycisnął palce u stóp do paska miękkiego asfaltu.

– Ale nie chcesz wzywać glin.

– Nie.

Myślałam, że będzie mnie ciągnął za język, ale on jedynie kiwnął głową. Siedzenie tak blisko niego było dziwnie emocjonalne. Billy Paxton, w dżinsach poplamionych farbą, olejem i sosem do pizzy, bo miał trzy dorywcze prace. Wiedziałam o tym tylko dlatego, że widziałam go w niebieskim kombinezonie w warsztacie samochodowym, zajeżdżającego pod dom ze światłem dostawcy z pizzerii Pepino's na masce i wyskakującego z furgonetki swojego taty, której paka cała była załadowana puszkami z farbą do gruntowania. Dziwne, ale kusilo mnie, aby wyjawić mu całą prawdę. Oczywiście powstrzymałam się. Podzieliłam się okrojoną, złagodzoną wersją.

– Dzieją się przedziwne rzeczy – tak mu powiedziałam. – I przez nie zaczynam myśleć, że tak naprawdę wcale nie znam swojej matki.

Na ułamek sekundy zeszytniał. Zaraz jednak się rozluźnił i rzucił tak spokojnym tonem, że uznałam, że tylko to sobie wyobraziłam:

– Tak?

– Tak.

Mój strach się oddalał. Jego miejsce zajęło coś na kształt lekkomyślności. Przez lata unikałam spoglądania na tego chłopaka, ale tutaj w końcu mogłam to robić. Oczy barwy herbaty, ciemne brwi nadające mu szelmowski wygląd. Dolne zęby miał krzywe. W mojej głowie pojawił się przebłysk z przeszłości, kiedy Billy jako dziecko seplenił w aparacie, i zamrugałam.

– Widzę cię czasem na waszej werandzie – powiedziałam. – Kiedy długo nie kładę się spać i wyglądam przez okno. Widzę cię tam nawet zimą.

– Szpiegujesz mnie?

– Zastanawiam się jedynie, kiedy sypiasz.

– A komu potrzebny sen? – zapytał lekko, po czym westchnął. – Koszmary, wiesz? Nieczęsto, ale się zdarzają.

Nie wiedziałam, ale kiwnęłam głową.

– Fatalnie. Ja nigdy nie pamiętam, co mi się śniło.

Teraz wiedziałam, że nie wyobraziłam sobie tego dziwnego wyrazu, jaki przemknął przez jego twarz niczym silny wiatr po wodzie. Billy spuścił wzrok, wyjął z kieszeni paczkę papierosów, uderzył nią w dłoń. A potem pokręcił głową.

– Słuchaj, możesz się ich za mnie pozbyć? Rzuciłem palenie.

– W ciągu ostatnich pięciu minut?

– No. Wyszedłem zapalić ostatniego.

– Więc robisz to... dla zdrowia?

Przeciągnął dłonią po włosach.

– Nie, dla Amy. Przysięgła, że nie odezwie się do mnie, dopóki nie rzucę, no i rzeczywiście tak zrobiła. Minęły dwa tygodnie totalnej ciszy.

Amy była jego młodszą siostrą. Miała około dwunastu lat.

– Naprawdę? To ekstra. Musi cię naprawdę kochać.

– Możliwe. Ale nie, wkurzyła się po prostu, że zostawiłem paczkę na wierzchu i zjadł je Gremlin. Nic się nie martw, wszystko z nim w porządku.

Gremlin by ich pitbullem, słynącym w okolicy z tego, co zjadł i mimo to przeżył: piloty zdalnego sterowania, torebkę cukru, część laptopa.

– To dobrze. Biedny Gremlin.

– Biedny Gremlin? Zdarza się, że kiedy już zezre moje buty albo coś w tym rodzaju, zostawia mi resztki na łóżku. Jakby był Ojcem Chrzestnym.

Zaśmiałam się, a Billy uśmiechnął się z lekka nieśmiało i uniósł brwi.

– Jesteś już gotowa zadzwonić na policję?

– Jeszcze nie.

– A iść spać?

– Komu potrzebny sen?

– Chcesz zamiast tego zrobić coś innego?

Zawahałam się i dokonałam szybkiego przeglądu samej siebie. Spierzchnięte usta, rozciągnięta koszulka, świeżo rozjaśnione włosy przytrzymywane opaską. Świadomość, że wyglądam tak beznadziejnie, była naprawdę wyzwalająca.

– A co jest do roboty w Woodwine w środku nocy?

Wzruszył ramieniem.

– Jechać do Denny's? Pochodzić po Walmarcie, racząc się wypiekami?

Spojrzałam na niego i jego piegi jak gwiazdy. Nie chciałam być sama. A już na pewno nie chciałam wracać do domu.

– W porządku – rzuciłam. – Chodźmy.

# ROZDZIAŁ TRZYNASTY



Miasto  
*Wtedy*

TO, CO MARION ZROBIŁA NA PLAŻY, było jej pierwszym „dziełem”. Przebłysk złośliwych intencji ukształtowany przez słowa, o których nie wiedziała, że są w jej posiadaniu.

– To wy – powiedziała. – To my. Nasza trójka razem, oto, co zadziało.

Wyjaśniła nam, że prawie sama zrobiła mnóstwo rzeczy. Dzięki połączeniu naszych sił te wszystkie „prawie” mogły się stać sposobem na stworzenie nowej wersji świata.

Ale najpierw musiałyśmy się obudzić.

Nie dało się znaleźć niczego w księdze okultystki, nie można było przeczytać jej od deski do deski. Jeśli próbowałaś, widziałaś tylko puste strony. Albo czarne. Wersy poplątanych liter, rymy drapiące w uszy. Czasami gęsto naniesione obrazki, pozostawiające po sobie fioletowe powidoki. Dowiedziałyśmy się od Marion, że to jest jak talia tarota, prezentująca strony, które są ci potrzebne. A od tamtego wieczoru na plaży księga pokazywała jej jedno zaklęcie, niejasno zatytułowane i przeznaczone dla trzech praktykujących osób.

Zaczęło się od rytuału oczyszczającego. Przez trzy dni nie wychodziłyśmy z domów, udając chore, tak byśmy mogły unikać luster, bezpośredniego słońca i ludzkiego dotyku. Piłyśmy zioła zaparzone w osolonej, źródlanej wodzie i co godzinę między zachodem a wschodem słońca dokonywałyśmy ablucji. Pod koniec czułam się tak marnie, że zastanawiałam się, czy nie jest to częścią zaklęcia. Można by powiedzieć

mi wtedy wszystko, a ja bym uwierzyła. Łącznie z tym, że potrafię czarować.

Czwartego dnia o zachodzie słońca zgromadziłyśmy składniki zaklęcia – niektóre kupione w sklepie, reszta zerwana z parku Loyoli – i udałyśmy się do mojego pustego mieszkania.

Marion była podenerwowana, wycofana, nieumyte włosy zebrała w kucyk. Żadnej z nas nie dała dotknąć księgi. Raz za razem sprawdzała nasze dzieło, aż w końcu nie było już co poprawiać.

Nadal potrafię zamknąć oczy i przywołać to nieśmiałe, oniryczne uczucie, jakiego doznawałam, siedząc razem z Fee i Marion i szykując się do tamtego pierwszego zaklęcia. Płytkie oddechy miałyśmy zsynchronizowane, serca były jak szalone, żadna z nas nie miała pewności, gdzie patrzeć. Marion była napięta niczym struna, Fee zanosila się nerwowym śmiechem. Wykonywałyśmy niepewnie kolejne kroki i byłam pewna, że się nie uda.

Wtedy Marion wypowiedziała ostatnie słowa zaklęcia i powietrze się sklarowało niczym masło na patelni. W tym ciągu przejrzystego powietrza odchyliłyśmy się, podając sobie ręce, i położyłyśmy się na podłodze, uderzając głowami w deski.

Nic nie czułam, gdyż moja świadomość szybowała do góry, do góry, a potem daleko ode mnie.

Zobaczyłam własne ciało i ciała moich przyjaciółek leżące niczym rozgwiadzy. Zobaczyłam dach mojego bloku i naszą ulicę i nadal się wznosiłam, aż w końcu całe miasto rozciągało się pode mną niczym pajęczyna, niczym sieć białego złota. Wschodnie granice obmywała czarna woda, przedmieścia rozpychały się na prawo, a centrum było niczym twardy, metalowy węzeł tak olśniewający, że gotowa byłam się rozplakać.

Z góry widziałam, jakie jesteśmy małe, byłyśmy plamkami. Byłyśmy pyłem kosmicznym zdmuchniętym z lewego ramienia jakiegoś boga, i to odkrycie przepełniło mnie elektryzującą radością. Powietrze było rzadkie, gwiazdy śpiewały swoją eliptyczną gwiazdną pieśń i nie miały nic przeciwko temu, że ją słyszę.

U szczytu mojego lotu – z lewej strony płonęła Wenus, z prawej Merkury – poczułam załazek strachu. Ciężki i ciągnący mnie w dół, poprzez warstwy nietkniętego nieba, następnie stworzoną przez człowieka mgłę zanieczyszczeń i światła, przyprawiające o zawrót głowy płataniny fal radiowych, aż w końcu znowu zawisłam nad swoim ciałem.

Z czułością przyglądałam się jego skórze pełnej skaz i potarganym włosom, jego gniewnej geometrii. Ale nie byłam gotowa, aby znowu stać się człowiekiem, oddychać i się pocić, odczuwać ból i pragnienie. Dlatego pozostawiłam to ciało na deskach.

Podróżowałam przez miasto na grzbietach podmuchów: tego, które z sykiem uwolnił podnośnik hydrauliczny w autobusie; westchnienia kobiety poprawiającej grzywkę w brudnej szybie lodówki w sklepie spożywczym; kaszlu staruszka, wydostającego się przez otwór pod zasłoniętym gazetą oknem.

Miasto otworzyło dla mnie swoje podwoje, dzieliło się sekretami jak papierosami. Widziałam stojącą na rogu grupę szczupłych i głodnych mężczyzn, w strojach roboczych i ze stwardniałymi dłońmi. Widziałam dziewczyny opierające się łokciami o chromowane blaty, zjadające cukier ziarnko po ziarnku. Szafę grającą z lepкими przyciskami, stojącą na tyłach baru, pełną piosenek o Ameryce, która nigdy nie istniała. Zakurzone książki sprzedawane z rozłożonych na chodnikach koców. Rozgrzane do czerwoności pomieszczenia pełne tancerzy z malującą się na twarzach bezradnością i muzyką tak głośną, że aż się stawała niewyraźna jak brzoskwinie, ostra jak cząstki grejpfrutów.

Zapagnawszy ciszy, przefrunęłam nad brzeg wody. Prześlizgiwałam się niczym łyżwiarz na pofalowanej powierzchni, z sykiem przemieszczając się między głowami wieczornych żeglarzy i dając nura, aby być świadkiem podbojów małży, ich powolnego najazdu.

Wróciłam na ląd, gdzie wślizgnęłam się między usta siedzącej na ławce pary, wychudłej i wykolczykowanej, ale wtulonej w siebie z wytwornością wiktoriańskiej kamei. Ławka stała na skraju zarośniętego cmentarza. Gdyby moja dusza miała ręce, wyciągnęłabym je ku falującym kwiatom



trojści i dzwonek, ku mięcie górskiej i delikatnym przewłokom czarnym.

Ponad dźwiękami miasta – piskiem hamulców i głośnym śmiechem, wściekłym miauczeniem niewykastrowanych kotów – przebił się rytm zwalniającego bicia serca. Mojego serca. Sznurek latawca, który łączył mnie z leżącym na podłodze mojego pokoju ciałem przywoływał mnie do domu.

Świece, które wcześniej zapaliłyśmy, teraz zaledwie migotały i mój pokój był szary jak gołąb karoliński. Nim słońce zdąży wzejść, a mój postronek się urwie, wślizgnęłam się z powrotem w siebie i przygotowałam na kliknięcie ciała i duszy.

Nie pojawiło się. Pomyślałam, że może to jest część transformacji. Może tak już się dzieje, kiedy dusza porusza się w obrębie formy stworzonej przez magię.

Fee wróciła już z własnej podróży. Czułam ją obok siebie, jej ciepłą dłoń w swojej. Po drugiej stronie Marion leżała w bezruchu. Jej dłoń była lekka niczym plewy kukurydzy, a puls zbyt wolny. Próbowałam usiąść, sprawdzić, co się z nią dzieje.

Nie byłam w stanie. Nie byłam w stanie się ruszyć, nie licząc drgania palców.

Gdy dotarło to do mnie, poczułam ściskanie w gardle. To uczucie przywołało panikę. Nie dlatego, że zakłęcie się nie udało. Zadziało tak, jak powinno: osiągnęłyśmy ten stan razem. I razem z niego powrócimy. Dopóki Marion nie wróci, ja i Fee pozostaniemy nieruchome.

Wcześniej sądziłam, że wiem, czym jest strach, ale okazało się, że to było nic w porównaniu z tym, co czułam w tamtej chwili. Słuchałam jej pulsu, tkwiąc w nie mającym końca zawieszeniu, czekając w udręczeniu. Czekając.

I wtedy z połyskującym świstem i zapachem ogniska Marion wróciła.

Poczułam tak wielką ulgę, że strach stał się tylko wspomnieniem. I prawie – prawie – zapomniałam, jak to jest być unieruchomioną przez

zasady magii i czekać, aż Marion nas uwolni.

Otworzyłyśmy oczy. A razem z nimi oczy, te, o których istnieniu nie miałyśmy wcześniej pojęcia. W chwili tuż przed pojawieniem się radości zadrżałam. Dlatego, że coś zyskałyśmy, ale także coś utraciłyśmy. Nie minie dużo czasu, a dowiem się co.

Usiadłyśmy, popatrzyłyśmy na siebie i zaczęłyśmy się śmiać – to znaczy ja i Fee. Marion z kolei płakała. Nadal płacząc, objęła nas i przytuliła, co w jej przypadku było rzadkością. Usta miała ukryte w moich włosach, ale wydaje mi się, że szepnęła: „Dziękuję”.

Kiedy cofałam się myślami do tamtej nocy, zastanawiałam się, czy ten czas zamrożonego porzucenia był naszym pierwszym prawdziwym sygnałem zwiastującym to, co magia uczyni z Marion. Później, kiedy moja głowa wypełniona była smrodem czarów, a lewa dłoń zakrwawiona od rozbitego szkła, to była jedna z rzeczy, o których myślałam. Nasz pierwszy wyrazisty znak, że jej głód ma dwa oblicza.

Trochę trwało, nim skutki naszego przebudzenia zbladły. Przez kilka dezorientujących dni każdy, na kogo spojrzaliśmy, miał aureolę kolorowego światła. Delikatną, mistyczną, niewątpliwie magiczną. Aureola Fee była zielona jak u elfiej księżniczki. Aura Marion miała kolor ceglanego pyłu. Fee powiedziała mi, że moja jest niebieska i że wyglądam jak otulona niebem.

Dwukrotnie próbowałam wsiąść do kolejki i od razu z niej wysiadałam, bo wagon tak był przepelniony feerią barw, że niemal je słyszałam. Pod koniec to uczucie było jak trwający zbyt długo haj. Nawet później raz na jakiś widywałam przydatne błyski: przystojny mężczyzna uśmiechający się do mnie z drugiego końca wagonu, jego aura w kolorze wyschniętej krwi. Dziewczyna tańcząca na koncercie, skwiercząca zaraźliwym odcieniem zniszczeń wywołanych przez ogień.

Od zawsze miałam tę dodatkową odrobinę percepcji, od zawsze poruszałam się po świecie, w którym instynktownie wiedziałam, w które

ulice nie skręcać i gdzie się kryją małe skarby. Ale zakłęcie z księgi okultystki nabiło tę spokojną część mnie na haczyk i tak długo ciągnęło, aż zaczęła podskakiwać na mojej skórze.

– Pani obrączka utkwiała w podszewce kieszeni – powiedziałam kobiecie składającej zamówienie w smażalni.

Nie wyglądała na wdzięczną za tę podpowiedź.

Fee także musiała przywyknąć. Twierdziła, że stojąc w tłumie ludzi, czuje się niekomfortowo.

– Wszystkim ciągle chce się pić. Wypijam całe litry wody, bo trudno mi przekonać samą siebie, że to nie ja.

Ale cena nie była wysoka. Zaklęcia prezentowane nam przez księgę także początkowo były mało istotne. Kierowane do wewnątrz zaklęcia na powodzenie, dobry sen i ładną cerę. Na kuchence gazowej wujka Nestora gotowałyśmy zioła, agrafką wycinałyśmy zaklęcia w świecach. Z pokruszonej kredy tworzyłyśmy na podłodze w pokoju Fee skomplikowane kształty i szeptałyśmy do lustra, które wcześniej było owinięte białym płótnem. Uczyłyśmy się wielu zastosowań światła księżyca. Każdy oferowany przez księgę skrawek magii był niczym narkotyk, aż w końcu nie potrafiłyśmy wyobrazić sobie życia bez tego dreszczyku, tego szoku związanego ze świadomością, że świat nagina się w naszych dłoniach.

Nie zastanawiałyśmy się, skąd pochodzi ta magia ani dlaczego działa. Nigdy nie zadałyśmy sobie pytania: „Czy możemy ją sobie brać?”. Byłyśmy trzema nieopierzonymi kaczątkami, kompletnie zielonymi, wierzącymi całymimi swoimi zwichrowanymi sercami, że to my piszemy tę historię. Nawet jeśli drogę pod naszymi stopami brukowała księga nieżyjącej kobiety.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY



Przedmieścia

*Teraz*

SAMOCHÓD BILLY'EGO MIAŁ NISKIE ZAWIESZENIE i unosiła się w nim woń niebieskiego drzewka zapachowego. Wsiadłam i lekko zakręciło mi się w głowie. Czymś surrealistycznym było dla mnie przejście z betonu do tego auta i zajęcie miejsca obok chłopaka, którego znałam, ale tak naprawdę nie znałam.

W czasach, kiedy jeździliśmy tym samym szkolnym autobusem, Billy chodził w T-shirtach z wyjącmi wilkami albo skaczącymi wielorybami, a na zębach nosił aparat z kolorowymi gumkami. Teraz miał na sobie T-shirt z logo pizzerii, na który narzucił wyblakłą koszulę, a jabłko Adama wystawało mu niczym pestka brzoskwini. Prowadził po tatowemu: wycofując się z podjazdu, objął oparcie mojego fotela, a potem trzymał kierownicę jedną ręką, z łokciem opartym o opuszczoną szybę.

Sunęliśmy korytarzami z cichymi domami, a zatęchłe ciepło samochodu mieszało się z nocnym wiatrem. Kiedy Billy skręcił w główną ulicę, w świetle latarni zobaczyłam, jak jego ramię się napina. Po chwili odwróciłam wzrok.

– Podobają mi się twoje włosy – powiedział nagle. – To znaczy, wcześniej też były ładne. Ale blond mi się podoba.

Dotknęłam palcami policzka.

– Dzięki.

Billy nie odrywał wzroku od drogi.

– No więc ty i Nate King rozstaliście się.

– I to z hukiem.

– Co się stało?

– Poza tym, że się dowiedziałam, że pali cygara? – Odchyliłam głowę. – Myślę, że prawdziwym problemem było to, że żadne z nas nie spotykało się tak naprawdę z tą drugą osobą. Ja chodziłam z Poetą. On chodził, sama nie wiem, z Małomówną Rudą. Powinam wychodzić na miasto z wiecznym piórem. On powinien nosić ze sobą seksowną perukę. Wszyscy byliby o wiele szczęśliwsi.

Billy się zaśmiał.

– Już widzę Nate’a Kinga i perukę.

– A ty? – Obserwowałam przez szyberdach mijane latarnie. – Z kim się spotykasz?

Pauza.

– Szczerze mówiąc, mam ochotę na gorącą perukę Kinga.

Serce mi przyspieszyło, bo miałam wrażenie, że to moja szansa. Jeśli nic teraz nie powiem, to pewnie już nigdy. Billy zatrzymał się na końcu parkingu i zanim zdążył odpiąć pasy, chwyciłam go za ramię.

– Hej.

Spojrzał z uśmiechem najpierw na moją dłoń, potem na mnie.

– Siódma klasa – powiedziałam.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, która przybrała neutralny wyraz.

– Siódma klasa była straszna – oświadczyłam. – Szczerze? Sam fakt, że się żyło, był krępujący. No więc tamten dzień. Wtedy, kiedy... wtedy, kiedy ty...

Urwałam. Wyglądał na tak udręczonego, że nie byłam w stanie dokończyć tej myśli.

– Było minęło – rzucił nagle i otworzył drzwi.

Wysiadłam z samochodu, a przestrzeń między nami stała się mdła jak cola bez gazu. Myślałam, że przywołanie tamtej sytuacji poprawi nasze

relacje. Niemądrze sądziłam, że może się z tego pośmiejemy.

Najwyraźniej nie. Żadne z nas nic nie mówiło, gdy szliśmy przez wilgotny beton, a potem zanurzyliśmy się w lodowaty chłód Super Walmartu.

Zamrugałam w świetle fluorescencyjnych lamp. O północy sklep był pusty, a z głośników leciała jakaś piosenka o lecie. Billy zerknął na moje pokrytą gęsią skórą rękę, po czym podszedł do stojaka z babcinymi bluzami i rzucił mi jedną.

– Zapnij się, Myrtle – rzekł.

Uniosłam brew i włożyłam bluzę, po czym schowałam rękę do płytkich kieszeni.

– Nie ma miejsca na landrynki.

Zdjął z regału nerkę w cętki.

– Proszę. Możesz teraz kraść w bistrach wszystkie saszetki z cukrem.

Zapięłam ją sobie w pasie, następnie wręczyłam Billy'emu granatową wiatrówkę z tandetnymi naramiennikami.

– Na wypadek, gdyby na tym twoim jachcie zrobiło się wietrznie.

– Ach, tak. Jestem bogatym zabójcą, który robi zakupy w Walmarcie.

– Jesteś dżentelmenem oraz enigmą.

– A teraz krążę po salach bingo w poszukiwaniu kolejnej ofiary. – Wyciągnął rękę. – Myrtle?

Jego palce były ciepłe i suche i gdy tylko nasze dłonie się zetknęły, przestałam czuć się tak, jakby to były żarty. Puściłam jego rękę i wystrzeliłam w stronę stojaka z paskudnymi kaftanami, cienkimi niczym bibuła.

– Co za promocja!

– Tylko jeśli chcesz się ubierać tak, jak wszyscy.

Gdy dotarliśmy do końca działu z odzieżą, mieliśmy już na sobie warstwy najgorszych ciuchów, jakie udało nam się znaleźć. Pozbyliśmy się ich wszystkich i ruszyliśmy do działu spożywczego po paczkę ciastek

Lofthouse. W dziale z zabawkami na zmianę jeździliśmy na dziecięcych skuterach, a potem razem z hula hoop udaliśmy się do szerszych alejek w dziale ogrodniczym.

– Co za amatorszczyzna – stwierdził, kiedy pozwoliłam upaść hula hop po raz trzeci.

Wziął ode mnie koło, założył je przez głowę i hipnotyzująco powoli zaczął je obracać wokół pasa. Obracał tak, że koło podjechało do góry, następnie opuściło się aż do kolan. Billy wyjął telefon i udał, że dzwoni. To było takie frapujące, że zaczęłam rzucać mu do ust kawałki ciastka, aby przerwać tę jego koncentrację. Wychylił się po jeden i koło spadło na ziemię.

– Ale oboje wiemy, że mógłbym tak kręcić przez całą noc – rzucił, po czym odwrócił wzrok, a w górę jego szyi zaczął pełzać rumieniec.

– Hej – powiedziałam zbyt głośno. – Mówiłam ci, że mam fałszywy dowód?

Rozpromienił się.

– Serio? Pokaż.

Wyjęłam dokument, który pomógł mi załatwić starszy brat Emily. Podczas gdy Billy go studiował, skorzystałam z okazji, aby się na niego pogapić. Nos i kości policzkowe miał wyjątkowo piegowate, jakby słońce maznęło mu skórę pędzlem.

Wybuchnął śmiechem.

– O mój Boże – rzekł. – Nie wytrzymam. Po pierwsze, wyglądasz na jakieś jedenaście lat. Jak to możliwe, że na zdjęciu w podrobionym dowodzie wyglądasz młodziej? Po drugie, Mary Jenkins? To najgorsze imię i nazwisko z możliwych! Chwila, chwila, chwila, czterysta dwadzieścia High Street? Niemożliwe, aby istniał taki adres. – Znowu się roześmiał. – Twoje urodziny! Zrobili ci z urodzin sześćdziesiątkę dziewiątkę!

Wyrwałam mu dokument.

– Dziewiątego czerwca! Nie ma nic złego w dziewiątym dniu czerwca!

Położył mi dłonie na ramionach, a twarz miał poważną. Zmarszczki były jaśniejsze od skóry, jakby spędzał mnóstwo czasu na mrużeniu oczu w słońcu.

– To najgorszy podrobiony dowód, jaki może istnieć.

– W takim razie jak to możliwe, że zawsze się sprawdza?

– Bzdura. W życiu nie dostałabyś z nim piwa.

– No to poczekaj.

Zaprowadziłam go do alejki z alkoholami i zastanawiałam się, na co mnie stać. Zdecydowałam się na butelkę wina truskawkowego.

– No proszę. – Uniósł ręce. – Impreza na czterysta dwadzieścia High Street.

Z działu alkoholi przeszliśmy do artykułów do pieczenia, a stamtąd do produktów higienicznych. Ostatecznie do naszych łupów dodałam pudełko tamponów, rolkę papieru toaletowego i żółte ciasto w proszku.

– I tu się okazuje, jak bardzo jestem genialna – rzekłam do Billy’ego. – Ten dowód jest niesamowity, zgoda, ale nie idealny. Może rzeczywiście wyglądam ciut młodo, a imię i nazwisko brzmią nierealnie. Trzeba więc odwrócić uwagę sprzedawców czymś domowym... – Uniosłam mieszankę do ciasta. – I czymś osobistym. – Wskazałam na tampony i papier toaletowy.

– I coś takiego się sprawdziło?

Owszem. Raz. Mimo że w czasie, kiedy ja płaciłam Nate głośno opowiadał o swojej nieistniejącej pracy biurowej, jakby to miało przekonać kasjerkę, że mamy po dwadzieścia parę lat. Razem z Emily zdobyłyśmy te dowody miesiąc temu i znacznie więcej czasu poświęcałyśmy na planowanie idealnych rozpraszających zakupów niż rzeczywiste kupowanie alkoholu.

– Za każdym razem – oświadczyłam zdecydowanie.

Kasjerką okazała się korpulentna kobieta z natapirowaną i usztywnioną lakierem grzywką, która wyglądała jak zły znak. Nabiła na kasę puste



opakowanie po ciastkach, mieszankę do ciasta, tampony. Wino ustawiłam jako czwarte.

– Piekę dziś ciasto – rzuciłam radośnie, kiedy skanowała butelkę. – Żółte. No i mam okres, więc wiadomo, z czekoladową polewą.

– Doliczyć torbę? – zapytała obojętnie.

– Nie, dzięki! – Wręczyłam wszystko Billy’emu. – Dobrej nocy!

Czułam, że śmieje się bezgłośnie obok mnie, kiedy oddalaliśmy się powoli, potem szybciej, aż w końcu wypadliśmy na nagrany parking.

– Widzisz? Udało się!

– Wcale nie! Nawet nie kazała ci go pokazać!

– To dlatego, że mój plan z tamponami i ciastem okazał się taki dobry.

– Wiesz, że zjawi się później w twoim domu i sprawdzi, czy rzeczywiście upiekłaś to ciasto? Zostaniesz aresztowana za wypiekowe kłamstwa.

– No to je upieczemy. – Uniosłam ramię. – Masz ochotę?

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Mam – odparł.

Było już po drugiej, kiedy wślizgnęliśmy się do domu Billy’ego. Na korytarzu pachniało sosem do makaronu, grubo ciosanym drewnem i psią sierścią, ale to była przyjemna, krzepiąca woń. Gremlin kręcił nam się między nogami, kiedy zakradaliśmy się po skrzypiącej podłodze, zaśmiewając się w zasadzie z niczego.

– Bill? – Z ciemności dobiegł głos jego taty.

„Cholera” – wypowiedział bezgłośnie Billy i delikatnie pokierował mnie w stronę kuchni. Zatrzymaliśmy się pod ścianą. Jego dłonie pozostawały na moich ramionach.

– Hej, tato! – odkrzyknął. Oddech miał słodki od tanich słodczy.

– Cały ten czas siedziałeś na werandzie?

– Nie mogłem zasnąć. – Zwróciłam uwagę na to, że w sumie nie skłamałam.  
– Będę cicho.

– W porządku. – Pauza, a potem jego tata zaczął schodzić. Popatrzyliśmy na siebie szeroko otwartymi oczami, ale pan Paxton zatrzymał się w połowie schodów. – Nie obudź siostry, kiedy przyjdiesz na górę. I staraj się kłaść trochę wcześniej, to się robi niedorzeczne.

– Okej – odparł Billy. – Dobranoc.

Staliśmy przez kolejną małą wieczność, aż w końcu usłyszeliśmy, jak drzwi sypialni się zamykają. Billy ujął moją dłoń i przycisnął ją sobie do serca, bym poczuła, jak szybko bije.

– Mało brakowało – szepnął.

Staliśmy naprzeciwko siebie, a powietrze między nami przyprawiało o zawrót głowy. Poczułam, że coś wzbiera mi w klatce piersiowej, jak śmiech, ale większe, bardziej bolesne. Czymś doniosłym wydawało się choćby napotkanie jego spojrzenia. Niczym akt odwagi. Ale zrobiłam to.

Billy zawahał się, patrząc mi w oczy. A potem wypowiedział moje imię.

A kiedy to zrobił, ujrzałam przeblysk. Krótki i dezorientujący jak ta wizja, którą miałam w garderobie rodziców. Jego głos w moich uszach stał się dwoma głosami: jeden należał do niego, drugi był piskliwy jak u chłopca; a jego twarz miała dwie twarze: jedną przede mną i drugą, którą miał, kiedy był młodszy. Uczucie, jakiego doznawałam, było słodkie i ostre, i straszne, więc odsunęłam się gwałtownie, uderzając plecami w ścianę.

– Co się stało? – zapytał. Nie zawracał już sobie głowy szeptaniem.

– Nic.

– Odskokczyłaś jak oparzona.

Nagle gorączkowo zapragnęłam być sama, aby spokojnie pomyśleć.

– Nie, nic się nie dzieje. Po prostu... Muszę lecieć.

Stał nad tą samą przepaścią. Widziałam to.

– Ivy – powtórzył tak miękko. – Proszę, nie rób tego.

– Czego? – Bez powodu jego słowa sprawiły, że po moich plecach ześlizgnęły się kostki lodu. – O czym ty mówisz? Czemu zachowujesz się tak dziwnie?

Zrobił krok w tył, wyraźnie zaszokowany.

– Dlaczego ja zachowuję się dziwnie? Wow. Ale to porąbane. Właściwie to wszystko jest porąbane. Po co w ogóle próbowałem?

Panika spowodowała, że mój głos zabrzmiał ostro.

– Czy tobie nadal chodzi o tamte odrzucenie w gimnazjum?

– Odrzucenie – powiedział Billy, podnosząc głos. – Tak to właśnie nazywasz? – W tym momencie zmitygował się i zerknął na sufit. – Posłuchaj – dodał cicho. – Wiem, że byliśmy dziećmi. Wiem, że powinienem to przeboleć. I tak jest. Ale udawanie, że coś takiego w ogóle się nie zdarzyło? To jest naprawdę podłe.

Gapiałam się na niego.

– Czy chodzi ci o... Nadal mówisz o...

Billy spiorunował mnie wzrokiem i wysunął brodę, jakby usilnie starał się nie rozplakać.

– Złamałaś mi serce, Ivy. Złamałaś mi cholerne serce. A najgorsze jest to, że wykorzystałaś do tego swoją mamę.

Podłoga umykała mi spod nóg.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie.

Przycisnął dłonie do oczu, jakby nie mógł znieść mojego widoku.

– Idź, proszę. Okej? Po prostu stąd idź.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY



Miasto

*Wtedy*

NADESZŁO LATO, SKOŃCZYŁA SIĘ SZKOŁA, a miasto stało się naszą bombonierką. Na Devon kupowałyśmy sobie owoce mango i zjadałyśmy je nad jeziorem. Pływałyśmy w głębokiej wodzie, skacząc z występu przy Ohio Street, z ustami lepкими od lodów kokosowych. Bywałyśmy na tyłu koncertach, że w uszach bez przerwy nam szumiało.

I przez te długie, nabrzmiałe upałem miesiące byłyśmy chodzącą magią.

Kiedy później wracałam myślami do tamtego lata, widziałam jasność i mrok, a wszystkie moje wspomnienia przesycone były słońcem albo skąpane w mrocznych cieniach. Byłam zakochana w Fee i Marion, i naszym mieście, i możliwościach, jakie syczały nam pod dłońmi za każdym razem, kiedy stawałyśmy w kręgu.

A w drugiej połowie mojego życia znajdował się tata. Jego kręgosłup z sypiącymi się dyskami, szafka nocna zastawiona pomarańczowymi fiołkami z lekami. Nim lato dobiegnie końca, dotrze do mnie, że on już nigdy nie wyzdrowieje. Chyba wiedziałam, że wkrótce zostanę sierotą. Ta świadomość była włóczącym się za mną czarnookim psem, podgryzającym koła w moim rowerze i zwijającym się w kulkę w kącie pokoju. Magia była radością, siłą i kontrolą. Trzaskiem pioruna, który przynajmniej na jakiś czas przeganiał tego psa.

Przez cały czas Fee i ja wmawiałyśmy sobie, że wszystko jest super. Nawet kiedy nasze zaklęcia stawały się coraz bardziej mroczne. Nawet kiedy znajdowana w księdze okultystki bardziej ryzykowna magia –

zaklęcia odwracające uwagę, wprowadzające w błąd, karzące – kończyła się dla nas pulsującym bólem głowy i wykręcającym wnętrzości głodem, a Fee zaczęła parzyć poddawaną fermentacji herbatę, która pomagała nam radzić sobie z bólem towarzyszącym negatywnym reakcjom. Nawet wtedy wmawialiśmy sobie, że ten narkotyk, którym się karmiłyśmy, którego ceny nie byliśmy nawet w stanie przewidzieć, pozostaje pod naszą kontrolą.

Nie Marion. Ona była kłamczuchą, ale siebie nie okłamywała. Od samego początku podchodziła do magii jak akolita. Akolita księgi, czarów, a przede wszystkim nieżyjącej okultystki, do której należała ta księga. Nazywała się Astrid Washington i Marion opowiadała o niej jak zadurzona dziewczyna.

– Astrid była niesamowita. Nie była tylko okultystką, ale także uzdrowicielką. Ludziom z socjety kazała słono płacić za amulety miłości i miętową herbatę, by potem biedakami zajmować się za darmo. W Baltimore nazywano ją Opiekunką Wdów. Przemocowych mężów pozbywała się dosłownie za grosze, za pomocą niemożliwych do wykrycia trucizn. Sześć dni po tym, jak Astrid została zabita, siostrzeniec Johna Howletta – jej zabójca – umarł we śnie. Miał dwadzieścia pięć lat i był zdrowy jak koń.

Opowiedziała nam o tym pewnego wieczoru w lepkiem boksie w Pick Me Up, jedząc srebrną łyżeczką lodowy deser z brownie.

Fee wyglądała na zafascynowaną.

– Czyli zabił go jej duch?

Marion uśmiechnęła się lekko.

– To jedna z teorii.

– Mówiłaś, że Astrid miała zostać stracona – odezwałam się. – Co takiego zrobiła? Zabiła niewłaściwego męża?

Wzruszyła ramionami, a jej spojrzenie pociemniało.

– Ludzie obwiniają silne kobiety dosłownie o wszystko.

Spojrzałam na jej torbę, w której kryła się księga okultystki. Zawsze miała ją przy sobie. Ani Fee, ani ja nigdy nie trzymałyśmy jej w rękach, ale

mnie to odpowiadało. Wolałam myśleć, że nasza magia ma swoje źródło w jakimś pozbawionym twarzy miejscu, składziku mocy, do którego dostęp mają odważne dziewczyny z otwartymi sercami. Nie rozumiałam obsesji Marion na punkcie Astrid i jej nieustannego przypominania nam, że ona naprawdę żyła. Że nie była postacią, lecz osobą, i może nawet wcale nie jakąś dobrą.

Przeszedł mnie dreszcz. Być może przypominałam sobie, choć na chwilę, że magia ma zęby i historię równie starą jak świat.

Próbuję przypomnieć sobie, jak się to zaczęło, jak wyglądał początek końca.

Był wieczór i przejeżdżałam rowerem pod wiaduktem. Na kierownicy wisiały torby z zakupami i mało mnie nie zahaczył ford fairlane. Gwałtownie skręciłam, aby uniknąć zderzenia, a jedzenie wysypało się na chodnik.

– Hej, dupku! – zawołałam. – Zbiłeś mi jajka!

Kierowca pokazał mi środkowy palec.

– Idź się pierdolić ze swoim chłopakiem! – odkrzyknął przez opuszczoną szybę.

Spadł mi łańcuch. Rzuciłam rower na chodnik i puściłam się biegiem, z głową, w której nie było nic oprócz buzującej wściekłości. Wyciągnęłam rękę i jego tylna opona strzeliła niczym zgnieciona dynia, a samochodem zarzuciło w poprzek Glenwood Avenue.

Nic nie powiedziałam. Sądziłam, że nic nie zrobiłam. Ale moje ciało trzęsło się od uwolnionej magii, a ból zaczął już wbijać szpony w mój mózg. Ten gnojek odzyskał kontrolę nad samochodem, ja jednak nie potrafiłam przestać wyobrażać sobie pogiętego metalu, krwi na chodniku.

W tamtym momencie nie czułam się jak dziewczyna z darem. Czułam się jak dziecko niosące skrzynkę dynamitu.

A potem nadszedł czas na zaklęcia miłości.

Fee łatwo się zakochiwała. Podobały jej się wyszczekane dziewczyny, dziewczyny z ogolonymi głowami, dziewczyny na motorach, które śmigają między stojącymi w korkach samochodami. Ale dopiero kiedy zaczęłyśmy się parać magią, zebrała się na odwagę, aby w końcu do którejś zagadać.

Przeżyła pierwszy pocałunek, potem drugi z barmanką w Rainbo Club, dziewczyną z krótko obciętymi różowymi włosami i wytatuowaną obrozą hiacyntów. Potem barmanka się dowiedziała, ile lat ma rzeczywiście Fee, i przestała się do niej odzywać.

Po raz pierwszy księga okultystki pokazała nam zaklęcie miłości. Jego składniki nadawały się do bukietu ślubnego: wstążki, róże, lawenda. Niemal można było uwierzyć, że to dobra magia.

– Sama nie wiem. – Fee przeczesywała palcami końce swoich włosów. – Jak w ogóle działa takie zaklęcie miłości? Podstępem każe jej myśleć, że mnie kocha? Coś tam zmienia w jej mózgu, że zaczyna kochać? Nie chcę, żeby ktoś mnie kochał, jeśli to się nie liczy.

Głos Marion był lodowaty.

– Jak magia może się nie liczyć? Miłość to chemia. Twój własny mózg sprawia, że jesteś pijana. Magia jest sto razy bardziej prawdziwa niż miłość. Zresztą – zmrużyła oczy – Astrid nie pokaże nam nic innego, dopóki tego nie zrobimy.

Dlatego zgromadziłyśmy pączki róż i ładne, pachnące rzeczy. Czaiłam się w Rainbo, aż w końcu zobaczyłam, jak niestała w uczuciach barmanka piję wodę przez słomkę. Porwałam słomkę i czmychnęłam z baru.

Po raz pierwszy nie mówiłyśmy jednym głosem i dało się to wyczuć w magii. Pojawił się pewien opór, nasiąknięty siarką wiatr, który zaburzył naszą równowagę.

W samym środku zaklęcia Fee krzyknęła. Sięgnęła pod koszulkę po łańcuszek z zawieszka, która zawsze spoczywała tuż pod zagłębieniem

w szyi: krzyżyk należący kiedyś do jej matki. Szarpnęła. Cienki łańcuszek pękł, a krzyżyk upadł na ziemię.

– Dajcie mi lustro. – Jej głos brzmiał żałośnie.

Kiedy uniosła koszulkę, aby popatrzeć, okazało się, że w miejscu, gdzie znajdował się krzyżyk, widać ślad krzyża. Nie była to świeża rana, lecz blada blizna. To było takie ładne, umieszczone jak wisiołek obok drugiego łańcuszka: tani, z kawałkiem pękniętego serca, część zestawu, jaki kupiła dla naszej trójki na Maxwell Street.

Gdy ją przytuliłam i odgarnęłam z twarzy włosy, Marion podniosła z ziemi krzyżyk i owinęła go wyjętym ze swojej niemającej dna torby kwadracikiem czarnego papieru.

– No dobrze – powiedziała, chowając to do szuflady. – Zaczniemy jeszcze raz.

– Marion, nie – rzekłam ponad ramieniem Fee.

Jej twarz stężała.

– Nie?

– To był kiepski pomysł. Zróbmy coś innego.

– Ale co innego mamy do roboty? – Rozłożyła ręce, obejmując tym sposobem ten pokój, całe rozświetlone miasto, w którym nie warto było nic robić, jeśli nie kryła się w tym choćby odrobina magii. – Serio, co?

Fee się odsunęła i zmierzyła Marion niechętnym spojrzeniem.

– To należało do mojej matki. Umarła z tym krzyżykiem na szyi.

Widać było, że Marion gotowa jest naciskać. Potem jednak dokonała jakichś kalkulacji i zmieniła kurs.

– Okej – mruknęła i odpuściła temat.

Słuchałyśmy muzyki i układałyśmy tarota. Wszystko było dobrze. Kiedy jednak rankiem Marion sobie poszła, Fee spojrzała na mnie, a ja kiwnęłam głową i obie wiedziałyśmy, że coś się zmieniło.



Miałyśmy dość księgi okultystki. Dość zazdrosnego wydzielania przez Marion jej mrocznych darów, które niczym upiorne ślady stóp prowadziły nas coraz głębiej we mgłę.

Astrid Washington nie była jedyną nauczycielką. Jej magia nie była jedyna.

Nie mówiąc nic Marion, zaczęłyśmy szukać. Wertowałyśmy podręczniki magii, poradniki zielarskie i jedyne w swoim rodzaju necronomicony znalezione w księgarniach wielkości szafy. Zdobywałyśmy zamazane ksera ksiąg z zaklęciami. Poznałyśmy ludzi, którzy zapraszali nas na zgromadzenia w parkach, piwnicach i barach, gdzie czaiłyśmy się we dwie gdzieś z boku. Znalazłyśmy mnóstwo ślepych zaułków, ale także przebłyski prawdziwej magii.

I naprawdę fajnie było pracować bez czujnego wzroku Marion. Fee odkryła, że ma rękę do ziół. Dzięki niej mały ogródek jej taty niesamowicie się rozrósł, pokrywając zielenią drewniany ganek wychodzący na zachwaszczone podwórko. Rozmawiała z uzdrowicielami w Pilsen i wracała od nich z naręczami ziół i przepisami nagryzmołonymi na kwadracikach papieru pakowego.

Magia okazała się walutą tańszą, niż sądziłyśmy, a miasto wielką, żywą biblioteką sekretnych mistyków, cywili z ukorzenioną w nich pradawną wiedzą. Przerzucaliśmy strony w poszukiwaniu informacji: kuszące strzępki kabały zebrane od przygarbionego użytkownika Parku Rogersa; szeleszcząco niepokojący norweski wierszyk wyrecytowany przez kelnerkę w Andersonville; unosząca włosy na karku anegdota o magii lalek wyciągnięta z taksówkarza pochodzącego z Afryki Zachodniej. Fajna była świadomość, że magia ma gęstsze i starsze zarośla niż księga okultystki.

Odsunęłyśmy się od Marion. Ale ona także odsuwała się od nas. Po tamtym zaklęciu miłości coraz rzadziej się z nami kontaktowała, czasem milczała nawet przez wiele dni. Zaczęła opuszczać swoje zmiany w smażalni. Postanowiłyśmy, że pojedziemy do jej domu, aby sprawdzić, co się dzieje, ona jednak znalazła nas pierwsza.

Pojawiła się w smażalni w czarnej, wyblakłej sukience i miedzianej bransoletce z nanizanymi na niej cytrynianami. Była w niej jakaś nowa ostrość, emanowała z niej zła aura. Coś się zmieniło od czasu, kiedy widziałyśmy się z nią po raz ostatni. Nagle wyglądała tak, jak czarownica, którą chciała być: wygłodniała i zdumiewająca.

Sądziłyśmy, że zapyta, co porabiałymy, lecz zamiast tego ona zaczęła nawijać o rytuale przedstawionym jej przez księgę okultystki, którego celem było zwiększenie magicznej mocy ciała: siły krwi, moczu, śliny, paznokci, tych wszystkich tanich składników, które można pozyskać z samej siebie. W jej torbie kryły się piekielnie wyglądające korzenie, przesiąknięte brudnym, miejskim deszczem, i herbaty, którymi karmiła się zamiast jedzenia. Jej skóra wydzielala woń sosny i metalu.

Powiedziała, że jest coś jeszcze. Coś, co musi nam pokazać.

Żadna z nas nie chciała iść. W nocy siedziałyśmy do późna i zajmowałyśmy się moim tatą, a teraz byłyśmy wykończone. Mimo to po pracy powlokłyśmy się za nią na przystanek.

Sierpień zbliżał się ku końcowi, a panująca między nami atmosfera była równie dusząca jak pogoda. Po wyjściu z autobusu nie poszłyśmy się do domu rodziców Marion. Zamiast tego powiodła nas przed kampus. Mijałyśmy uczelniane budynki i trawniki tak intensywnie zielone, że aż się wydawały złowieszcze. W końcu dotarliśmy do mieszczącego się w centrum Disneylandu ze sklepami.

Zatrzymałyśmy się przed jednym z tych miejsc, gdzie zaopatrują się niedoszłe czarownice: fajki z dmuchanego szkła i tanie fetysze, biżuteria z podrabianym lazurytem albo macicą perłową. Miało idiotyczną nazwę – 'Twixt and 'Tween – i wchodząc tam czułam zażenowanie, bo chłopcy z mieszczącego się obok sklepu z płytami stali na chodniku i palili papierosy.

W środku unosił się zapach drewna sandałowego i pełno tu było rzeczy: wąskich fajek do palenia jednej działki, koszulek Heshher i kolorowych makram. Z zaplecza wyszła jakaś kobieta i przytuliła Marion.

– Hej, ładna dziewczyno.

Była białą kobietą pod trzydziestkę, ale emanowała z niej aura starej punkówki. Miała skórę spaloną słońcem, oczy kwarcowo niebieskie, czarne włosy postrzępione jak dmuchawiec, a na wierzchach dłoni wytatuowane trójkąty i gwiazdy. Nie patrzyła na mnie i na Fee. Obejmując Marion, zapytała:

– Przywiozłaś książkę?

Obie z Fee zerknęłyśmy na siebie z ukosa, Marion zaś wsunęła rękę do swojej torby i wyjęła z niej księgę okultystki. Kobieta zaśmiała się cicho i wyciągnęła ręce, jakby Marion miała jej ją dać. Kiedy tego nie zrobiła, w końcu spojrzała na mnie i Fee.

– Więc to jest twój sabat.

Wskazałam na nią brodą.

– Co to za jedna? I co robimy w jej badziwnym sklepie?

Kobieta ponownie wybuchnęła śmiechem, ale Marion się spięła.

– To jest Sharon. Ona także praktykuje.

– Możesz mnie przedstawiać jako czarownicę, skarbie. – Sharon musnęła językiem swój kolczyk w wardze. – To nie jest złe słowo.

– Ale ograniczające – odparła z powagą Marion. W temacie magii zawsze brakowało jej poczucia humoru. – My jesteśmy kimś więcej. Chcę być kimś więcej. A ty nie?

– Jasne – odparła Sharon po chwili milczenia. – Jasne, że chcę.

Marion pokiwała głową.

– No więc tak. Sklep Sharon jest miejscem spotkań dla... dla praktykujących. Pewnego dnia przyszłam tu kupić zapasy, a skończyło się tak, że gadałyśmy jak długo? Dwie godziny?

– Zgadza się – przytaknęła Sharon, patrząc na mnie.

Marion przycisnęła do piersi księgę, a jej głos przybrał nabożny ton.

– Coś się stało tamtego wieczoru po poznaniu Sharon. Księga pokazała mi zaklęcie dla czterech osób. Nigdy dotąd tak się nie stało. – Spojrzała na nas z powagą. – Myślę, że Astrid chce, abyśmy pracowały z Sharon.

– Niby co, jest naszym alfonsem? – fuknęłam. – Nie pracuję z kimś, kogo nie znam.

– Podoba mi się. – W oczach Sharon widać było twardość przeczącą jej słowom. – Podobasz mi się, skarbie.

– Mało mnie to obchodzi, skarbie.

Sharon zasznurowała usta i wypuściła powietrze. Niemożliwie długi wydech, który wypełnił mi nos zapachem lukrecji i sprawił, że światła zamigotały, a panujące w sklepie napięcie rozbił na małe kawałki. Fee otworzyła szeroko oczy i dotknęła opuszkami miejsca, gdzie naznaczył ją krzyżyk.

– Mamy czas. – Teraz, kiedy nam zaimponowała, Sharon sprawiała wrażenie radośniejszej. – Porozmawiajmy. Napijmy się herbaty. Wyślę kogoś po kanapki.

W tym momencie doznałam jednego ze swoich przeblysków. Udało mi się dojrzeć aurę Sharon. Ultrafioletowa i pomarańczowa i trudno było na nią patrzeć. Jedyna dwukolorowa aura, jaką zdarzyło mi się widzieć. Nie miałam pojęcia, co to oznacza.

Spojrzałam na Fee. Uniosła brew.

– W porządku. Możemy porozmawiać.

# ROZDZIAŁ SZESNASTY



Przedmieścia

*Teraz*

WRÓCIŁAM DO SWOJEGO NAWIEDZONEGO DOMU, trzymając się za nawiedzoną głowę. Kiedy na podjeździe ujrzałam samochód Hanka, puściłam się biegiem. Przeskakując po dwa stopnie na raz, wbiegłam na górę i wparowałam do jego pokoju. Na widok śpiącego brata odetchnęłam z ulgą. Twarz miał skąpaną w świetle filmu odtwarzającego się w otwartym laptopie.

Zamknęłam go i pociągnęłam Hanka za ramię.

– Hank. Hanky Hank Hank. Henry.

Obudził się jak zawsze skonsternowany niczym staruszek, który zasnął na rollercoasterze.

– Ivy? Która godzina? Co tu robisz? Gdzie mój laptop? Spadł na podłogę?

– Spokojnie – odparłam. – Oddychaj.

Głowa opadła mu na poduszkę.

– O mój Boże. Jest środek nocy!

– Dawno wróciłeś do domu?

– Nie wiem. Spałem.

– Po powrocie widziałeś coś dziwnego?

– Jakiego dziwnego? Nieważne, mam to gdzieś. Idź. Spać.

Mój oddech nieco zwolnił.

– Pójdę. Za chwilę. Ale, Hank. Co miałeś na myśli wcześniej, kiedy mówiłeś o Billym? „Co się z wami stało?”, tak zapytałeś.

– To dlatego mnie obudziłaś? – Wsparł się o zagłówek i spojrzał na mnie jednym okiem. – Chodziło mi tylko o to, że się kiedyś przyjaźniliście. Dopóki go sobie nie odpuściłaś.

– Nie – powiedziałam zdecydowanie. – Tak nigdy nie było.

– Było.

– Posłuchaj mnie. Ledwie znam Billy’ego Paxtona. Poza tym, że jest naszym sąsiadem. Aż do dzisiaj właściwie w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy.

Mój brat zamrugał, a księżyc wyrzeźbił jego twarz na kształt maski Anonymous. Odrzucił kołdrę.

– Zapal światło.

Kiedy Hank był mały, ciocia Fee dała mu swój stary aparat polaroidowy. Natychmiast nabrał obsesji na jego punkcie i zaczął fotografować każdą osobę, która wchodziła do jego pokoju. Osiem lat później cała ściana między szafą a drzwiami była zajęta przez kwadraciki w różnych stopniach wyblaknięcia. Stał przed nimi w spodniach od pizamy i z potarganymi włosami, i zaczął szukać.

Byłam tam oczywiście, w różnym wieku. Szczególnie wyróżniało się to zdjęcie, na którym mam włosy obcięte na pazia, świeżo wyrosnięte jedyńki i krzywe czerwone okulary. Byli tu chłopcy w bluzach sportowych i dziewczyny uchwycone z zamkniętymi oczami, trzymające w rękach telefony, kurtki i skręty, oślepienie lampą błyskową. Zdjęcia przytwierdzono do ściany pinezkami. Nachodziły na siebie, a część starszych miała na brzegach wiele śladów po pinezkach.

– Proszę bardzo. – Hank zdjął to, które wisiało na wysokości naszych kolan, częściowo schowane pod zdjęciem przedstawiającym jego i jego przyjaciółkę Jadę, przebranych za Magentę i Riff Raffa, i wcisnął mi je w rękę.

Spojrzałam, ale przez chwilę nie widziałam.

Na tym zdjęciu staliśmy obok siebie i mieliśmy jakieś dziewięć i dziesięć lat. Musiało być lato, bo oboje byliśmy ubrani w krótkie spodenki i,

z jakiegoś powodu, obszerne sportowe bluzy. Billy coś mówił i miał taką minę, jakby opowiadał mi właśnie świetny żart, a ja zaciskałam ze śmiechem powieki. To było niemądre, radosne zdjęcie. Zaczęłam się uśmiechać. I wtedy dotarło do mnie jego znaczenie.

Trzęsącymi się palcami oddałam je Hankowi.

– Nie pamiętam tego.

– Ivy. – Głos miał niemal błagalny. – Jak możesz nie pamiętać?

– Mówię ci, że to się w ogóle nie wydarzyło. Jak to możliwe... co to w ogóle jest?

Przełknął ślinę.

– To ta głupawa zabawa, w którą się kiedyś bawiliście, w której przebieraliście się w robocze ciuchy taty i szpiegowaliście ludzi. Nazywaliście siebie Bliźniaczymi Detektywami.

Przyłożyłam rękę do szyi.

– Bliźniaczy *Detektorzy*? – To był tytuł tandetnej dziecięcej serii detektywistycznej, którą kiedyś uwielbiałam.

Mojemu bratu ulżyło.

– Widzisz, jednak pamiętasz.

– Nie. – Oblana byłam zimnym potem. – Dlaczego nigdy dotąd nie mówiłeś do mnie nic o Billym?

Drgnęły mu ramiona, jakby zbierał się na odwagę.

– Mama.

– Co z nią?

– Nie kazała mi.

Nie wiedziałam, jak wyglądam, kiedy to powiedział. Ale sądząc po tym, jak zmienił się wyraz jego twarzy, rzekłabym, że niebezpiecznie.

– Kiedy to było?

– W to lato zanim poszedłem do liceum – odparł natychmiast. – Czyli ty chodziłaś do siódmej klasy. Pamiętam, bo było to krótko po tym, jak się

wyautowałem. Przez jakiś czas dziwnie się zachowywałem, ale zajęty byłem własnymi sprawami.

– Co dokładnie ci powiedziała?

– Powiedziała... powiedziała, że ty i Billy się pokłóciliście i że mam ci dać w tym temacie spokój i nie mam się z tobą droczyć. Uznałem, że zrobił coś niefajnego. Ale potem, kiedy widziałem, jak usycha z tęsknoty, domyśliłem się, że to twoja wina.

– Ale nigdy nie spytałeś.

– Jak już mówiłem – odparł z nieszczęśliwą miną. – Miałem na głowie inne rzeczy.

– Ona kłamała – oświadczyłam. – W ogóle tego nie pamiętam. Niczego.

– To... – Hank urwał, wykrzywiając usta.

– Widziałam się dzisiaj z Billym. Powiedział mi, że gdy byliśmy dziećmi, zламаł mu serce i że kazałam to zrobić mamie. Bez względu na to, co tu się dzieje, to ona to zrobiła.

– Sprawiała, że zapomniałaś całą osobę? Jak? Dlaczego?

– Och, daj spokój, Hank – burknęłam. – Oboje wiemy, że potrafi takie rzeczy.

Myślałam, że zaprotestuje, ale tak się jednak nie stało.

– No tak – powiedział cicho.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Co z tatą? – zapytałam w końcu. – Ile on wie?

– Ivy, przestań. – odparł z powrotem na łóżko i zasłonił twarz. – Trzecia nad ranem to nie jest najlepsza pora na takie rozmowy. Poza tym możliwe, że jadłem dzisiaj z Jadą grzybki i nie mogę więcej na ten temat teraz mówić. To oczywiste, że musisz pogadać z mamą. I Billym.

– No tak, tyle że mama się przed nami ukrywa, a Billy mnie nienawidzi.

– Billy kocha się w tobie, odkąd skończył siedem lat – powiedział słabo i położył sobie poduszkę na twarz. – A mama w końcu wróci do domu.

– Billy co?



Odsunął poduszkę.

– Jeśli pozwolisz mi teraz zasnąć, obiecuję, że porozmawiamy z nią razem. Okej? Nie obiecuję, że to ja będę mówił, ale będę ci towarzyszył. Będę kimś w rodzaju twojego asystenta. Ale teraz musisz pozwolić mi spać.

Pozwoliłam. Poszłam do łazienki i wbiłam wzrok w swoje odbicie, jakbym mogła zajrzeć w głąb swojego umysłu, do śladów, które pozostawiła, kiedy włamała się do mojej głowy.

Wtedy przypomniałam sobie, że kiedy stałam przed domem cioci Fee, to miałam niejasne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, a wiadomości od cioci – tak się akurat złożyło – przyszły tuż przed tym, jak zadzwoniłam do drzwi. A jeśli one tam były? Ukrywając się, zajmując się tajemniczym „czymś”, co się zaczęło od pierwszego martwego królika? Tata nocował w mieście, co oznaczało, że jego samochód stoi na dworcu nieco ponad kilometr stąd. W szufladzie leżały zapasowe kluczyki, jak również klucz do domu cioci Fee. Jeśli tym razem nie otworzy, to sama wejść.

Kiedy wyszłam z domu, przekonałam się, że samochód Billy’ego zniknął z podjazdu. Czyli on także nie mógł spać.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY



Miasto

*Wtedy*

SHARON ODWRÓCIŁA TABLICZKĘ Z NAPISEM ZAMKNIĘTE i zaprowadziła nas na zaplecze. Pod jedną ze ścian stały kartony, wzdłuż drugiej regały z książkami. Stała tu także przenośna kuchenka, czajnik elektryczny, a na białej ścianie wisiał afisz z filmu *Straceni chłopcy*. Obok niego tablica korkowa z pocztówkami i ulotkami oraz kilkoma kolorowymi osobliwościami: suszonymi kwiatami, plecionym sznurkiem, warkoczem tak lśniącym, że to musiały być włosy syntetyczne.

Na środku pomieszczenia stał wyszczerbiony stół z laminatu w kolorze miętowym. Na jednym z dwóch krzeseł siedziała młoda Azjatka w T-shircie z Myszką Miki i wpatrywała się w Sharon najbardziej głodnymi oczami, jakie w życiu widziałam. Na blacie przed nią leżały drewniana linijka i kawałek zaplątanego sznurka. Kiedy zobaczyła, że na to patrzę, zgarnęła je na kolana.

– Co to za jedne? – zapytała ostro z charakterystycznym akcentem z South Side.

Sharon uśmiechnęła się do niej zdawkowo.

– Słodka Jane. To są Marion i jej przyjaciółki. – Najwyraźniej nie zasługiwałyśmy na imiona. – Skarbie, mogłabyś skoczyć nam po kanapki? Cztery, mogą być z indykiem.

– Ja nie jestem głodna – powiedziała bezbarwnym głosem Marion.

– No tak. Ty poćsisz. W takim razie trzy.

Jane posłała jej smutne spojrzenie.

– Ja jestem głodna.

Sharon uścisnęła jej ramię, pocałowała w policzek. Po matczynemu.

– Tylko trzy, dobrze?

Nie patrząc na nas, Jane schowała linijkę i sznurek do fioletowego plecaka. Jego widok przypomniiał mi, że niedługo wracamy do szkoły i będziemy otoczone dziewczynami w jej wieku. Naszym wieku. Ale teraz mieliśmy jeszcze lato, a ja stałam na zapleczu headshopu i w skroniach boleśnie pulsowała mi wczorajsza magia.

Sharon wyjęła z małej lodówki jakieś przywiędłe zielsko i wrzuciła je do czajnika. Wkrótce w całym pomieszczeniu rozchodziła się woń kolendry. Kiedy wręczyła mi kubek, zauważyłam, że oprócz srebra, topazu i czarnego atramentu na środkowym palcu prawej dłoni ma obrączkę z jasnych włosów.

– Pierścionek żałoby – wyjaśniła, kiedy dostrzegła moje spojrzenie. – Obcięłam te włosy przyrodniemu bratu, kiedy leżał w trumnie. Większość nastoletnich lat spędziłam na zamkniętym terenie w Arizonie. On mnie uratował, kiedy nikomu innemu nie chciało się nawet spróbować.

– Zamkniętym terenie? – zapytała Fee.

– Sekta. Trafiłam tam jako piętnastolatka, wyszłam pięć lat później. Mam jednak mnóstwo pamiątek. – Strząsnęła bransoletki, odsłaniając rząd białych blizn, śladów, jakie zostawiano na ścianie, odliczając dni w więzieniu. – Te są moje. Ale te nie. – W zgięciu łokcia widniały trzy okrągłe blizny po oparzeniach. – Blizna po cesarce jest jeszcze lepsza. Powinnam umrzeć. Ale położna ukradkiem wywiozła mnie z rancza i zawiozła do szpitala. Ranczo – tak nazywaliśmy to miejsce.

Sharon była jedną z tych osób, które władają własną historią jak nożem. Wystarczy spędzić odpowiedni czas z wysokofunkcjonującymi alkoholikami, a rozpoznaje się coś takiego z daleka: wplatają do rozmowy koszarne, intymne detale, których celem jest przekonanie cię, że

zdradzają ci swoje sekrety. Sprawienie, abyś uważał, że musisz im się odpłacić tym samym.

Nie ze mną te numery. Spiorunowałam ją wzrokiem. Szesnastoletnia dziewczica w T-shircie X i glanach.

– Po co nam to mówisz?

– Bo to nie kostium. – Jej przepalony głos stwardniał i stanęła na szeroko rozstawionych nogach, wyzywając nas, abyśmy na nią spojrzeli. Włosy Roberta Smitha, więzienne tatuaże. – Moje ciało to bateria. Nigdy nie spałę tego wszystkiego, co mi zrobiono. Skąd pochodzi wasza moc? Z oglądania *Szkoły czarownic*?

Drgnęła mi powieka. Zeszłej nocy tata nie mógł spać z powodu przeszywającego bólu w plecach. Zeszłej nocy znalazł uśmierzający ból amulet, który umieściłam pod jego łóżkiem, i kazał mi go spuścić w ubikacji. „Co to za voodoo czy jakiś inne gówno?”. Jego słowa wilgotne były od wymiocin, bo tabletki to kiepska kolacja. Przyszła Fee i aż do świtu warzyłyśmy coś, co uśmierzy jego ból, coś, co go uspokoi. No i najwyraźniej wmieszałam w to także swoją urazę, bo przez cały czas chodziłam jak struta.

– No i proszę – powiedziała cicho Sharon. – Upuść sobie krwi, skarbie, dobrze ci to zrobi. Gniew ci służy. Pozwala pracować. Możemy pracować razem? Ja chcę.

– A co ze mną? – zapytała Fee. – Ja też tu jestem.

Fee była ładniejsza ode mnie. Wyższa, bujniejsza. Ale nawet na przestrzeni tych porąbanych miesięcy kryła się w niej twardość, której ja nigdy nie miałam. Pozwalała ludziom czuć się na tyle bezpiecznie, aby odwracać wzrok.

Niemal jej dotykając, Sharon przesunęła palcem po literce „t” na koszulce Fee, tuż nad zasłoniętą przez materiał blizną w kształcie krzyża.

– Utracona wiara to potężne narzędzie. Wiara pełna frustracji jest jeszcze lepsza. Z tobą także chcę pracować.

Marion siedziała tylko i sączyła herbatę, kot ze śmietanką.

Pociągnęłam łyk ze swojego kubka. Zawartość nadal była gorąca jak diabli.

– Co to za zaklęcie?

Prawdziwy uśmiech Marion stał się rzadkością. Nic w niej nie wydawało się już spontaniczne, zawsze było widać, że myśli, wyczuwało się obracające się trybiki w jej głowie. Ale teraz się uśmiechała, promiennie i drżąco.

– To jest wzmocnienie.

– Co takiego?

– Posłuchajcie. – Marion przyłożyła palec do kartki i odczytała na głos: – „Błogosławieństwo mocy dla tych, którzy są na tyle odważni, by je przyjąć. Że moje dary nie pozostaną w zastoju. Że ja nie umrę, ale żyć będę w was. Zaklęcie na osiem rąk”. – Policzki miała zarumienione, głos drżący. – Zwiększona magiczna moc. Tego właśnie dotyczy to zaklęcie.

– „Dla tych, którzy są na tyle odważni” – powtórzyłam. – Brzmi jak wyzwanie. Jakby nas nazywała tchórzami.

– Miej odrobinę szacunku – syknęła Marion. – To zaklęcie jest obietnicą. Nagrodą. Fragmentem mocy Astrid.

– Za co jednak jest to nagroda?

Zbyła to pytanie.

– Wiedziałyśmy, że za pośrednictwem tej księgi Astrid nas naucza. Ale jednocześnie testuje. Upewnia się, że jesteśmy tego godne. I pokazałyśmy na co nas stać. – Oczy jej błyszczały. – Wybrała nas.

– Jak długo to będzie trwać? – zapytałam.

– Już zawsze.

– Nie ma mowy – rzuciłam lekceważąco.

Fee ściągnęła brwi.

– Już zawsze? A jeśli po rzuceniu zaklęcia umrzemy?

Usta Marion wykrzywiły się.

– Nie chodzi o branie i dawanie, i równowagę, i inne rzeczy, które masz na myśli. To jest podarunek. Czy naprawdę potrafisz go odrzucić?

– Hej, daj spokój. – Fee ujęła jej dłoń. – Po prostu... Mar, nie wydaje ci się to trochę zbyt piękne, aby było prawdziwe?

Marion odpowiedziała uściskiem, a jej twarz złagodniała.

– Nie zasługujemy na coś dobrego?

Sharon przyglądała się łagodnie mnie i Fee.

– Myślałam, że obie jesteście chętne – rzekła. – Ale wygląda na to, że nie.

– Nikt cię nie pytał o zdanie – warknęłam.

– Przestańcie – powiedziała Marion. – Posłuchajcie.

Słowo to miało swoją wagę. Strukturę. Niemal zaczęłam się zastanawiać, czy to już nie jest zaklęcie. Kiedy poznałyśmy Marion, była krągła i rumiana, zero lekkości, sama powaga. Teraz kolory zniknęły z jej twarzy, po krągłościach nie został nawet ślad. Te zmiany zapewniły jej niepokojącą aurę ascetki.

– Odrobiłam pracę domową. Od znalezienia książki Astrid czytam wszystko, co uda mi się znaleźć na temat osób praktykujących, okultystów, czarów, wszystko. Nikt nie potrafił tego, co Astrid Washington. Gdybyśmy miały zaledwie ułamek jej mocy, zaledwie okruc... – Zamknęła oczy, jakby sam pomysł był światłem zbyt jasnym, aby na nie patrzeć.

Kiedy je otworzyła, jej twarz rozjaśniał zapał poszukującego kartografa, który pozwolił, aby jej obsesja przeniosła się na nas.

– Tylko pomyślcie – rzekła. – Pomyślcie, co mogłybyśmy robić.

Na moim ciele pojawiła się gęsia skóra. Pomyślałam o uzdrawiających amuletach, wolnej od bólu twarzy taty. Nie do końca pozwoliłam sobie zobaczyć to, co niewyobrażalne: lekarstwo. Kiedy spojrzałam na Fee, z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać. Zastanawiałam się, co się dzieje teraz w jej głowie.

– Co jest do tego potrzebne?

Mówiłam spokojnie, ale Marion wiedziała, że już mnie ma. Na stole postawiła swoją wielką torbę, z której wyjęła sporych rozmiarów okrągłe

lustro owinięte skórą jelenia, grubą czerwoną świecę i puste opakowanie po szmince, w którym przechowywała szpilki i igły.

– To wszystko? – zapytała Fee.

– I jeszcze to. – Marion położyła dłoń na szorstkiej okładce książki. – I odpowiedni księżyc, księżyc z dzisiejszego wieczoru. I odpowiednie miejsce.

– Więc to musi się stać dziś wieczorem. A jeśli jesteśmy zajęte?

– Znam wasze grafiki. Jesteście wolne.

– W porządku, ale mamy swoje życie.

Marion zatoczyła palcem krąg, obejmując nim Fee i mnie.

– Wy jesteście swoim życiem.

Na początku lata może i w jej głosie słychać by było nutkę zazdrości, teraz jednak jej spojrzenie utkwione było nie w nas, lecz w jakimś odległym horyzoncie. Ja i Fee udowodniłyśmy, że ma rację, kiedy popatrzyłyśmy na siebie, naradzając się bez słów.

Nie podoba mi się to, powiedziała mi jej twarz.

Mnie też nie.

Ale...

W naszym wahaniu kryło się mnóstwo rzeczy. Ciekawość i poczucie winy, i pragnienie. Nawet optymizm. A oprócz nich wszystkie najbrzydsze, najbardziej jaskrawe części nas. Części, które magia przemieniła w ostrza, za pomocą których mogłyśmy oskórować świat. Pomyślcie tylko: szesnaście lat i taka moc, po tym, jak przez całe życie słyszałyście, że jesteście bezsilne.

Nawet teraz, kiedy próbuję w swojej pamięci nakazać dawno utraconej sobie powiedzieć „nie”, wyobrazić sobie, że biorę Fee za rękę i na zawsze odchodzimy – od Marion, od magii – nie potrafię. Nie istnieje wersja mnie, która zamierzała kiedykolwiek odmówić.

# ROZDZIAŁ OSIEMNASTY



Przedmieścia

*Teraz*

NIE MIAŁAM POJĘCIA, ŻE ULICZNE LAMPY emitują ciche buczenie, dopóki nie szłam pod nimi sama o wpół do czwartej nad ranem. Ulicą między osiedlami, obok starego placu zabaw i zardzewiałej karuzeli połyskującej w świetle księżyca. Pojawił się wietrzyk i sprawił, że wszystkie drzewa westchnęły, niczym starsze panie wchodzące do domu w upalny dzień.

Gdy idziesz tak w środku nocy, nawet znajome rzeczy ulegają zniekształceniu. Lampy na werandach mijanych domów świeciły niczym przyjaźni kłamcy, te pozostające niezapalone sprawiały wrażenie sejfów, w których kryją się tajemnice. Poczulałam ulgę, kiedy opuściłam teren podmiejski i znalazłam się na drodze biegnącej wzdłuż szkoły podstawowej, parku i ciągu sklepów z całodobowym 7-Eleven, którego światła wyłaniały się z nocy na tle nieba koloru landrynki o smaku ciemnych winogron.

Wnętrze sklepu oświetlone było niczym scena i puste, jeśli nie liczyć pochylonego nad ladą sprzedawcy. Zatrzymałam się na ulicy, szukając w kieszeni drobnych. Właśnie miałam wejść na chodnik, kiedy z ciemności wyłoniła się dziewczyna i przeszła wzdłuż witryn pozamykanych sklepów. Gdy pchnęła drzwi 7-Eleven, zadrżałam, wyobrażając sobie chłód działającej tam klimatyzacji, smród stojącej w wiadrze wody do mycia podłogi, woń syropu do napojów i roztopionego sera. Patrzyłam za nią bez



jakiegoś wielkiego zdziwienia. Wcale nie wydawało się czymś nieprawdopodobnym, że znalazłam ją ponownie w ciemności.

To była ta nieznajoma, którą Nate i ja śledziliśmy w lesie. Rozpoznałam ją po bladej skórze, pewnym siebie chodzie. Twarzy, która nawet z profilu przywoływała na myśl stary, łuszczący się obraz namalowany na drewnie. Poza tym nadal miała na sobie moją koszulę.

Kucnęłam za subaru. Udało mi się zarejestrować moment, w którym wyszła ze sklepu z dwulitrową butelką mountain dew i hot dogiem. Cholernym hot dogiem z 7-Eleven! Nawet Hank by go nie tknął. Żartowałyśmy sobie z Aminą, że to zawsze jest ten sam hot dog, obracający się na tym swoim małym solarium, błagający głosem Olivera Twista o to, aby ktoś go zjadł.

Niespokojnie obserwowałam, jak dziewczyna otwiera butelkę i zaczyna pić z odchyloną głową, a jej szyja porusza się jak u pytona do czasu, aż butelka będzie pusta. Potem trzema kęsami pochłonęła hot doga i rzuciła śmieci na chodnik, choć zaraz obok stał kosz. Na końcu działki skręciła w lewo, udając się w kierunku, z którego przyszłam.

– Co to, kurwa, ma znaczyć? – szepnęłam i poszłam za nią.

Jasne włosy opadały jej do połowy pleców. Miała na sobie sprane, za duże dzinsy i jasnoniebieską koszulę, którą rzuciłam jej nad strumieniem. Powinna odznaczać się w ciemnościach jak pies z białą sierścią, a mimo to od razu straciłam ją z oczu. Skręciłam na chybił trafił i znowu ją zobaczyłam.

Co rusz znikala mi z oczu, przecznicę za przecznicą. Ciemność, przez którą się przebijała, sprawiała wrażenie lepkiej, klejącej się jej do skóry. Zachowywałam spory dystans, ale ona ani razu się nie obejrzała ani nie zawahała. Minęłyśmy plac zabaw, drogę szybkiego ruchu prowadzącą do mojego osiedla. Im bliżej byłyśmy domu, tym zwiększałam dystans między nami.

Skręciła w moją ulicę. Wstrzymałam oddech, myśląc: „Idź, idź, idź, nie skręcaj” do chwili, kiedy się zatrzymała na końcu naszego podjazdu.

Znieruchomiała i z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia wpatrywała się w mój dom.

Ukryłam się w ciemności otulającej posesję Billy'ego.

– Odbierz, Hank, ty ośle – mruknęłam z telefonem przyciśniętym do ucha, ale połączyło mnie od razu z pocztą głosową.

Wtedy dziewczyna szybkim krokiem przeszła przez podjazd i skręciła za dom.

– Hej! – Panika wyszarpnęła ze mnie to słowo.

Puściłam się biegiem przez ulicę, przez to dziwne fioletowawe powietrze. Z boku naszego domu rósł gąszcz malin, a nabrzmiałe sokami owoce wręcz pękały z gorąca. Niemal się spodziewałam, że znajdę ją uwięzioną między krzakami niczym bajkowego księcia, ale było tam pusto.

Podwórze za domem także okazało się puste. Nie przestawałam iść szybkim krokiem. Minęłam okna w kuchni, pokój za nimi. Obeszłam cały dom i wróciłam na podjazd, ale dziewczyna zniknęła.

Albo – pomyślałam o ciastkach, które zostawiłam wcześniej na talerzu i o tym, że każde zostało nadgryzione – albo zakradła się do domu.

Weszłam do przedpokoju i nasłuchiwałam. Nie sądziłam, abym tylko sobie wyobraziła nieprzyjazną strukturę panującej tu ciszy, zło równie namacalne jak zapach. Obeszłam parter, a potem weszłam na górę. Hank pochrapywał w swoim łóżku, z jedną ręką pod brodą. Mój pokój był pusty, łazienka także. Na koniec zostawiłam sobie pokój rodziców.

Wyglądał tak jak zawsze. Tylko powietrze wydawało się niespokojne i naelektryzowane. Zajrzałam do garderoby i łazienki, a potem pod łóżko. Gdy omiatałam wzrokiem kurz, mój telefon się rozjaśnił, a na wyświetlaczu pojawił się nieznajomy numer.

Zerwałam się na równe nogi. W drzwiach nikt nie stał. Za oknem widać było jedynie puste niebo. Mimo to wyobrażałam sobie, że ta dziwna dziewczyna mnie widzi, że czeka, aż odbiorę telefon. Zbiegłam szybko po schodach i wypadłam na podjazd, odbierając po czwartym sygnale.

– Halo?

Cisza, którą przerywał tylko jakiś szum. Przypominający ruch uliczny albo ocean. Coś w tym dźwięku sprawiło, że z nagłą nadzieją mocniej zacisnęłam dłoń na telefonie.

– Mama?

– Chryste, nie – odparł obcy głos. – Z tej strony Sharon. Zostawiłaś dla mnie wiadomość.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY



Miasto

*Wtedy*

TO ZAKŁĘCIE MUSIAŁO ZOSTAĆ ODPRAWIONE O PÓŁNOCY. Dlatego że choć niektóre kwestie dotyczące tego, co nadprzyrodzone, okazały się bzdurą, wiele było prawdziwych.

Ze sklepu wyszliśmy krótko po jedenastej. Jezioro zdążyło zasznurować swoje chłodne, niebieskie usta i przegnało wilgoć. W tym sennym, letnim mieście odnosiło się wrażenie, że jest już bardzo późno.

Mijający nas ludzie albo nam się przyglądali, albo szybko odwracali wzrok. Razem budziłyśmy postrach, bukiet kwitnących nocą kwiatów. Fee była pięknoustą boginią, Marion zatwardziałą czarownicą. Sharon ledwie zreformowaną dziewczyną Mansona, no i jeszcze ja. Tak naprawdę nie jesteś w stanie spojrzeć na siebie tak, jak ktoś z zewnątrz, ale podobało mi się to, jak rude włosy opadają mi na plecy, lubiłam swój ból oczu osoby cierpiącej na bezsenność.

Marion prowadziła nas do samego serca kampusu, lawirując między cieniami rzucanymi przez brzydkie betonowe budynki nazwane na cześć nieżyjących ludzi. Ścieżką oświetloną pomarańczową poświatą rzucaną przez stare latarnie, obok trawnika z bujnie rosnącą koniczyną, po schodkach wiodących do budynku stanowiącego spełnienie marzeń barokowego szaleńca.

– Czy to... – zaczęła Fee.

Marion zatrzymała się przed biblioteką, która swego czasu była domem okultystki.

– Wchodzimy do środka.

– Co takiego? – Spiorunowałam ją wzrokiem. – Nic nie mówiłaś, że będziemy się gdzieś włamywać.

– Nie ma mowy o włamywaniu się. My tam po prostu wejdziemy.

Łatwo było przeoczyć wejście w ścianie od strony jeziora, chyba że się było Marion i znało się to miejsce od podszewki. Jeszcze nigdy nie widziałam takiego architektonicznego dziwactwa: kręty korytarz tak wąski, że szłyśmy gęsiego. Jeden ostry zakręt, potem kolejny i jeszcze jeden, aż w końcu dotarliśmy do poszarzałego w świetle księżyca ogródka pachnącego bazylią, pomidorami i rozszalałą miętą. Za dnia z pewnością wyglądało to jak coś znalezionego na terenie średniowiecznego klasztoru żeńskiego. Tłuste pszczoły, aromatyczne zioła, pochylające się kwiaty. Fee delikatnie musnęła listki szafwii, uwalniając jej zapach.

Marion weszła na jeden z klombów. Z miejsca pomiędzy ścianą a rabarbarem podniosła coś metalowego. Klatkę taką, jakiej się używa do łapania szczurów. Zamrugał w niej królik, domowe stworzenie o puchatym futerku.

– Och, daj spokój – odezwała się błagalnie Fee.

Wręczwszy klatkę Sharon, Marion padła wsparta na łokciach i kolanach przed łukowatymi drewnianymi drzwiami w starej kamiennej ścianie. Ze swojej torby wyjęła latarkę i wygięty metalowy wieszak z przytwierdzonym do jednego końca magnesem. Pod drzwiami była szpara, tam, gdzie drewno się wypaczyło. Położyła latarkę przed tym miejscem, wcisnęła do środka drut z magnesem i zaczęła nim poruszać.

– Tak – wyrzuciła z siebie, powoli wyjmując klucz.

Sharon zagwizdała.

– Dobra robota, McGyver.

Marion od dawna to planowała. Dłużej niż pozwalała nam wierzyć. Przygryzając paznokcie przy kciuku, obserwowałam, jak przekręca klucz w zamku, następnie uderza biodrem w drzwi, aby wybić spaczone drewno

z futryny. Czyli to też już miała okazję robić. Zadowolona z siebie przywołała nas gestem.

Wystarczyło przejść przez próg, a temperatura się obniżyła. Zielone zapachy ogrodu zagłuszyła woń niszczącego papieru i starego atramentu. Nawet z zamkniętymi oczami człowiek wiedział, że znajduje się w bibliotece. Kiedy drzwi się za nami zamknęły, stałyśmy w milczeniu, tworząc nierówny okrąg czworga. Pięciorga. Oczy królika lśniły w ciemności niczym dziesięciocentówki.

– Weźcie się za ręce – powiedziała Marion głośnym szeptem. – Ja nas będę prowadzić. Nie możemy ryzykować i użyć latarki.

Wyciągnęła rękę do Sharon, która z kolei sięgnęła do ręki Fee. Ujęłam dłoń Fee i stałam się ogonem komety przemykającej przez cichą bibliotekę.

Pięknie tu było. W tego typu miejscu wypełnionym starymi księgami i historią z pewnością na przebudzenie czekało co najmniej pięćdziesiąt odmian magii. Minęłyśmy drewniany, bogato zdobiony parawan, rzucający geometryczne kontury na naszą skórę, po czym zaczęłyśmy się pięć po krętych schodach. U ich szczytu powitał nas witraż przedstawiający piknik elegancko odzianych lisów, który nadawał podestowi odcienie dojrzałych owoców. Coś mi się przypomniało i ta myśl była dla mnie niczym kubek zimnej wody: w tym miejscu Marion znalazła kiedyś zwłoki.

Skręt w prawo, nieoświetlone przejście i kolejne schody. Przekleństwa Marion, której klatka z królikiem obijała się o kolana. Na drugim piętrze sufity znajdowały się niżej, okien było mniej. Przez większą część drogi musiałyśmy polegać na pamięci Marion i naszym łańcuszku splecionych dłoni, ciągnących nas przez ciemność. W połowie drogi między dwiema kałużami księżycowego blasku Marion zatrzymała się i odstawiła klatkę.

– Podsadźcie mnie.

Sharon kucnęła i splotła dłonie w koszyczek. Widziałam jedynie ich kontury: jedna klęczała jak giermek, a druga wyciągała się w górę, próbując dosięgnąć czegoś na suficie. Po chwili to coś się oderwało, a ona złapała je w locie.

– Auć – powiedziała głośno, kierując drewnianą drabinę w stronę podłogi. Biegła od otwartego wjazdu, przez które sączyło się więcej światła księżyca. To było to samo światło z tego samego księżyca, a mimo to była w nim pewna surowość i kwaskowatość, jak w soku z cytryny.

Marion weszła pierwsza, po czym wyciągnęła rękę po klatkę z królikiem. Potem Sharon, potem Fee. Kiedy zostałam sama, ciemność pokazała zęby i złe zamiary, przez co chyłkiem wdrapałam się na górę. Gdy tylko wciągnęłam nogi i drabinę, Marion zamknęła wjazd, a my znalazłyśmy się w środku cierpkiej bańki światła.

Pomieszczenie było okrągłe, kula śnieżna wypełniona księżycem. Znajdowałyśmy się powyżej linii drzew, a okna wstawione zostały w tak wymyślny sposób, że w całym tym miejscu nie uświadczyło się cienia. Na środku podłogi widniała plama wielkości skulonego mastiffa.

Marion położyła obok niej torbę i wyjęła kompas. Nie odrywając od niego wzroku, rozstawiła nas w południowym zakolu pomieszczenia.

– Zdejmijcie buty. – Jej kręgosłup przypominał gadzi grzbiet, gdy nachyliła się nad sznurówkami swoich butów. – Północny wschód nie jest nam potrzebny, rzućcie je tam.

Podłoga miała taką samą neutralną temperaturę jak powietrze. Gdyby nie kurz, ledwie bym ją czuła. Ja stałam na południowym zachodzie, Sharon na południu, z dłońmi splecionymi za plecami. Fee stała bez ruchu w części południowo-wschodniej, a spod kurtyny włosów widać było jedynie czubek jej nosa. Zaklinałam ją, aby obejrzała się na mnie, ale wyjątkowo tego nie wyczuła.

Marion wyjęła drewniany pojemnik wielkości pudełka zapalek, rozsunała go i oprószyła sobie dłonie białym pudrem. Kiedy zdmuchnęła nadmiar, puder zawirował, tworząc chmurę, która powoli osiadła na jej ramionach i włosach. Odwinęła lustro, położyła je na plamie, po czym po swojej prawej stronie postawiła świecę i uwięzionego w klatce królika. Po lewej umieściła miseczkę pełną soli nasypanej z foliowego woreczka i księgę okultystki.

Rzucanie zakłęb zazwyczaj sprawiało, że Marion sztywniała, jakby przygotowywała się na cios. Dziś jednak poruszała się zwinnie na bosaka, rysując kredą linię na podłodze i bezosobowymi dłońmi poprawiając nasze rozmieszczenie. Na koniec wręczyła każdej z nas po igle. Zacisnęłam mocno palce na swojej.

– Większością ja się zajmę. – Jej głos przerwał ciszę, ostro niczym nagły klaps. – Pozostańcie tam, gdzie was ustawiłam, a kiedy wam powiem, przeciągniecie igłą po swojej lewej dłoni, od tego miejsca do tego. – Wskazała na podstawę kciuka, a potem na początek linii życia. – Na tyle głęboko, aby pokazała się krew. Kiedy wam powiem, przyciśnięcie dłoń do podłogi.

Moje bosc palce zataczały półksiężycy w kurzu. Magia krwi oznaczała silne skutki uboczne. Ale przecież wiedziałam, że bez tego się nie obejdzie. Może Marion opłaci nam pokój w hotelu, gdzie po wszystkim mogłybyśmy dojść do siebie. Tandetne programy w telewizji i octowa nalewka Fee. Byłoby całkiem fajnie.

Istnieją sceny w życiu, które odtwarzasz jak film, siedząc w zaciemnionym pokoju w środku siebie i krzyżąc: „Wstawaj, idiotko, uciekaj!”. Osoba w filmie ma twój wygląd i głos. Podobnie jak ty robi rzeczy, których nie powinna, i za każdym razem nie udaje jej się ocalić samej siebie. Z czasem niemal potrafisz przekonać siebie, że to jakaś anarchistyczna nieznajoma, złowroga w swojej ignorancji.

Oto scena, która nadal odtwarza się w mojej głowie. Nie codziennie, jak kiedyś, nawet już nie co tydzień, jednak wystarczająco często, zakradając się do mnie z nienacka niczym tlenek węgla.

Cztery postacie stoją bosco w okrągłym pomieszczeniu. Światło jest tutaj takie, że ich kształty wydają się zamazane, niematerialne. Są w różnym wieku, ale wszystkie młode, włosy mają rude, czarne albo bardzo jasne, ich sylwetki drapieżne i przygotowane. Kto wie, co się kryje w ich sercach.

Dziewczyna z jasnymi włosami kuca przed plamą na podłodze. Obok niej jest miska z gruboziarnistą solą, książka, czerwona świeca i dyszący



królik. Na plamie leży okrągłe lustro, w którym nie odbija się sufit, lecz brudny krąg zmierzwionego nieba, niepowiązany z nocą za oknami.

Niektóre zaklęcia są potwornie żmudne i liczy się spełnienie każdego, najmniejszego nawet wymogu. Niektóre mają w sobie lukę, czyli miejsce na interpretację. Jasnowłosa czarownica zapala świecę najzwyczajszą zapalniczką bic, bo w tym akurat zaklęciu nie jest ważne, skąd się bierze ogień. Najpierw płomień wygląda jak równy pomarańczowy język zwykłej świecy, dopóki nie przytrzyma nad nim ręki i nie wypowie pierwszych słów zaklęcia. Płomień trzeszczy, po czym przekształca się w bladoniebieską kulę.

Zaklęcie jest silniejsze od wypowiadającej je czarownicy. Pierwszy sukces sprawia, że przygryza wnętrze policzka, tłumiąc triumfujący uśmiech.

Niebieski płomień trzy razy szybciej pożera wosk, a świeca się topi, tworząc cienki spodek. Dziewczyna ostrożnie przelewa wosk na lustro, wykonując spiralny ruch od środka do krawędzi, jakby smażyła naleśnik. Mówi językiem, którego nikt nie zna – ani w tym pomieszczeniu, ani w żadnym innym. Wykonując szybkie ruchy, otwiera klatkę i wyciąga z niej królika. Wcześniej spokojny, teraz gorączkowo kopie łapami, urodzony po to, aby być zwierzątkiem domowym, teraz jednak przemienia się w dzikusa. Chce się, aby wygrał, każdy by tego chciał, lecz wystarcza błysk ostrza i z krzykiem równie pogańskim jak wszystko inne tutaj poddaje się, a jego życie skapuje czerwonym strumyczkiem na zawijasy wosku.

Czarownica nie tylko podrzyna mu gardło, lecz odcina całą głowę, nożem wyjętym gdzieś z czeluści swoich ubrań. Widzisz emaliowane konie na rękojeści i przypomina ci się dzień na plaży, kiedy użyła go do krojenia owoców mango i rozdawania kawałków na czubku ostrza niczym matka na nożyku do obierania owoców.

Odkłada martwe zwierzę i przykłada do zakrwawionego wosku igłę. Ryje litery od prawej strony do lewej, od dołu do góry. Pozostałe postacie w pomieszczeniu znajdują się w takim bezruchu, że można to uznać za

część magii, ale proszę bardzo: oto drgnięcie oka, ruch języka łapiącego pot.

W pomieszczeniu jest teraz gorąco i robi się coraz goręcej.

Skończywszy pisać, czarownica wstaje, w zakrwawionych dłoniach trzyma miskę. Rozsypuje sól, tworząc krąg obejmujący ją, świecę, lustro i płamę. Jej ruchom towarzyszy ostrożność. Nie przestając wypowiadać słów zaklęcia, odrywa boki świecy, tak że niebieski płomień ujeżdża teraz cienki krąg wosku. Przytrzymuje go nad lustrem, przechyla, aż kula ognia zsuwa się niczym kamyczek na pokryte warstwą wosku i krwi szkło. Natychmiast staje w płomieniach, przekształcając lustro w bulaj do Piekła.

W tym momencie czarownica ma pewność, że się udało. Ton głosu ma zwycięski, jej gardło wzbiera żelazem i dymem. Poza kręgiem gorąco zaczyna słabnąć. W jego obrębie blada czarownica poci się, a jej włosy podrywa nagły podmuch. Unosi rękę.

– Teraz – mówi.

Twarze trzech osób poza kręgiem są nieruchome, bez wyrazu, jakby obserwowały wszystko przez kurtynę snu. W idealnym somnambulicznym tandemie unoszą srebrne igły i malują nimi czerwone linie na swoich dłoniach, po czym przyciskają je do podłogi.

To znaczy, robią tak dwie osoby. Trzecia, czarnowłosa, z drżącymi fioletowymi ustami, waha się z uniesioną ręką. Wpatruje się w płonące lustro.

– Teraz! – powtarza czarownica z twarzą błyszczącą od potu.

– *Qué carajo* – szepcze czarnowłosa czarownica.

– Zrób to – syczy kobieta obok niej, ta z czarnymi włosami. – Usiłujesz nas zabić?

W tym momencie druga dziewczyna widzi to, co zobaczyła jej przyjaciółka.

Ja to widzę. Nie umiem przed tym uciec, wślizguję się z powrotem w tamto ciało i jestem tam. Widzę, co się znajduje w kręgu lustra, na którym wosk się spalił, a tafla jest zamglona od niebieskiego ognia.

Twarz kobiety. Twarz i dłonie, przyciśnięte do tafli od dołu, jakby stała pod podłogą i patrzyła do góry. Ostre paznokcie i zgrubiałe opuszki, czoło wysokie jak u dziecka. Jej dłonie napierają na szkło od spodu. Udaje im się przebić.

Powierzchnia wspomnienia jest teraz podniszczona, miękka i pomarszczona od zbyt częstego korzystania. Czasami wydaje mi się, że słyszałam śmiech okultystki. Czasami wydaje mi się, że ją czułam, wodę kolońską Florida Water i jakąś wstrętną woń. Za to zawsze pamiętam to:

Jedna dłoń wysuwa się z ognistego kręgu, potem druga, napierając na drewnianą podłogę z widniejącą na niej plamą. Z zakrzywionymi palcami gotowymi do chwytu Astrid Washington podciąga się ponad krawędź lustra.

Najpierw głowa zwieńczona jasnymi, wyglądającymi na mokre włosami. Potem przebija się twarz, centymetr po bezlitosnym centymetrze. Oczy, które mogły być kiedyś brązowe, a które czas zmatowił na odcień potwornego złota, usta zbyt wydatne i czerwone jak ostrzeżenie. Teraz wystaje już do połowy klatki piersiowej. Dyszy pełna determinacji, a każde zaczerpnięcie powietrza wywołuje zmarszczki na zebranej na tafli krwi. Podciąga się jeszcze wyżej.

W tym momencie Fee rzuciła się naprzód, rozmazując butami sól. Gdy tylko przekroczyła linię, z krzykiem się cofnęła. Księżyc świecił tak jasno, że widziałam, jak poczerwieniała jej skóra. Marion musiała się piec w tym kręgu.

Stałam jak wrośnięta w ziemię, a tymczasem Fee wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła z niej zawiniątko z czarnego papieru. Wytrząsnęła z niego krzyżyk swojej matki.

Marion z błyszczącymi oczami obserwowała pojawianie się Astrid. Teraz podniosła wzrok.

– Nie! – zaskrzeczała.

Za późno, bo Fee cisnęła już złotym krzyżykiem w lustro.

Możliwe, że okultystka była silniejsza niż to, co się kryło w łańcuszku. Ale zaskoczyło ją to na tyle, że się puściła.

Upadła. Poniżej płomieni, poniżej tafli szkła. Jej ciało spadło, ale coś innego poszło do góry, jakieś gęste opary śliny lub duszy. Krzyż uderzył w lustro tuż po tym, jak jej palce przez nie przeszły, a szkło pękło, cztery perfekcyjne linie przechodzące w asterysk<sup>[3]</sup>.

Gdy płomień zgasł, pojawił się jakiś świszczący dźwięk. Pałący wiatr szarpał nasze włosy, piekielne gorąco ze słonego kręgu rozlewało się na resztę pomieszczenia. Coś zakłóciło księżycowe światło, rzucając na ściany szybko migoczące cienie, jakbyśmy biegły przez uschnięty las.

– Musimy to zakończyć – odezwała się Sharon głosem pełnym napięcia.  
– W nosie z zaklęciem, zaklęcie zostało przerwane, my musimy zakończyć czary. Weźmy się za ręce. Natychmiast.

Tak zrobiłyśmy, wzdrygając się, gdy dotknęłyśmy swoich parzących palców. Kiedy utworzyłyśmy krąg czworga, Sharon zaczęła recytować:

*Wiadro wrzuciłam do studni twej  
Ze studni je wyciągnęłam  
Krwia w podzięce i włosami na szczęście  
Okazę wdzięczność swoją.  
A gdy się spotkamy pod krwawym księżycem  
Albo na srebrnym brzegu  
Szatanowi podziękowanie potrójne złożę  
Nim poproszę o więcej.*

Puściła nasze dłonie, aby wyrwać sobie kilka włosów, które następnie wraz ze swoją krwawiącą dłonią przyłożyła do podłogi. Zrobiło mi się gorąco w głowę, gdy wyrwałam sobie włosy.

Nasze włosy i krew dołączyły do tego bałaganu na podłodze i wiatr ucichł. Wijące się cienie wycofały się, a temperatura obniżyła do takiej, jaka panuje na ogół na zwyczajnym poddaszu. Nasze bose stopy prześlizgnęły

się po deskach śliskich od soli, kredy, krwi i tego, co pozostało po króliku. Było po wszystkim.

Niebieskie, obojętne oczy Marion ożywiła wściekłość.

– Ty suko! – I rzuciła się na Fee.

Ale Fee i ja byłyśmy dwoma ciałami z jednym sercem i jednym bokserem z ośmioma kończynami. Jej tata nauczył nas zadawania ciosów, a mój nauczył nas nieczystej gry. Odciągnęłam Marion od mojej przyjaciółki za włosy. Wiła się jak kot, zatapiając zęby w moim ramieniu. Fee walnęła ją w brzuch, aby mnie puściła. Marion ponownie rzuciła się na nią, ja zaś uchwyciłam ją w tali, pociągnęłam na ziemię i przycisnęłam ramię do jej szyi, tak jak podpatrzyłam u taty, kiedy rozdzielał walczących na naszym osiedlu. Do tego czasu wola walki ją opuściła. Odsunęłam się i patrzyłam z odrazą i wstydem, jak zaczyna płakać.

– To była ona – wyrzuciła z siebie Marion. Głos miała gorzki od strzaskanej nadziei, twarz czerwoną i nagą. Gorąco panujące w kręgu spaliło jej brwi i rzęsy. – To była ona.

– Skłamałaś. – Fee siedziała wyprostowana jak struna, patrząc w lustro. Krzyżek jej matki wtopił się w szczeliny, plombując je złotem. – Okłamałaś nas.

– Wcale nie.

Fee aż się zarumieniły policzki.

– To było przywołanie! Wyciągałyśmy Astrid Washington skąd, z Piekła? Na rany Chrystusa, Marion!

Sharon poruszyła się. Naszą walkę obserwowała w milczeniu; teraz odepchnęła się od ściany.

– Skończyłyście? Bo mamy większe problemy.

Sharon była zdenerwowana. Trzęsącymi się palcami wyciągnęła zgniecioną paczkę czerwonych camel, po czym zaczęła szaleńczo obszukiwać kieszenie, aż w końcu Marion rzuciła jej swoją zapalniczkę.

– Złamałaś podstawową zasadę – oświadczyła Sharon. – Okłamałaś osoby, z którymi pracujesz. Zataiłaś pewne kluczowe informacje. Nie

wiem, jak ci się udało tego dokonać, jak daleko by to zaszło... – Urwała. – Ale przynajmniej była uwięziona. Dopóki ty – wskazała na Fee – nie wypuściłaś jej z kręgu.

– Hej – powiedziałam ostro. – Marion to zrobiła. Fee próbowała ją powstrzymać.

– To super. Magia rzeczywiście jak cholera przejmuje się tym, jaki się miało zamiar.

Miałam zawroty głowy, w skroniach bulgotało jak w czajniku.

– Ale tak zrobiła. Powstrzymała ją. A ty powstrzymałaś magię. Więc teraz co? Posprzątamy. Zakopimy królika.

– Jak to możliwe, że jeszcze żyjecie? – zapytała z pogardą Sharon. – Ona niczego nie powstrzymała. Przerwała krąg w trakcie przywoływania. Okej, ta koleżanka Marion nie jest ucieleśniona, ale nie siedzi też bezpiecznie w wiedźmowej Valhali. Wypuściliście ją. Rany, pewnie dobrze się bawi. A może jest tu teraz. Czekaając, aż znajdziemy kolejnego królika.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu miejsc, gdzie światło księżyca jest jakieś dziwne. Nie zobaczyłam ani nie wyczułam niczego podejrzanego.

Marion przestała pochlipywać. Pozbawione rzęs oczy miała szeroko otwarte.

– Chwileczkę. Twierdzisz, że się udało?

Sharon zmroziła ją wzrokiem. Następnie strzepnęła popiół z papierosa w twarz Marion, a ta wycofała się szybko, szorując tyłkiem po krwi.

– Mój błąd, że zgodziłam się pracować z uczennicami – mruknęła Sharon. – Jeśli umrę przez was, będę was straszyć w Piekło.

Zeszliśmy po drabinie, prześlizgnęliśmy się korytarzami, minęliśmy bawiące się na pikniku lisy. Miałam wrażenie, że cały rok minął, odkąd ujrzałam je po raz pierwszy. Byłam obolała, przerażona i spragniona niczym pustynny wędrowiec, tyle że stęskniłam się nie za wodą, lecz za niebem, ogrodem, światem poza tym koszmarem. Nie dotarło do mnie

jeszcze, że ten koszmar to my, że przywiera on do naszej skóry niczym mokry dzins.

W kolejnych latach przekonywałam się, że znowu tu jestem, odtwarzając naszą wędrówkę przez pogrążone w ciemności biblioteczne korytarze. Gdy szłam w środku nocy przez korytarz, mijając pokoje, w których spały moje dzieci, moja stopa unosiła się nad zwykłą, przedmiejską wykładziną i lądowała na naznaczonym zębem czasu parkiecie. Serce podchodziło mi do gardła, w krwi buzowało ostrzeżenie. Zamykałam oczy i stojąc w kompletnym bezruchu, czekałam, aż ten przeblysł z przeszłości minie.

Tutaj, teraz, z powrotem w ogrodzie. Marion zamknęła za nami drzwi i wsunęła klucz w szparę. Sharon wcześniej zajęła się tym bajzlem na poddaszu.

– Co teraz?

To na nią spojrzałam, zadając to pytanie. Była starsza, jej ciało naznaczała niedobra wiedza. Uznałam, że to ona nas ocali.

Wzruszyła ramionami, przeskakując kciukiem po kółeczku należącej do Marion zapalniczki.

– Nie wiem, co wy zamierzacie zrobić, ale ja muszę wracać do domu do mojego dziecka.

– Masz dziecko?

– Tak – odparła zwięźle. – Słuchajcie, przyjdzie jutro rano do sklepu, zaczniemy to naprawiać. A do tego czasu, no wiecie, nie dajcie się zabić.

Zniknęła w tunelu, pozostawiając naszą trójkę samą. Fee patrzącą na Marion, Marion patrzącą na ogród i przyciskającą opuszki palców do poparzonej skóry.

– Wpierdoliłaś nas na minę – powiedziałam do niej.

Drgnęła jej głowa.

– Okej.

Zrobiłam krok w jej stronę.

– Czy my w ogóle się kiedykolwiek przyjaźniłyśmy? Od zawsze planowałaś po prostu nas wykorzystać?

– Och, przestań. – Podniosła wzrok. – Gdybyście pozwoliły mi dokończyć, wszystkie dostałybyśmy to, czego pragniemy. Nie kłamałam. Ona zwiększyłaby naszą moc.

– Widziałaś już to zakłęcie. – W głosie Fee słychać było zimną pewność. – Zanim nas jeszcze poznałaś. To dlatego nas w to wciągnęłaś. Nienawidzisz nas, nie? Dlatego, że magia daje nam radość, a ty nadal jesteś kurewsko nieszczęśliwa.

Marion przez chwilę milczała.

– No cóż. Teraz nikt nie będzie szczęśliwy, co nie?

I poszła w ślad za Sharon.

Poszłyśmy do Fee. O tej porze nikogo w autobusie nie obchodziło, że jesteśmy zakrwawione. Wykąpałyśmy się, wypiłyśmy po whisky z 7 up i poszłyśmy na plażę Jarvis.

Jezioro miało taki sam kolor jak niebo. Rozebrałyśmy się i weszłyśmy do wody. Był sierpień, ale okazała się taka zimna, że miało się wrażenie, że pływa się w schłodzonym ginie. Chwytałyśmy głośno powietrze, oglądając się na surrealistyczne zakole miasta. Zdawało się, że poddasze i mroczne ostrzeżenia Sharon są za daleko, aby nas miały dotknąć.

Może wszystko się ułoży. Może to – whisky, godziny tuż przed świtem i potworne zimno wody – było równie skuteczne jak czar zakazujący wstępu. Magia zawsze była dla nas dobra, płynna pod naszymi palcami. Czemu teraz miałoby się to skończyć?

Gdy tylko przez głowę przemknęły mi te aroganckie myśli, obok mnie wypłynęła na powierzchnię jakaś ryba. Długa i śliska niczym węgorz, z groźnie wyglądającymi zębami i białymi oczami. Machnęłam rękami do tyłu, przelękając brudną wodę, i wtedy pojawiła się kolejna ryba. I jeszcze jedna.

Płynęłyśmy niezdarnie w stronę brzegu, otoczone rybami. Zaryłyśmy kolanami w piachu i wyczołgałyśmy się na brzeg, oglądając się na coraz



większe stado srebrnych ciał. Jakby Astrid zanurzyła jeden mglisty palec w wodzie i zamieszała.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY



Przedmieścia

*Teraz*

– Z TEJ STRONY SHARON. Zostawiłaś dla mnie wiadomość.

– Sharon. – Mózg mi terkotał, próbując namierzyć to imię. – Ach, Sharon. Cześć.

Cisza.

– Dzięki, że dzwonicz. Przepraszam. Po prostu... – Wzięłam się w garść, próbując choćby na chwilę pozbyć się obrazów przedstawiających jasnowłosą nieznajomą. – Jest naprawdę wcześniej.

– U mnie późno. – Jej słowa agresywnie się o siebie odbijały. – Czego chcesz?

– Wydaje mi się, że znałaś moją mamę. Danę Nowak. Z 'Twixt and 'Tween, sprzed lat. To był twój sklep, prawda?

– Nie rozmawiałam z Daną Nowak od ponad dwudziestu lat, skarbie. Nie mam ci nic do powiedzenia.

Była pijana. Próbowałam wyobrazić sobie nieznajomą przyklejoną do tego głosu, próbowałam wyobrazić sobie, co w tym telefonie kazało jej się wcześniej napić.

– Oddzwoniłaś. Skoro nie masz nic do powiedzenia, to po co zawracać sobie głowę?

Cisza.

– Chcę jedynie wiedzieć, jaka ona była – powiedziałam, nim zdążyła podjąć decyzję o rozłączeniu się. – Wszystko, co pamiętasz.

– Dana nie żyje – rzuciła, a moją głowę wypełnił biały szum.

Potem jednak domyśliłam się, że to nie stwierdzenie, lecz pytanie.

– Boże, nie, nie to... Czemu uznałaś, że może nie żyć?

– Niektórym rodzajom dziewczyn nie jest pisane długie życie.

Zasłoniłam dłonią oczy.

– Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

– A co wiesz? – spytała nieco mniej agresywnie, ale nadal nieufnie.

– Wiem, że oddzwoniłaś do mnie z jakiegoś powodu. I wiem... – Zawahałam się. Nawet w moim umyśle to słowo wydawało się niezgrabne. Stojąc sama na podjeździe, rozmawiając z nieznajomą, w końcu je wypowiedziałam: – Wiem, że jest czarownicą. I sądzę, że ty też możesz nią być.

– Robotnicą. – W tym słowie słychać było sarkazm. – Ale nie pracuję.

Usiadłam na betonie, a w głowie kłębiło mi się od pytań.

– Ale co to znaczy być czarownicą albo robotnicą? Co się potrafi? Uczy się tego? Rodzi się z tym?

Słyszałam, że się rozluźnia. Lubiała, gdy zadawano jej pytania, na które rzeczywiście chciała udzielić odpowiedzi.

– Niektóre robotnice mają predyspozycje, jasne. Ale więcej ma... inne rzeczy. Głód, ambicję, pewność siebie. Arogancję potrzebną do popatrzenia na rzeczywistość i oświadczenia: „Oto jak ja bym to zrobiła”. I chyba jestem właśnie taka. – Zaśmiała się. Był to niezdrowy dźwięk przypominający toczące się kamienie.

– A moja mama?

– Predyspozycje – odparła. – Arogancja też.

– Co potrafiła? Kiedy ją znałaś, to czy umiała... Myślisz, że potrafiła sprawić, aby ktoś coś zapomniał? Coś naprawdę ważnego?

Pauza.

– Czemu jej o to nie zapytasz? Skoro żyje?

Mój śmiech wręcz mnie bolał, a jego krawędzie naostrzyło potłuczone szkło i kości martwych królików.

– Trudno się z nią rozmawia.

– No jasne – powiedziała cierpko Sharon, po czym westchnęła. – Krótko się znałyśmy. Ucieszyłam się, kiedy zniknęła z mojego życia. Uważałam ją za twardą, lecz okazała się niesamowicie wrażliwa. Jej przyjaciółka Felicita była tą silną. O właśnie, jedno wiem o twojej mamie: to pies jednego właściciela. Nadal się trzyma z Felicita Guzman?

– Tak.

– Tak myślałam. Fee była dobrą dziewczyną, ale ona i twoja mama były w jednym pakiecie. Cóż, one i...

Urwała tak nagle, że sądziłam, iż upadł jej telefon, w tle jednak nadal słyszałam ten dźwięk przypominający ocean. Po chwili zrewidowałam swoje przypuszczenie: to był syk wiatru w koronach drzew. Wyobraziłam ją sobie, jak stoi na skraju jakiejś samotni.

– One i kto?

– One, Dana i Felicita, zgrany duet.

Powiedziała to w sposób wyjątkowo stanowczy. Nim odezwałam się ponownie, zrobiłam pauzę.

– Ta kobieta z Płatków i Prozy mówiła, że mama była jedną z twoich dziewczyn. „Jedna z dziewczyn Sharon”, tak powiedziała. Co to znaczy?

– Posłuchaj, nie lubię osoby, którą wtedy byłam – odparła z goryczą. – Są ludzie, których skrzywdziłam, tacy, którzy pewnie żałują, że w ogóle mnie poznali. Ale twoja mama nie była jedną z nich. Nie na dłuższą metę. Cholernie żałuję, że to ja poznałam ją. – Gdy mówiła, jej głos nabierał żarliwości. A na koniec pojawił się w nim jad.

Przełknęłam ślinę.

– Dlaczego?

– Ach – odparła cicho. – I tu dochodzimy do sedna. Ale skoro musisz o to pytać, nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Niebo jaśniało. Tam, gdzie znajdowała się Sharon, było nadal ciemne.

– Ktoś się kręci wokół naszego domu – powiedziałam. – Wchodzi, zostawia mojej mamie martwe króliki. Dlatego teraz siedzę tutaj i próbuję rozkminić co, u licha, mama zrobiła takiego, że zasłużyła sobie na takiego stalkera.

Cisza rozciągała się niczym łamane kołem ciało.

– Powiedziałaś „króliki”?

W głowie mi pulsowało.

– Ty wiesz. Wiesz, co to oznacza.

– Kiedy?

– Kiedy co?

– Króliki!

– Kilka ostatnich dni. Widziałam ją, osobę, która to zrobiła. Ma jasne włosy, jest młoda. Nie mam pojęcia, skąd mama ją w ogóle zna.

– Blondynka? Na oko osiemnastolatka?

– Tak mi się wydaje.

Sharon zafundowała mi wiązkę przekleństw, długą i jaskrawą niczym urodzinowa serpentyna.

– Czy ona... Och, słodki Jezu. – W jej głosie pulsowało tak wiele rzeczy. Przewrzenie i nadzieja, i coś w rodzaju nieskrywanego zdumienia. – Dowiedziałaś się, jak ma na imię?

– Niby jak?

– Jak ona wyglądała?

Wstałam na drżących nogach, odwróciłam się i omiotłam spojrzeniem drzewa, domy, okna z odbijającym się w nich niebem.

– Błada. Taka, jakby jej skóra w życiu nie widziała słońca. Włosy rozpuszczone, jasne oczy.

– Gdzie masz mamę? Gdzie jest w tej chwili Dana?

Dłonią trzymałam się za szyję, a każde słowo brzmiało coraz bardziej skrzekliwie.

– Nie wiem. Nie mogę się z nią skontaktować.

- Jesteś sama. Zostawiła cię samą. Wiesz przynajmniej, jak się ochronić?
- Masz na myśli samoobronę?

Zaskoczona cisza, a potem wydaje mi się, że Sharon odłożyła telefon. Słyszałam, jak coś mruczy w oddali.

– Okej – rzuciła, wróciwszy do telefonu. – Felicita Guzman, dawna przyjaciółka twojej mamy. Możesz się z nią skontaktować?

– Ciocia Fee jest teraz z moją mamą.

– Och, jakie to urocze – rzuciła pogardliwie. – Oto moja rada, skoro mama i ciocia Fee mają cię gdzieś: zamknij się w domu i siedź na tyłku, dopóki nie wróci mama. Miej przy sobie gaz pieprzowy, może scyzoryk, jeśli dzięki temu lepiej będziesz się czuła. I wiesz co, trzymaj się z dala od luster. Na wszelki wypadek. – Pauza. – Co nie znaczy, że to wystarczy.

– Kim ona jest? – Mój głos przesiąknięty był histerią. – Kolejną... robotnicą? Próbuje skrzywdzić mamę? Co się dzieje?

– Przykro mi, skarbie – odparła Sharon. – Naprawdę. Ale nie jestem dobrym człowiekiem i nie wiem, czy potrafię pomóc choćby sobie. Trzymaj się, mała. Muszę obejść moją posesję i sprawdzić, czy nie leżą gdzieś martwe króliki.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY



Miasto  
Wtedy

*OKULTYSTKA SIEDZI OBOK CIEBIE NA ZIELONEJ ŁAWCE, pod witrażem w kształcie róży wiatrów. W szybie widać dziewczynę z jabłkiem w jednej ręce, nożem w drugiej. Jej uśmiech jest głodny.*

*Okultystka także jest głodna. Za życia uwielbiała te soczyste jabłka z różową skórką, które rosły w jej ogrodzie, wywar z kości śliskich od szpiku i niemal surowe jajka. W tym swoim stanie półśmierci pragnie jeszcze kilku rzeczy.*

*To właśnie ci szepcze we śnie.*

*Praca nie została jeszcze zakończona, tak mówi. Dlaczego przestałaś? Dokończ to, co zaczęłaś, a dopóki tego nie zrobisz, będę do ciebie przemawiać o każdej porze, zawsze będziesz mnie słyszeć, będziesz widzieć moją rękę we wszystkich swoich poczynaniach, a moją twarz we własnej twarzy, a bicie mojego serca będzie się pokrywało z twoim, a...*

Usiadłam, ciężko dysząc, w ustach czułam krew i sól. Przesunęłam językiem po zębach, ale nie namierzyłam miejsca, które krwawi.

Fee siedziała na podłodze w otoczeniu otwartych książek.

– Zły sen?

Przycisnęłam dłoń do klatki piersiowej, tam, gdzie serce poruszało się z przedziwnym, podwójnym trzepotem.

– Nie pamiętam.

– Mam to samo.

– Czy czujesz... jak się czujesz?

– Mniej więcej tak dobrze, jak ty wyglądasz.

– Ha. – Przesunęłam dłoń z serca na głowę. – Ja się dziwnie czuję. Niemal tak, jakby... – Wyprostowałam się, próbując dosięgnąć tego uczucia, po czym szybko się położyłam. Każda część mnie mierzyła się ze skutkami czarów.

– Na stole – mruknęła Fee, przesuając palcem po kartce.

Stały na nim dwa kubki, herbata z octem i letnia kawa. Szybko wypiałam jedną, a drugą sączyłam małymi łykami.

– Znalazłaś coś obiecującego?

– Nie bardzo.

Zegar pokazywał ósmą sześć.

– Jedziemy do sklepu?

Spojrzała na mnie.

– Jak myślisz?

Uniosłam rękę. Nawet to sprawiało ból.

– Nie możemy ufać żadnej z nich, ale przynajmniej to wiemy. A we cztery mogłybyśmy to szybciej ogarnąć.

– Może. Może nie. Marion jest... Myślę, że Marion już nie ma, wiesz? – Zabrzmiało to tęsknie. – Tej osoby, którą wcześniej była.

– Nie wiem, czy w ogóle było „wcześniej”. Według mnie w ogóle jej nie znałyśmy.

– Nie wszystko było udawane – oświadczyła zdecydowanie Fee. – Ale teraz to nie ma znaczenia. Na tym etapie pożarłaby nasze serca, gdyby sądziła, że to uczyni ją silniejszą.

Dopadła mnie niewyraźna, trwająca ułamek sekundy wizja, w której kobieta zbliża do ust coś soczystego i ohydneho. Okultystka. Pojawiała się we śnie, którego nie potrafiłam sobie przypomnieć.

– Za to Sharon – kontynuowała Fee – nie wiedziała więcej niż my. Poza tym ona ma dziecko. Dobry powód, aby chcieć to szybko naprawić, nie?



– Tak mi się wydaje. – Kiedy zamrugałam, zobaczyłam ryby, pęknięte lustro, rozmazany krąg soli. Twarz okultystki. Zbyt wiele czasu zajęło mi dostrzeżenie, że Fee ociera łzy. – Hej – powiedziałam miękko.

– Wiem – odparła, unosząc rękę. – Ale gdybym nie przerwała tego kręgu...

– Przestań. Marion nie jest taka silna. I tak utraciłaby kontrolę. Przynajmniej tym sposobem ta okultystka nie chodzi na dwóch nogach. Robiąc Bóg wie co.

– Szatan wie co. Bóg na to nie patrzy. – Fee przycisnęła dwa palce do skroni. – Pierdolona Marion.

– Pierdolona Marion – powtórzyłam z zacięciem.

Fee pierwsza przeszła przez próg. I od razu się cofnęła, zasłaniając ręką usta. Przecisnęłam się obok niej, aby zobaczyć.

Na schodku leżał martwy królik. Łapy podwinięte, brzuch skierowany ku letniemu niebu. Wiedziałam, co to jest, dzięki tylnym łapom i ogonowi, bo głowy nie było.

– O Boże. – Fee wskazała palcem.

Głowa leżała kilka stopni niżej, tam, gdzie zaraz był już chodnik.

Kijkiem zgarnęłam szczątki na egzemplarz zeszłotygodniowego „Readera” i pobiegłam z nimi do kontenera na śmieci. W drodze na przystanek moje spojrzenie przyciągała każda martwa rzecz. Ptaki ze skręconymi karkami, pęknięta skorupka jaja rudzika. Truchło domowego kota, rozplaszczone przez przejeżdżające po nim samochody. Wszędzie były muchy. Moje trampki rozdeptywały pozostałości po padniętych w upale kwiatach.

Dotarliśmy do sklepu koło dziesiątej z kubkami białych od mleka, osłodzonych kaw z Dunkin’ Donuts. Z głośników ryczał Henry Rollins, a powietrze aż było gęste od nag champa<sup>[4]</sup>. Uczucie niepokoju, z jakim się obudziłam, tutaj jeszcze bardziej się wyostrzyło. Odbierałam zbyt wiele

informacji, zbyt wiele faktur, kolorów i dźwięków. Zabrało mnie to do tamtego pierwszego zaklęcia, do podróży przez lśniące miasto, za którym nadal tęskniłam i którego nigdy więcej nie zobaczę. W tej chwili miałam po prostu ochotę zwinąć się w kulkę i odciąć się od światła.

Przylapałam się na tym, że wpatruję się w kuferek na biżuterię wypełniony tanimi błyskotkami. Pierścionki nastroju, a ich kamienie w czerwono-czarnym odcieniu niepokoju. Rzemyski z zawieszkami yin i yang i paciulkami, i psychodelicznymi grzybkami, no i te srebrne pierścienie *claddagh* noszone przez olśniewające dziewczyny.

Fee położyła mi dłoń między łopatkami.

– Ja też to czuję.

– Hej. To na was czeka Sharon?

Dziewczyna za ladą – bluza z naszywkami z zespołami punkowymi, kolczyk w jednej jasnej brwi – spojrzała na nas przenikliwie. Kiwnęliśmy głową, ona zaś wskazała brodą na zaplecze.

Tam muzyka nie była już tak głośna, a drzwi otwierały się na boczną uliczkę. Pod jedną ze ścian stało łóżko polowe, niedaleko niego zabawkowy namiot, z którego wysypywały się koce. Przed namiotem siedział po turecku mały chłopiec w koszulce ze Spidermanem i czytał komiks. Włosy miał spięte w cienki kucyk, który kończył mu się między łopatkami.

– Dzień dobry – powiedziała Sharon, nie odwracając się.

Odgrzewała właśnie na płycie makaron w sosie pomidorowym z puszki. Posmakowała, po czym przełożyła danie do plastikowej miski, którą wręczyła chłopcu.

Fee przyglądała się temu nerwowo. Przypuszczalnie wyczuwała, jakie jedzenie potrzebne jest temu małemu. I raczej nie z puszki.

– Dzień dobry – odparłam, nim Fee zdążyła powiedzieć coś niezwiązanego z tematem. – Gdzie Marion?

Sharon usiadła przy miętowym stole.

– Marion to wasza koleżanka, myślałam, że przyjdzie z wami.

– Nie. – Rano dwa razy do niej dzwoniłyśmy i włączała się automatyczna sekretarka jej rodziców. – Coś wymyśliłaś?

– Od czasu, kiedy się widziałyśmy, wzięłam prysznic, przespałam się, a potem obudziłam z krzykiem. A cały ranek zajmuję się nim.

Chłopiec rzucił nam nieufne spojrzenie. Oczy miał tak samo intensywnie niebieskie jak jego matka.

– Cześć – odezwała się łagodnie Fee. – Jak masz na imię?

Przewrócił tymi ładnymi oczami i wrócił do swojego komiksu.

– Nie kłopotz się – rzuciła lekceważąco Sharon. – Nawet do mnie prawie się nie odzywa.

Mimo otwartych drzwi w pomieszczeniu panowała klaustrofobiczna atmosfera. Miałam ochotę stąd wyjść i nigdy więcej nie oglądać Sharon, nigdy więcej nie czuć tego beznadziejnego zapachu makaronu z puszki. Ale teraz byłyśmy na siebie skazane.

– No dobrze – powiedziała Fee po chwili milczenia. – No więc czytałam zaklęcia zsyłające. Mam parę pomysłów, od których możemy zacząć.

– Nie jestem pewna, czy takie książkowe zaklęcie zadziała. – Sharon splotła wytatuowane dłonie na brzuchu i przechyliła się na krześle tak, że tylko patrzyłam, czy się nie przewróci.

– Okej. A co może zadziałać?

– Do tego potrzebna nam Marion. Słaba z niej czarownica, ale tylko ona wie, co robimy.

Od strony drzwi dobiegł głos Marion:

– Słaba czarownica zgłasza się do pracy.

Wyglądała jeszcze gorzej niż ja. Workowata sukienka i chude jak patyki kończyny, do tego wielkie okulary przeciwsłoneczne, których jeszcze u niej nie widziałam.

– Wiem, co musimy zrobić – dodała.

– Czyżby? – Sharon pozwoliła, aby nóżki krzesła opadły na podłogę. – Co takiego?

Marion położyła swoją torbę na stole.

– Jeszcze raz rzucić zaklęcie. Ale teraz do końca.

– W życiu – zaprotestowałam. – Nie ma mowy.

– To jedyny sposób.

Zdjęła okulary, a w pomieszczeniu zrobiło się tak cicho, aż synek Sharon podniósł wzrok.

– Fuj! – rzucił. – Co jej się stało w twarz?

Wokół oczu Marion, na jej skroniach i na górnych częściach policzków widać było małe siniaki. Twarz była nimi usiana niczym kawałek zepsutego owocu.

– Astrid nie pozwoli mi zasnąć, dopóki tak się nie stanie – powiedziała tonem lunaticzki. – Szczypie mnie za każdym razem, kiedy próbuję. – Jej spojrzenie nabrało podejrzliwości. – Wam pozwoliła spać?

– Jak niemowlęciu – odparła Sharon. – Dopóki nie obudziłam się z krwią w uchu i martwym chomikiem mojego dzieciaka na poduszce.

– Co? – zapiszczał chłopiec. – Mówiłaś, że uciek!

Sharon zamknęła oczy.

– Och. Przepraszam, skarbie. Proszę, weź to. – Z kieszeni wyjęła zmięty banknot. – Idź na lody, okej? A potem do kina. Tylko zniknij na parę godzin. W przyszłym tygodniu kupimy ci nowe zwierzątko.

Wstał powoli, zostawiając książeczkę obok nietkniętego makaronu. Wyglądało, że jest zbyt mały na to, aby pójść gdzieś samemu, ale ja byłam mniej więcej w jego wieku, kiedy mój tata przestał mieć mnie zawsze na oku.

– Dzieci – mruknęła Sharon, kiedy wyrwał banknot z jej palców i wyszedł na słońce.

– Mściwe duchy – powiedziałam. – Wracając do kwestii najbardziej palącej. Zabiła ci chomika?

– Obcięła mu głowę. – Sharon wykonała ręką ruch gilotyny.

Marion opadła ciężko na krzesło.

– Myliłam się. W kwestii zaklęcia i tego, ile to będzie kosztować. Kryje się w tym więcej, niż zdawałam sobie sprawę.

– No coś ty? – powiedziała zjadliwie Sharon.

– Daj jej mówić – mruknęła Fee.

Marion wyjęła z torby księgę okultystki i położyła ją obok grubszej książki ze złotymi literami. *Howlett House: Historia*.

– W nocy przeczytałam raz jeszcze te wszystkie fragmenty o Astrid. Mnóstwo pomówień i opowieści starych żon, ale także konkretne informacje. Ona... – Pokręciła ostro głową, zaczęła jeszcze raz. – W Baltimore oskarżono ją o zabicie czterech mężczyzn. Zrobiła się z tego wielka afera, przypuszczalnie z powodu jej wyglądu. Dostawała propozycje małżeństwa, była kimś w rodzaju gwiazdy. Aż do ucieczki wypierała się tego. Ale jedna ze służących w Howlett House twierdziła, że podsłuchiwała, jak Astrid rozmawia o tych zabójstwach z Johnem Howllettem. Podobno Astrid mu powiedziała, że wykorzystała tych mężczyzn do przetestowania pewnej teorii: że istnieje sposób na pokonanie śmierci. – Marion pomasowała posiniaczoną skroń. Po drugiej stronie drzwi Black Flag przeszedł w My Bloody Valentine. – To jest wiadomość z drugiej ręki, słowa kobiety, która zarzekała się także, że Astrid nocą zmieniała się w białego kota i ujeżdżała szatana. Ale Astrid i Howlett niewątpliwie mieli obsesję na punkcie nieśmiertelności, a ta służąca twierdziła, że Astrid znalazła sposób na sprawienie, aby po jej śmierci jej duch pozostał nienaruszony. Nienaruszony i znajdujący się gdzieś blisko.

– I niedający spokoju? – Próbowałam wypowiedzieć te słowa zimnym tonem, ale skończyło się na szepcie.

– To coś jak zapora. – Nawet teraz w głosie Marion słychać było zachwyt. – Przystanek dla jej ducha między życiem a śmiercią, związany z samym domem. Znalazła sposób na to, aby „się zawiesić”, stworzyć miejsce, w którym mogłaby czekać, aż ktoś ją przywoła. Następnie ukryła zaklęcie tam, gdzie wiedziała, że zostanie odnalezione.

Słuchając, Sharon przeczesywała paznokciami włosy.

– Okej. Podsumujmy. Mamy do czynienia z martwą okultystką, która ileś tam ostatnich lat spędziła w magicznym odosobnieniu, tracąc swoje martwe zmysły, i która teraz będzie nas nawiedzać, dopóki nie damy jej tego, czego chce. A mianowicie, nie podejmiemy drugiej próby rzucenia zaklęcia, które dokona jej reanimacji. Czy to wszystko?

Marion zerwała się z krzesła i pchnęła drzwi do sklepu, gestem pokazując, abyśmy poszły za nią. Zatrzymała się tuż pod głośnikiem i przyciągnęła nas do siebie, po czym nakryła nasze głowy szkarłatną chustą.

Jej oddech był ciepły i kwaśny. Prawie nie słyszałam jej głosu.

– Wszystko, co powiedziałam, jest prawdą, ale nie w tym rzecz. Astrid jest tutaj. Ona nas słyszy.

Nasze włosy elektryzowały się w dotyku z bawełną. Wszystkie kiepsko wyglądałyśmy w tym czerwonym świetle.

– Musimy być teraz bardzo ostrożne – kontynuowała Marion. – Musimy zrobić dokładnie to, co powiem. Znowu odprawimy zaklęcie, które ją przywoła, ale tym razem zakończymy je wygnaniem.

– Myślisz, że ot tak ci zaufamy? – syknęłam.

Pożałowałam, że nie mam przy sobie nowego pensa, który ujęłabym kciukiem i lewym palcem serdecznym. Jeśli na miedzi pojawi się nalot, wiesz, że ktoś cię nabiera.

– Spójrzcie na mnie. – Zrobione przez Astrid ślady wyglądały na jej twarzy niczym ziarna czarnego ryżu. – Będzie mnie prześladować, dopóki tego nie załatwimy.

W tym momencie chusta została zerwana, a w ślad za nią pofrunęły iskry. Zawisła nad naszymi głowami, po czym opadła na podłogę.

Punkówa za kasą przyglądała się temu z uniesionymi rękami.

– Ja pierdolę.

– No to mamy to ustalone – powiedziała Marion, świdrując nas wzrokiem. – Odczynimy zaklęcie jeszcze raz.

Fee splótła palce z moimi. Uścisnęła. Usłyszałam to, czego nie powiedziała. Astrid słucha. Bądź ostrożna.

– No dobrze – powiedziałam chrapliwie.

– Dziś wieczorem? – zapytała Sharon. – Żeby mieć to z głowy?

– Dziś nie ma odpowiedniego księżycy – odparła rzeczowo Marion. – Przyszły piątek. Okej?

Za pięć dni. Pięć dni na znalezienie sposobu, który nie będzie wymagał zaufania Marion. Nie puszczając dłoni Fee, kiwnęłam głową.

Marion spojrzała w powietrze nad naszymi głowami.

– Słyszałaś? – zapytała. – Nie porzucimy cię, Astrid.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI



Przedmieścia

*Teraz*

POD WPLYWEM SŁÓW SHARON RAZ JESZCZE sprawdziłam zamki w drzwiach. Wiedziałam jednak, że to nie ma znaczenia. Ta dziewczyna prześladowająca moją mamę dwa razy dała tu radę wejść; dałaby radę i po raz trzeci.

Zbyt długo już nie spałam. W swoim łóżku, za zamkniętymi drzwiami obserwowałam, jak niebo zmienia kolor z fioletowego na przedburzową zieleń, a od gromadzącego się deszczu atmosfera puchnie niczym portfel. I w końcu pogoda się załamała. Pauza i skwierczenie, gorąco dające za wygraną. Zamknęłam oczy.

Kiedy spałam, burza załaziła łąki, połamała gałęzie i sprawiła, że wezbrały strumienie. Deszcz przeciekał przez szpary w oknach, a moje włosy były splątane przez palce wilgoci. Kiedy się obudziłam, miałam cudownie pusty umysł. A potem przypomniało mi się to wszystko, przed czym próbowałam uciec we śnie.

W gardle czułam drapanie mdłości. Wzięłam do ręki telefon, ale wyświetlacz okazał się pusty. Zostawiłam go na łóżku, wyszłam na korytarz i zamaszystym gestem otworzyłam drzwi do pokoju rodziców. Tak bardzo chciałam, aby tam była, śpiąca i bezpieczna, że przez chwilę nawet widziałam pod prześcieradłem jej kształt, twarz wtuloną w poduszkę. Ale złudzenie prysło. Nikogo tam nie było.

Była szesnasta trzydzieści i miałam wrażenie, że to koniec świata. Deszcz nadal padał, a w domu było ciemno, jakbyśmy znajdowali się pod



wodą. Zeszłam do kuchni i zjadłam płatki prosto z pudełka. Kiedy podeszłam do okna, zobaczyłam, że Billy biega między samochodem a domem, przenosząc torby z zakupami. T-shirt miał przyklejony do skóry, włosy ciemne od wody.

Wyszłam z domu, aby się z nim spotkać. Całe wcześniejsze wyładowania zniknęły, pozostawiając intensywny, a mimo to delikatny w dotyku deszcz. W połowie podjazdu byłam przemoczona do suchej nitki. Billy dostrzegł, że się zbliżam, i widziałam, że się zastanawia, czy nie czmychnąć do domu. Zatrzymał się jednak, zamknął drzwi auta i czekał na mnie. A ja nadal nie wiedziałam, co mu powiem. Deszcz syczał wokół nas, a świat miał odcień podwodnej zieleni.

– Zaczekaj – odezwałam się, kiedy odniosłam wrażenie, że zamierza coś powiedzieć. Jego oczy się rozszerzyły, gdy zrobiłam krok w jego stronę, zbyt blisko, i odchyliłam głowę, aby widzieć jego twarz. Nabrałam powietrza jak pływak i zaczęłam: – Odbyłam z tobą jedną rozmowę w swoim życiu. Wczoraj wieczorem. Znam cię, pamiętam, co się stało w gimnazjum. Ale wczoraj po raz pierwszy tak naprawdę rozmawialiśmy ze sobą.

Nic nie powiedział, tylko mi się przyglądał.

– Tyle że to nieprawda – powiedziałam cicho. – Teraz to wiem, ale przysięgam, że wczoraj nie wiedziałam. Sęk w tym, że nie wydaje mi się to nawet takie dziwne. Dlatego że przez te wszystkie lata ignorowałam uczucie, jakie mnie ogarnia na twój widok. To, jaki jesteś, w jaki sposób przemieszczasz się przez świat, to wszystko jest dla mnie takie znajome. – Spojrzałam na niego, na piegi, ciemne brwi i włosy odgarnięte do tyłu mokrymi falami. – Znam cię. Skąd cię znam?

Zrobił wdech. A potem objął mnie i mocno przytulił. Moja głowa wypełniła się miodem i wspierałam się na palce. Staliśmy tak w zielonkawym deszczu. Billy opuścił głowę, przyciskając usta do mojego ramienia. Poczułam, jak przez jego ciało przetacza się uczucie ulgi.

Uniósł głowę, tylko trochę, tak że jego usta znajdowały się obok mojego ucha.

– Kiedy cię pocałuję – szepnął – nie będzie to nasz pierwszy pocałunek. Musisz się dowiedzieć, zanim mi pozwolisz... muszę ci opowiedzieć o pierwszym razie.

Kiwnęłam głową.

– Pięć lat temu – zaczął, a głos lekko mu drżał – ja miałem lat jedenaście, a ty dwanaście. To było lato przed twoim pójściem do gimnazjum, a ja tak strasznie się martwiłem, że wszystko się zmieni. Zawsze byliśmy przyjaciółmi z sąsiedztwa, prawda? Letnimi przyjaciółmi, weekendowymi przyjaciółmi. A w gimnazjum organizowane są dyskoteki. I tak sobie myślałem, że znajdziesz sobie jakiegoś chłopaka pachnącego wodą z marketu i nigdy więcej nie będziesz ze mną rozmawiać.

– W życiu nie chciałam chłopaka pachnącego wodą z marketu – oświadczyłam, po czym oblałam się rumieńcem na myśl o Nacie. Aczkolwiek on był raczej chłopakiem pachnącym przecenioną francuską wodą.

Billy się zaśmiał.

– No więc postanowiłem, że to ja zostanę twoim chłopakiem. Tyle że nie miałem pojęcia, jak to zrobić. I przysięgam na Boga, że szukałem informacji na ten temat, w stylu „jak zostać czyimś chłopakiem” i „jak być kimś więcej niż przyjacielem”, no i czytałem te wszystkie artykuły, myśląc, że to nie może być tak i że donikąd mnie to nie zaprowadzi, bo mam jedenaście lat i nie odróżniam swojego tyłka od dziury w ziemi – to ostatnie według mojego taty, kiedy zrobiłem się na tyle zdesperowany, aby go o to zapytać. Tak na marginesie, nigdy nie pytaj Johna Paxtona o radę dotyczącą życia uczuciowego. No dobra, był koniec lata i słońce chyliło się ku zachodowi. Bawiliśmy się przy tej części strumienia, którą nazywaliśmy spodkiem, tam, gdzie po powodzi znaleźliśmy mnóstwo skrzeku, pamiętasz? – Ściągnął brwi. – Nie, chwila, nie pamiętasz. No więc staliśmy w wodzie do kostek, słońce już prawie zaszło, a ja tak bardzo chciałem cię pocałować. Ale wiedziałem, że próbując dosięgnąć twoich ust, będę wyglądał jak żółw. Wtedy ty cała zanurzyłaś się w wodzie, a kiedy się

wynurzyłaś, mnie także wciągnęłaś. A potem to ty pocałowałaś mnie. A ja wtedy przepadłem.

Widziałam to. Patrząc teraz na niego, przemokniętego od deszczu, oczami wyobraźni widziałam stojącego w strumieniu młodszego Billy'ego, który uśmiechał się do mnie.

– To był poniedziałek – kontynuował. – Tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego. Następnego dnia twoja mama musiała iść do szpitala, wyrostek, o ile dobrze pamiętam, i przez jakiś czas nie mogłaś się ze mną widywać. Zacząłem się martwić, że nie chcesz się ze mną spotykać. Przeszedłem do was w sobotę i twoja mama powiedziała, że nie możesz podejść do drzwi. W niedzielę próbowałem dwukrotnie. Za drugim razem...

Odchyliłam się, aby go widzieć. Jego twarz z tak bliska była niemal oślepiająca.

– Złamała ci serce.

– Powiedziała mi, że ty... nie mogę uwierzyć, że nadal tak trudno jest mi to powiedzieć. Powiedziała, że ze mnie wyrosłaś. Byłaś moją najlepszą przyjaciółką, odkąd skończyłem siedem lat. Przeżyłem z tobą swój pierwszy pocałunek. Myślałem, że jesteś moją pierwszą dziewczyną. A potem to wszystko się skończyło. – Skrzywił się. – Dlatego postanowiłem zrobić coś wielkiego.

– O nie. – Przyłożyłam dłoń do ust. – Kiedy poprosiłeś, abym była twoją dziewczyną... o nie. Na pewno uznałeś, że jestem okropna.

Billy nie zaprzeczył.

– Potem byłem zbyt wściekły i zażenowany, aby z tobą rozmawiać. W końcu jednak się z tym pogodziłem. Chyba. No i to by było tyle, aż do wczorajszego wieczoru. – Delikatnie odsunął moją dłoń od ust i z wahaniem splótł nasze palce. Jakby nie miał pewności, czy mu wolno. – Nic z tego nie pamiętasz?

Pokręciłam głową.

– Tak mi przykro. Moja matka cię okłamała, ja bym nigdy... to wszystko jej sprawka. Nie potrafię tego do końca wyjaśnić, wiem, że brzmi to jak coś niemożliwego, ale ona to zrobiła.

Billy zamrugał, a z rzęs kapnęły mu krople deszczu. Uniósł ręce i ujął moją twarz. Jego skóra była cieplejsza niż powietrze, nasze usta znajdowały się tak blisko siebie, że czułam wypowiedane przez niego słowa.

– O mój Boże – szepnął. – Powinienem się domyślić.

Uśmiechnęłam się do niego z konsternacją.

– Skąd mogłeś to niby wiedzieć?

– Ivy? Ivy, co się dzieje?

Głos mojego taty, nagły i dziwnie surowy. Na podjeździe stał jego samochód i tata właśnie zamykał drzwi. Zaczęłam odsuwać się od Billy'ego, on jednak ujął moją dłoń. Razem patrzyliśmy, jak mój ojciec szybko przechodzi przez ulicę.

– Tato. – Mój głos nie brzmiał pewnie. – Wcześniej wróciłeś.

Ubranie miał przemoczone, przytwierdzone do pasa bidony, które dostał ode mnie i Hanka, były zaparowane.

– Powinienem przyjechać wczoraj wieczorem. Mama nie wróciła, prawda?

– Jeszcze nie.

– Ach. Jak się masz, Billy?

Billy ścisnął moją dłoń tak, jakby to była kotwica. Twarz miał pozbawioną wyrazu.

– Dobrze, panie Chase.

Tata opuścił wzrok na nasze złączone dłonie. Nie wiedziałam, czy to przez deszcz na soczewkach wydaje się taki niespokojny.

– O czym rozmawialiście?

I wtedy serce podeszło mi do gardła. Bo on wiedział. On także maczał palce w tym, co zrobiła mama, abym zapomniała o Billym.

– Chodź do domu. – Z jego oczu nic nie dało się wyczytać. – Musimy porozmawiać. Teraz.

Z bólem w klatce piersiowej patrzyłam, jak szybko odchodzi. Kiedy spojrzałam na Billy'ego, na jego twarzy niemal malował się strach.

– Ivy – odezwał się. – Nie zapomnij o tym.

Kiwnęłam głową, nic jednak nie powiedziałam. To nie była obietnica, którą mogłam mu złożyć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI



Przedmieścia

*Teraz*

TAMTEGO POPOŁUDNIA PRACOWAŁAM. Zanurzając w oleju kosze, wydając resztę, żałując, że nie znam zaklęcia, dzięki któremu mój umysł by spał, a ciało spokojnie funkcjonowało.

Coś się ze mną działo. Byłam tego pewna. To nie skutki uboczne rzucania zaklęć ani kac czy pokłosie złych snów. To coś skrywało się w moim ciele, rozrastając się niczym wirus, rozgaszczając się pod moją skórą. Jak brzmiały słowa tamtego zaklęcia? Ponownie usłyszałam głos Marion, odczytującej obietnice okultystki. *Że nie umrę, lecz żyć będę w tobie.*

Spojrzałam na swoją dłoń leżącą na ladzie i wezbrało we mnie przerażenie, bo nie rozpoznałam jej jako własnej. Nie wiedziałam, co konkretnie może ona zrobić.

– Dana. Dana.

Jedna z pełnoetatowych pracownic smażalni, Lorna, pstrykała mi palcami przed twarzą. Nie mam pojęcia, jak jej się to udało z takimi paznokciami. Kiedy nadal się w nią wpatrywałam, klasnęła w dłonie.

– Idź. Do domu. Nie mogę patrzeć na tę twoją nieszczęśliwą twarz.

Miała pięćdziesiąt lat i była jedną z pierwszych osób, które tata zatrudnił przed laty. I tak właśnie się do mnie odzywała. Przed wyjściem poszłam się wysikać, umyć ręce i spryskać rozrzedzonym wybielaczem tę maleńką toaletę dla pracowników. Następnie zerknęłam w przytwierdzone do ściany niewielkie lustro i krzyknęłam.

Astrid tam była, patrzyła na mnie. Ładna twarz, ładne włosy lalki, bezkresne złote oczy. Wcisnęłam dłoń w kieszeń. Miałam tam wykałaczkę z brzeziny. Złamałam ją i wyplułam z siebie krótkie zaklęcie – pierwsza próba magii, którą podjęłam od tamtego przywoływania.

*Zniwecz roztrzaskaj*

*Zepsuj zatkaj*

Gdy ostatnia litera sfrunęła mi z języka, światło w łazience eksplodowało. Szkło obsypało mi w ciemności włosy, ale dźwięk pęknięcia był bardziej donośny, niż miałby dotyczyć samej żarówki. Pchnęłam drzwi i aż się wzdrygnęłam, kiedy dopadła mnie silna woń octu.

Cała podłoga była w szkle i zalewie. Zaklęcie, do którego się uciekłam – drobiazg, dobry do, powiedzmy, zamienienia drinka w ręce złego człowieka w odłamki szkła – przetoczyło się przez zaplecze, uderzając w półkę ze słoikami z przetworami. Podziękowałam bogom i świętym za plastikowe pojemniki na przyprawy. Wtedy zobaczyłam, że szyba w prowadzących na zaplecze drzwiach pękła.

Lorna gapiała się na mnie, kiedy wybiegłam za ladę, a jej cienkie brwi pofrunęły w stronę peruki w kolorze bordo.

– Co to było? Co zrobiłaś?

Zignorowawszy ją, rozejrzałam się po smażalni. Zaklęcie nie dotarło do szklanych drzwi wejściowych. Nikt nie krzyczał, nikt nie był czerwony od odłamków, nikt nie groził pozwem.

– Zostań tutaj – rzuciłam ostro.

Kiedy wróciłam do ubikacji, Astrid zdążyła już zniknąć. Lusterko pozostało nienaruszone. No jasne, wykonane było przecież ze stali nierdzewnej. To zaklęcie było jedynie spanikowaną pomyłką, które dziwacznie się rozeszło. Przypuszczalnie. Prawda?

Nim sięgnęłam po mop, zadzwoniłam do Fee.

– Nie próbuj żadnej magii – powiedziałam. – Nic nie rób, dopóki się u ciebie nie zjawię.

Przywoływanie zakończyłyśmy w połowie. Ale jeśli i tak się udało? Jeśli Astrid Washington, jakkolwiek niechętnie, podzieliła się z nami odrobiną swojej mocy?

Sprawdziłyśmy moją teorię, rzucając zaklęcie przeciwne do tamtego. Proste zaklęcie sklejące, biały воск wylany na połówki złamanego ołówka. Jeśli zrobi się to odpowiednio, воск zniknie niczym syrop w herbacie, skleiwszy ołówek.

W pokoju Fee pachniało tortem urodzinowym. Świecek zapachowe miały wiele przeznaczeń, a w sklepie Family Dollar znalazłyśmy tanio dużą paczkę waniliowych. Ja wypowiedziałam zaklęcie, a ona lała воск. Воск zniknął, połówki się połączyły, tworząc nudny ołówek nr 2.

Ale zaklęcie nie poprzestało na tym. Żółta otoczka ołówka także zniknęła, odsłaniając surowe drewno. To drewno zaczęło grubieć, pojawiła się kora i zapach cedru. Gałązka zadrżała, jakby na wspomnienie o wietrze, i chwilę później pokryła ją warstwa grzyba. A z niej wydostały się trzy żuki z matowymi pancerzykami, niczym małe lukrecjowe tic taki.

Fee zmiażdżyła je książką.

– Ja pierdolę – wyrzuciłam z siebie, trzymając się za serce.

– „Dokończ pracę – powiedziała dziwnym głosem – a dopóki tego nie zrobisz, ujrzysz moją dłoń we wszystkich swoich zaklęciach”.

– Co?

– To z mojego snu. Wisiało nade mną cały dzień, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć. Teraz jednak pamiętam. Pamiętam, że Astrid tak powiedziała.

Zamknęłam oczy, ponownie sięgając do swojego snu. Tym razem go dogoniłam.



*Dokończ to, co zaczęłaś, a do tego czasu będę mówić do ciebie o każdej porze dnia i nocy, ujrzysz moją dłoń we wszystkich swoich zakłęciach, a moją twarz w swojej twarzy, moje bicie serca ukryte w twoim, a moje...*

Głodny uśmiech, szklane jabłka.

– „Moje bicie serca ukryte w twoim” – powiedziałam.

Przycisnęłam dłoń do piersi Fee i poczułam takie samo dziwne trzepotanie jak u siebie.

Pięć dni do przywołania.

Godziny miały jak z bicza strzelił albo wlokły się niczym nie mający końca dzień. Unikałyśmy luster, tyle że Astrid i tak udawało się nas znaleźć: w zlewie w pracy, w oleistej powierzchni w kubku czarnej kawy. Jej palce zaciskały się na parze podczas brania prysznic i czyniły wodę zimną. Puszczaliśmy głośno muzykę, aby zagłuszyć jej muszlowe dźwięki. Krawędzie tego, co widziałam, spowite były mgłą, moje stopy deptały leżące na ziemi muchy.

I wszędzie martwe króliki. Na schodkach przeciwpożarowych za moim oknem, skulone w donicy z rozmarynem u Fee. Zakrwawiona królicza łapka wepchnięta do mojego converse'a, którą zgmiotłam bosą stopą, kiedy włożyłam trampki bez patrzenia.

Nie mogłyśmy spać, nie ośmielałyśmy się rzucać zakłęb, za to każdą wolną chwilę poświęcałyśmy na szukanie sposobu innego niż to, co zaproponowała Marion. Fee przeczesywała swoje książki, a ja odwiedzałam każdego, kto mi przychodził do głowy, wszystkich praktykujących i ludzi magii, którzy mogli ze mną porozmawiać.

Zaczęłam od jasnowidza na Clark Street, który niemal złamał mi palce, zatrzasnął drzwi przed nosem.

– Nad tobą wisi ciemność! – zawołał przez nie, a jego słowom towarzyszył odgłos zasuw.

– Jak myślisz, dlaczego tu przyszedłam? – odkrzyknęłam, waląc pięścią w drzwi.

Wprosiłam się na show Cramps w Metro, bo chciałam pogadać z Linh, dziewczyną, która stała tam za barem. Miała powiązania ze zmarłymi i w ramach działalności dodatkowej pomagała bliskim osoby niedawno zmarłej znaleźć rzeczy, które ta osoba pozostawiła ukryte – obrączki, testamenty, kluczyki od samochodu. Skoro wiedziała, w jaki sposób otworzyć swój umysł na zmarłych, może potrafiłaby mi pomóc zamknąć mój. Jeszcze zanim mnie zobaczyła, jej twarz się wykrzywiła i Linh rozejrzała się, jakby próbowała namierzyć źródło wycieku gazu.

– To emanuje z ciebie? – zapytała, kiedy podeszłam do baru. – Oj, mała, kiepsko wyglądasz. Co się stało?

– Długa i niedobra historia. – Położyłam na barze banknot. – Jakies rady, jak sprawić, aby duch przestał się do ciebie odzywać?

Linh poruszała głową, jakby to było pokrętko w radiu.

– Nie bardzo. To znaczy... yyy. – Przyciągnęła do siebie brodę jak zółw. – To jest jak wybielacz wlewany do moich uszu. Moich drugich uszu. Nie, nie ma mowy. – Strzepnęła moją dwudziestkę z baru. – Schowaj te pieniądze. I trzymaj się ode mnie z daleka, dopóki tego nie ogarniesz.

To była środa wieczór. Zostało czterdzieści osiem godzin.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY



Przedmieścia

*Teraz*

CAŁA PRZEMOCZONA WESZŁAM DO DOMU. Na blacie w kuchni zauważyłam puszkę gazowanego napoju i butelkę wódki. Tata opierał się o zlew i w ręce trzymał plastikową szklankę. Twarz miał tak pełną napięcia, że wyglądał jak ktoś nieznamy.

– Co się dzieje z tobą i Billym?

Nie podeszłam do niego, zachowując maksymalnie dużą odległość.

– Dlaczego o to pytasz?

– Odpowiedz.

– Nie – odparłam. – To ty odpowiedz mnie. Co ty i mama ukrywacie przede mną?

Spojrzał na mnie i przechylił głowę.

– O czym ty mówisz?

Słyszałam, jak naprawdę brzmi pytanie: „Co ty wiesz?”.

– Znalazłam sejf – odparłam zuchwało. – Powinieneś lepiej chować hasła.

Mój ojciec przeszedł przez kuchnię dwoma drapieżnymi krokami, a jego postawa tak się zmieniła, że aż się cofnęłam pod ścianę. Zobaczył to i znieruchomiał.

– Otworzyłaś go? – Głos miał napięty, lecz spokojny.

Kiwnęłam głową.

– I wiesz, co znalazłam? Rzeczy, które należały do mnie.

Zamrugnął. A potem powoli wypuścił powietrze.

– Pudełko po cygarach – powiedział nieco drżącym głosem. – No tak. Tak. Możemy o tym porozmawiać. Ale najpierw muszę się dowiedzieć, dlaczego tam myszkowałaś.

– Mam lepsze pytanie. Gdzie ona jest, tato? – Głos mi się załamał. – Gdzie, u diabła, jest mama?

Jego jabłko Adama uniosło się i opadło.

– Nie wiem.

– To nie jest w porządku. – W moim głosie słychać było przekonanie. – To, jaka ona jest, to, że tak zniknęła, to nie jest normalne.

– Nie zakręcaj się tak na punkcie normalności. Każdy tworzy własną normalność.

– My nie mamy pierdolonej normalności! – Mój głos wzniósł się aż do pisku, a każdy wdech był ostry jak szpilka. Tata chciał mnie objąć, lecz strąciłam jego rękę. – Tato, ja jej potrzebuję. – Te słowa paliły moje gardło. Nie zamierzałam ich wypowiadać. – Mam serdecznie dość udawania, że jej nie potrzebuję.

– Ja też jej potrzebuję – powiedział spokojnie. – Ale ona może nam dać tylko tyle, ile może.

– To jest nieakceptowalne. I takie popieprzone.

W jego oczach rozbłysły łzy, ale głos się nie zmienił.

– Twoja mama to wyjątkowa osoba. Ma nietypowe granice. To coś, co ma swoje źródło w czasach sprzed ciebie. Nie ma żadnego związku z tobą.

– Nietypowe granice? Tato, proszę cię. Ona jest czarownicą.

Zasłonił dłonią oczy. Kiedy ją zabrał, wyglądał starzej.

– O mój Boże. – Odsunęłam się. – Cholera.

Nawet po tym wszystkim chyba nadal wierzyłam w to, że zaprzeczy.

– Zamierzała ci powiedzieć.

Zaśmiałam się.

– Jasne.

Przysunął się i tym razem pozwoliłam mu się przytulić. Ręce opuściłam wzdłuż tułowia, ale policzkiem przywarłam do jego T-shirtu.

– Martwię się o nią – szepnęłam.

– Wiem, kochanie. Ja też się martwię. Ale zapewniam cię, że potrafi się o siebie zatroszczyć.

– A co z nami? – Odsunęłam się, aby na niego spojrzeć. – Ktoś kręci się wokół domu, szukając jej. Bawiąc się z nią. Widziałeś królika. A one... – Na widok jego miny zawahałam się. – A jeśli ten ktoś się włamał?

– A jeśli? – Całe ciche współczucie wyparowało. – Co ty opowiadasz? Ktoś był w domu?

Zaraził mnie swoim niepokojem.

– Nie w domu. Obok. Taka dziewczyna, mniej więcej w moim wieku. Jasne włosy, niemal białe.

– W twoim wieku? – rzekł jakby do siebie. – Może ktoś, kogo zwolniła ze sklepu?

– Wątpię, aby chodziło o to – odparłam. – To ta sama osoba, która...

Urwałam, przypomniawszy sobie, że nie powiedziałam mu o dziewczynie, którą widziałam tej nocy, kiedy Nate zjechał z drogi.

– Ta sama osoba? Która co?

– Która zostawiła królika. – Chwyciłam go za rękę. – Mama ma kłopoty, tato. Wiem, że tak jest.

Uścisnął mi dłoń.

– Och, kochanie – powiedział bezradnie.

Widziałam, że dokonuje własnych kalkulacji, próbuje ukryć własne lęki.

– Powiedziała ci cokolwiek, zanim wyjechała?

– Że musi się czymś zająć. Tylko tyle. – Przez jego twarz przemknął cień wściekłości. – Gdybym wiedział, że nie wróci wczoraj domu, nigdy nie zostawiłbym ciebie i twojego brata samych.

– Co mamy zrobić? Po prostu na nią czekać?

– Pozostajemy tutaj, razem, i staramy się jej ufać. Wierzyć, że rzeczywiście się tym zajmuje.

– Ufać jej – rzekłam z goryczą i puściłam jego rękę. – Wiem o Billym, okej? Wiem, że zrobiła coś, abym o nim zapomniała.

Wyraz jego twarzy był nie do zniesienia. Jeśli do tej pory nie miałam pewności w kwestii tego, co wie, teraz to się zmieniło.

– Dlaczego, tato? Dlaczego mi to zrobiliście?

Jego spojrzenie krążyło wokół mojej twarzy. Odziedziczyłam po nim kolor oczu, ale nie ich łagodność. We mnie i Hanku było tak mało niego, że za każdym razem, kiedy wchodziliśmy do pokoju, musiał widzieć mamę.

– Mamy wiele do omówienia – rzekł w końcu. – Ale obiecałem twojej mamie, że ta rozmowa nie odbędzie się bez niej.

– Jaka rozmowa? – zapytałam ostro.

– Dopiero, jak ona wróci.

– Nie zrobisz wyjątku? Takiego, no wiesz, pod tytułem „wokół domu kręci się stalker, mama uciekła”?

– Nie – odparł z zaskakującą gwałtownością. – To musi wyjść od niej. To ona jest ci winna te słowa.

Nagle nie byłam już taka pewna tego, że jestem gotowa, aby się wszystkiego dowiedzieć. Musiał dostrzec moje wahanie, bo chwycił mnie za ramię.

– Hej. Spójrz na mnie. Nie każę ci się odczepić – oświadczył stanowczo. – Jestem z ciebie dumny. Z tego, że zadajesz te pytania.

Strząsnęłam jego dłoń.

– No to mam jeszcze jedno, tato. Dlaczego się z nią ożeniłeś?

– Ivy.

– To znaczy, wiem, dlaczego się z nią ożeniłeś. Z powodu Hanka. Ale dlaczego pozostaliście małżeństwem?

– Dlatego, że ją kocham – odparł z powagą. – Jest moją żoną. Mamy dwoje wspaniałych dzieci, mamy wspólny dom. Mamy historię, która

zaczęła się na długo przed twoim przyjściem na świat.

– Tobie to wystarcza?! – wyrzuciłam z siebie. – Czy rozmawiacie w ogóle ze sobą? Rozmawialiście? Nie masz dość bycia okłamywanym? Albo tego, jak twoja żona cię nie zauważa?

Tata był człowiekiem spokojnym, ale do czasu.

– Pora, abyś przestała mówić o tym, czego nie rozumiesz – syknął przez zaciśnięte zęby. – To twoja matka. Rozumiesz? Masz teraz siedemnaście lat. Ona w tym czasie była już sierotą. W wieku dwudziestu lat została matką. Nie miała luksusu dzieciństwa, rodziców wypychających ją na studia, pilnujących tego, o której kładzie się spać. Pracowała, odkąd skończyła dziesięć lat. Dziesięć! Są sprawy, o które powinnaś pytać, i informacje, które ci się należą, ale nie te, które dotyczą mojego małżeństwa. Chryste, Ivy. Musisz wiedzieć, kiedy odpuścić.

Ze spuszczonego wzrokiem i najciszej jak potrafiłam, wybiegłam z kuchni.

– Ivy. Ivy, wracaj tutaj.

Zignorowałam go, wbiegając po schodach.

– Masz nie opuszczać tego domu! – zawołał za mną.

Rozplakałam się dopiero wtedy, gdy zatrzasnęłam za sobą drzwi mojego pokoju.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY



Miasto

*Wtedy*

SIEDZIAŁAM PRZYGARBIONA NA PLASTIKOWYM KRZEŚLE W POCIĄGU. Miałam wrażenie, że moja skóra jest cienka i chitynowa jak motyle skrzydła. To był czwartkowy ranek. Czas prawie nam się już skończył.

Godzinę temu chciałam nasypać do miski płatki zbożowe i z pudełka wypadł martwy królik z mocno zaciśniętymi membranowymi powiekami. Jeśli udało mi się już zasnąć, dręczyły mnie sny, w których spadam, co oznaczało, że co rusz budziłam się spanikowana, a ciało odbijało się od materaca. Moje bicia serca klikały o siebie niczym bile.

Wysiadłam z pociągu w Halsted, a woń mojej skóry zintensyfikowało unoszące się nad torami gorąco. Zwinęłam włosy w węzeł i wcisnęłam pod czapkę z daszkiem.

Fee przedstawiła mnie jakiś czas temu starszemu panu, który miał stoisko na targu na Maxwell Street. Pan Lazar sprzedawał tyle pozbawionych wartości rupieci, że trzeba było mieć naprawdę wyczulone oko, aby zauważyć, co naprawdę sprzedaje, po zawyżonych cenach, ale na pewno nie było to nic bezwartościowego. Kiedy do niego dotarłam, siedział na wyblakłym od słońca składanym krześle i rozwiązywał krzyżówkę.

Spojrzał na mnie ponad okularami.

– Dzisiaj sama przyjechałaś? Gdzie ta pięknota?

Niewykluczone, że będzie mógł mi pomóc, dlatego ugryzłam się w język.

– Fee jest zajęta.



– Dzisiaj nie ma oglądania. Jeśli nie zamierzasz nic kupić, idź pomęczyć Andy'ego. On nie ma nic, za co warto wybulić kasę.

Facet przy sąsiednim stoliku pokazał mu środkowy palec.

– Zamierzam kupić – odparłam – jeśli tylko ma pan to, czego potrzebuję.

W oczach Lazara pojawiło się zainteresowanie.

– Rozumiem. Zapraszam do mojego gabinetu.

Na jego stanowisku leżał wytarty dywan, równie brudny jak ziemia pod nim, wystający jakiś metr poza krawędzie stolika. Stałam na nim i świat wokół nas stał się niewyraźny. Mogliśmy rozmawiać teraz na osobności, zaledwie kilka metrów od kupujących i przechodniów, którzy nie rozumieli tego, co mówimy. Liczyłam, że to samo dotyczy kręcących się w pobliżu duchów.

– Jesteśmy nawiedzane – powiedziałam. – Fatalne przywołanie, duch, który nie chce odejść. Nie ufam osobie, która twierdzi, że potrafi go odesłać. Chcę się przekonać, czy istnieje jakiś inny sposób.

Lazar przyglądał mi się tak, jakbym była trudnym hasłem w krzyżówce. Następnie wstał i powłócząc nogami, poszedł na sam koniec swojego stanowiska.

– Tak myślałem, że wrócisz. – Jego algierski akcent wygładziły lata spędzone w tym mieście. – Od razu, gdy cię poznałem, wiedziałem, że mam coś, co należy do ciebie.

Spomiędzy sterty starych gazet i czegoś, co przypominało gramofon, wyjął czarną walizkę. Wyglądała jak walizka magika. Lazar postawił ją sobie na kolanach i otworzył, prezentując kolejną, mniejszą walizkę. I tak to się przez chwilę ciągnęło. Nie potrafiłam stwierdzić, czy to całe matrioszkowanie jest czystym show czy też czymś prawdziwym, dopóki ku światłu nie uniósł siódmego pudełka.

Czymś prawdziwym.

Było to nie większe od kanapki i wykonane z czegoś, co wyglądało na czyste złoto. Miałam w kieszeni zaskórniaki mojego taty, odkładane w jednym z miejsc na czarną godzinę, te, o których najdłużej wiedziałam

i o których on przypuszczalnie zapomniał. Ale jeśli to pudełko było wykonane z prawdziwego złota, w życiu nie będzie mnie na nie stać.

Na tę myśl zaschło mi w gardle. Pragnęłam go. I to tak bardzo, że pewnie to pragnienie stanowiło część jego działania.

Odchrząknęłam.

– Co to takiego?

Zapukał delikatnie w wierzch pudełka. A może spód? To coś nie miało widocznego wieka.

– Ma bardzo długą nazwę. Ja je nazywam pudełkiem zapomnienia.

– Pudełkiem zapomnienia? – zapytałam sceptycznie, licząc, że to obniży jego cenę. – Nie brzmi jak coś, czego szukam.

– Nie chodzi o to, czego szukasz, ale o to, czego potrzebujesz. Jutro albo za rok, albo za lat pięćdziesiąt. Znasz mnie, jestem jak swatka.

Tak naprawdę, wcale go nie znałam, ale Fee tak właśnie twierdziła. Dowiedziała się o Lazarze od *curandery*<sup>[5]</sup>, której sprzedał białą koronkę. Kobieta ta wykorzystała koronkę do ozdoby dwóch szatek do chrztu, co zrobiła w sekrecie tuż przed tym, jak jej córka się dowiedziała, że po latach zmagania z niepłodnością jest w ciąży z bliźniakami. Wątpiłam jednak, aby wszystkie historie o nim były równie urocze.

– Teraz mam problem – oświadczyłam mu, nie odrywając wzroku od pudełka. – Nie za rok ani pięćdziesiąt lat.

– To akurat jest przypieczętowane. Nie ma nic, co mogę sprzedać, co by to zmieniło. Mogę ci jedynie powiedzieć tyle, że pewnego dnia będzie ci potrzebne to.

Przekonałam się, że moje palce wędrują w stronę pudełka.

– Po co ono jest?

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Te rude włosy i pomyślałem, że Irlandka. Ale ty jesteś Polką?

– Jedno i drugie. – Ściągnęłam brwi. – Skąd to wiesz?

– Mówiłem ci, że jestem jak swatka. To pudełko zapomnienia jest z Polski. Tak jak ty. – Uśmiechnął się drwiąco. – A co, myślałaś, że sprzedałbym irlandzkiej Polce *juju*<sup>[6]</sup>? Fiolkę krwi Kvasira<sup>[7]</sup>? Nie. Wy, dzieci, lubicie pływać w wodach innych ludzi, ale nigdy nie zapuszczacie się zbyt głęboko. A w wodzie kryją się rzeczy, które was dopadną, jeśli tak zrobicie. Krew jest gęstsza. Trzymaj się magii, którą masz w swojej krwi.

Czułam, jak jego słowa zanurzają się we mnie, tam, gdzie wcale nie chciałam, aby trafiły. Pomyślałam o naszej trójce rzucającej zaklęcia z księgi czarów martwej okultystki, kobiety, o której wolałam wcale nie myśleć. Jakby każde zaklęcie było świeżo spreparowane, pozbawione odcisków palców czy historii.

Obserwujący mnie Lazar uśmiechnął się lekko.

– No dobrze. Pudełko. Jest pewne polskie podanie ludowe, które chodzi pod kilkoma tytułami. *Agnes i samotny książę*, *Mała chatka w lesie*. Dziewczyna zakochuje się w księciu, ale zazdrosna wróżka kradnie jego wspomnienia i ukrywa w złotym pudełku. Dziewczyna zadaje sobie wiele trudu, aby odnaleźć je i otworzyć, tak by ukochany ją sobie przypomniał.

– I twierdzisz, że to pudełko z tej bajki?

Przechylił głowę.

Niemal potrafiłam w to uwierzyć. A może jedynie windował cenę.

– Czemu miałabym to w ogóle chcieć?

Lazar w ten irytujący francuski sposób zasznurował usta.

– Mam to wiedzieć?

– Ile? – w końcu zadałam to pytanie.

Mężczyzna parsknął.

– Ile to jest warte? Więcej niż masz. Za ile ci to oddam? To zupełnie inne pytanie.

Wyjęłam zwitek banknotów.

– Tyle mam. Nie wiem nawet, czy chcę tę rzecz.

– Tak czy inaczej jest twoja. Myślisz, że cieszę się, że coś tak wartościowego należy do dziewczynki, która nawet nie myje włosów? Nie. Chciałbym, aby to był skarb jakiegoś bogacza. Och, no cóż. – Wyjął z mojego pliku dziesięć dwudziestek. Przyjrzał się dwóm pozostałym i wziął jeszcze jedną. – Dziewczyna nie powinna chodzić z pustymi kieszeniami. To i tak za mało, ale zawrzyjmy umowę: jeśli powiesz piękności, aby przywiozła mi jeszcze kilka buteleczek tego czegoś na żołądek, będziemy kwita.

– Ona ma imię. – Potarłam czoło. – Mów na nią Felicita, dobrze? I nie wiem, co masz na myśli przez coś na żołądek.

– Ona jest zielarką, ta twoja przyjaciółka. I to dobrą. Moja żona jest poddawana chemioterapii i nic innego nie sprawdza się tak dobrze na mdłości. Biorę teraz twoje pieniądze, a Felicita przywiezie mi pięć dużych butelek tego czegoś. Mamy *deal*?

Nadal się wahałam, próbując sobie wyobrazić, na co mi to pudełko. Jak bym się czuła, będąc w posiadaniu takiej samospełniającej się przepowiedni, pustego miejsca, gdzie pewnego dnia zamieszkają skradzione wspomnienia? Ale czyje? Mojego ojca? Moje? Kogoś, kogo jeszcze nawet nie znam?

To nie miało znaczenia. Bez względu na to, czy chodziło o siłę sugestii, prawdziwe czary czy krążącą w moich żyłach polską krew mojego taty, pragnęłam tego pudełka. Ono miało się stać moje. I w tej akurat chwili pociechę przynosiła mi myśl, że w ogóle czeka mnie jakaś przyszłość.

– Okej – rzekłam do pana Lazara. – Jeśli wyjaśnienie mi, jak to działa, jest częścią ceny, w takim razie zgoda.

Opowiedziałam Fee o moich odwiedzinach u Lazara. Kiedy pokazałam jej pudełko, rzekła jedynie:

– Hmm.

– Co to znaczy „hmm”?

Delikatnie położyła dłoń na jego górze. Albo spodzie, nieważne. To nie miało znaczenia, wiedziałam, jak je otworzyć, kiedy nadejdzie właściwy czas.

– Zastanawiam się, czy on ma rację. Patrzę na to i nic nie czuję. Jest ładne, ale w sumie nie wiedziałabym nawet, że to magia. A ty co czujesz?

Wzięłam od niej pudełko i przytrzymałam je w obu dłoniach. Metal miał tę samą temperaturę, co moje ciało, a fakturę tak delikatnie szorstkowaną, że wydawało mi się, że dotykam futra.

– Budzi we mnie głód – powiedziałam. – Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała go użyć. Na tę myśl czuję wielki strach. Ale nie mogłam go nie wziąć. Samo jego trzymanie budzi we mnie głód.

– W sumie podobnie czuję się w ogrodzie – stwierdziła. A potem dodała: – Babcia mojej matki była *yerbera*<sup>[8]</sup>. Tata niedawno mi powiedział. No i tak sobie myślę, że kiedy załatwimy te wszystkie sprawy z Marion, chcę się stać lepsza. Chcę używać magii, aby pomagać, wiesz? Koniec z egoistycznymi bzdurami. W Pilsen jest pewna kobieta, o której wiem, że jeśli poproszę, weźmie mnie na uczennicę. Kiedy skończę szkołę, a może i wcześniej. Myślę, że Lazar ma rację. O tym, że ma się większą moc, jeśli pracuje się z tym, co ma się we krwi.

– Wow. Super. To... będziesz fantastyczna. – Przygryzłam wnętrze policzka. – Tyle że będzie mi ciebie brakować. Będzie mi brakować pracy z tobą.

W każdym innych okolicznościach Fee przypomniałaby mi, że jesteśmy siostrami. Teraz westchnęła.

– Przeżyjmy po prostu jutro, okej? Miejmy to za sobą.

– Myślisz, że potem będzie już koniec?

– Nie bardzo – odparła. – A ty?

Przycisnęłam złote pudełko do piersi. Wyczuwałam w nim delikatne wibracje, jakby kot uruchomił swoje mruczenie na najniższym biegu. Dzięki temu poczułam się odważniejsza w stosunku do cieni

gromadzących się w górnych kątach pokoju Fee, które gdy tylko zgasimy światło, zamieniają się w wiatr i szepty.

– Osobiście uważam, że mamy przesrane.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY



Przedmieścia

*Teraz*

KIEDY ZAMKNEŁAM OCZY, CZUŁAM TO, tak jak wtedy, kiedy wspomina się jazdę rollercoasterem. Ramię Billy'ego przyciągające mnie do siebie i cały ciepły, podwodny świat.

*Kiedy cię pocałuję, nie będzie to nasz pierwszy pocałunek.*

Otworzyłam oczy i z hukiem wróciła cała reszta.

Wczesnym wieczorem wyjrzałam z pokoju. W domu panowała taka cisza, że aż się przeraziłam, że tata gdzieś wybył. Wtedy usłyszałam, jak coś mówi za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju. Serce mi przyspieszyło, potem jednak dotarło do mnie, że dodzwonił się do otchłani poczty głosowej.

– Gdzie jesteś? – Błagalna nutka w jego głosie sprawiła, że zrobiło mi się zimno. – Potrzebuję cię. Twoja córka cię potrzebuje. Mieliśmy umowę, do diaska, i ja jej dotrzymałem. Teraz twoja kolej. Przysięgam, na Boga, że jeśli zostawisz mnie z tym samego...

Nachyliłam się ku tej ciszy, która nastąpiła po jego groźbie, po czym wzdrygnęłam się, kiedy usłyszałam, jak jego pięść zderza się z drewnem. Cztery głośnie uderzenia, potem cisza.

Wtedy przestałam się złościć na tatę. Winna była tylko jedna osoba, a nawet on nie mógł jej namierzyć.

Wycofałam się do swojego pokoju. Przewijałam wiadomości od Aminy, zastanawiając się, co ja mam jej, u licha, odpisać – ostatnia sprzed godziny:

Albo tata zabrał ci telefon albo nie żyjesz – kiedy usłyszałam, że drzwi pokoju rodziców otwierają się i uderzają w ścianę.

Wyprostowałam się. Tata szybkim krokiem przeszedł przez korytarz, a mnie serce podeszło do gardła. Kiedy otworzył gwałtownie moje drzwi, zobaczyłam od razu, że nie jest zły. Był przerażony.

– Gdzie pudełko? – zapytał.

– Pudełko?

– To, które zabrałaś z sejfów. – Zbyt szybko oddychał. – Daj mi je.

Sięgnęłam pod łóżko, bo tam właśnie schowałam pudełko po cygarach. Wyciągnęłam je w jego stronę.

– Jezu Chryste, Ivy, nie to! Chodzi mi o to złote pudełko!

– Złote... – Pokręciłam głową. – Zostawiłam je w sejfie. Nie wiedziałam nawet, że to pudełko. Co w nim było?

Trzymał coś w zaciśniętej dłoni. Trzęsącymi się palcami upuścił to na łóżko.

– Na pewno nie zabrałaś? Jesteś tego absolutnie pewna?

– Tak. Tylko wzięłam je do ręki, a potem odłożyłam na miejsce. Nie wiedziałam nawet, co to takiego, sądziłam, że metal...

Im dłużej mówiłam, tym dziwniejsze wydawało się jego milczenie. Był zbyt blady, skóra zbyt mocno naciągnięta na kości.

– Ta osoba, o której mówiłaś, że się włamała. Opisz ją jeszcze raz.

Tak zrobiłam.

– Okej – powiedział, gdy skończyłam. – Będę dalej... próbował skontaktować się z twoją matką. A jeśli odezwie się Hank, przekaz mu, żeby do mnie zadzwonił, na litość boską.

Nic nie odpowiedziałam. Patrzyłam na to, co upuścił mi na łóżko. Powoli nachyliłam się i podniosłam to: zapięta koszula, którą przy strumieniu dałam tej bladej nieznajomej. Ta, którą miała na sobie, kiedy szłam za nią do domu z 7-Eleven.

– Gdzie to znalazłeś?



Mój głos musiał zabrzmieć w miarę normalnie, bo przez twarz taty przemknął cień uśmiechu.

– Na podłodze w naszej garderobie. Musiała ci upaść, kiedy tam myszkowałeś. Coś mi mówi, że nie jesteś stworzona do życia przestępcy, mała.

Koszula śmierdziała potem, smażonym jedzeniem i, co dziwne, perfumami mojej matki. Zacisnęłam na niej palce, z których odpłynęła cała krew.

– Tato – szepnęłam.

Przyglądał się leżącemu na łóżku pudełku po cygarach.

– Ivy, czy mogę...?

Pokiwałam głową. Ostrożnie uniósł wieko i na widok tego, co kryje się w środku, zaśmiał się cicho. Drewniane kółko, wyblakły bilet do kina, piórko do gitary. Dotknął palcem kosmyka rudych włosów. Następnie zamknął pudełko.

– Dobry z ciebie dzieciak – rzekł do mnie. – Wszystko się ułoży, zobaczysz.

To wtedy dotarło do mnie, że on nie jest w stanie mnie ochronić. Nie miał nawet pojęcia, jak miałby to zrobić. Jediną jego obroną przed ciemnością były krzepiące kłamstwa.

– Dzięki, tato – odparłam.

Czyli tej dziewczynie chodziło o mnie.

Do takiego wniosku doszłam. Z kolanami podciągniętymi do brody, kciukiem w ustach, wpatrując się w nicość, aż w końcu rozboleły mnie oczy. Ukradła coś z ich garderoby, ale zostawiła moją koszulę. Włamała się do naszego domu, kiedy byłam w nim sama, po to tylko, aby nadgryźć moje ciastka. Jakby chciała mi pokazać, jak bardzo potrafi się zbliżyć.

„Trzymaj się z daleka od luster” – tak mi powiedziała Sharon. Ścisnęło mnie boleśnie w żołądku, kiedy przypominał mi się ten przebłysk, który

zobaczyłam po rozjaśnieniu włosów: blada twarz tej dziewczyny zamiast mojego odbicia. A jeśli wcale sobie tego nie wymyśliłam?

Koło dziesiątej jeszcze raz zajrzał tata, tym razem po to, żeby pocałować mnie na dobranoc. Nadal udawał, że wszystko będzie dobrze, a ja udawałam osobę, która nie odchodzi wcale od zmysłów. Kiedy sobie poszedł, mój mózg wrócił do przeskakiwania od jednego odkrycia do następnego, prześlizgując się nad otaczającą wszystko ciemnością. Wszystko to przypominało fragmenty puzzli z różnych pudełek.

Było jednak coś, co bardzo chciało się precyzyjnie. Może pytanie albo wspomnienie, czołgające się wzdłuż krawędzi świadomości. Zasnąłam, próbując tego osiągnąć, a we śnie wyszło na paluszkach ze swojej kryjówki.

Obudziłam się.

Był środek nocy, ale mój mózg świecił jak lampa. Wstałam z łóżka, trzymając się delikatnie tej myśli, która się pojawiła.

Bose stopy na wykładzinie były dziwnie wrażliwe. Przeszłam przez korytarz i cicho otworzyłam drzwi do pokoju rodziców. Tata leżał tyłem do mnie, grzecznie trzymając się swojej strony łóżka. Podeszłam na palcach do toaletki i wzięłam do ręki stare, oprawione w ramkę zdjęcie mamy i cici Fee, które zrobiono, kiedy miały szesnaście lat.

Zbliżyłam się do wpadającego przez okno światła, aby potwierdzić to zamglone wspomnienie, które przyszło do mnie we śnie: jedna połowa zdjęcia leżała płasko. Ale druga się wybrzuszała, napierając na szybkę.

I zawieszki w kształcie serca, podzielone na trzy części.

Zdemontowałam tylną ścianę ramki i wyjęłam zdjęcie.

Miałam rację. Zdjęcie napierało na szybkę dlatego, że jedna trzecia została złożona i schowana pod spód przez kogoś, kto nie chciał już na nie patrzeć, ale nie potrafił się przemóc, aby odciąć tę część. Niedobrze mi się zrobiło, kiedy zobaczyłam, co zostało ukryte.

Moja matka i ciocia nachylały się ku sobie, za to trzecia dziewczyna stała wyprostowana jak struna. Gruba kreska na powiece, niepomalowane usta,

na szyi zawiązana zielona wstążka. Na niej wisiała jedna trzecia serca. Jej twarz można by umieścić na jakimś starym obrazie – może holenderskim, z wieśniakami albo świętymi – i gdyby nie ten *eyeliner*, nikt by okiem nie mrugnął.

Na tym zdjęciu nie była tak wychudła. Na sto procent to ona pojawiła się na drodze przed samochodem Nate'a. Była zjawą, która kroczyła przede mną nocnymi ulicami Woodbine, aż do naszego domu. Dwadzieścia pięć lat po zrobieniu tego zdjęcia jej twarz była nietknięta niczym u podróżniczki w czasie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY



Miasto

*Wtedy*

PIĄTKOWY RANEK. Nie rozmawialiśmy z Marion ani Sharon od tamtej bytności w sklepie. Ale wiedziałyśmy, że będą czekać dziś wieczorem w domu okultystki, Marion cała w siniakach.

– Przynajmniej znowu będziemy normalnie sypiać – rzekła Fee. – Ledwie minęła ósma rano, a my już wracaliśmy z McDonalda. – Bez względu na to, co się dzisiaj wydarzy, jutro będziemy spać.

Ostrożnie wysunęłam z opakowania ciastko z jabłkami. Razem z nim nie wypadło nic obrzydliwego, a przynajmniej nic bardziej obrzydliwego niż ciastko z McDonalda.

– To prawda. Podobno najlepszy sen w życiu ma się wtedy, kiedy jest się trupem.

– Kurde, nie drwij sobie, Dana – burknęła Fee. – Wyobrażasz sobie, co by się stało z naszymi ojcami, gdybyśmy kojfnęły?

– Mój sprzedałby moje rzeczy i kupił trans ama.

– A co masz takiego wartościowego? Kupiłby najwyżej kalkomanie z trans amem.

– No i kto sobie drwi?

Moja przyjaciółka wykręciła dłonie.

– Nie chcę stać się jedną ze świętych mojego taty. Nie chcę do końca swojego martwego życia wisieć na jego ścianie smutku między mamą

a Dziewicą Maryją. A właśnie, pytał mnie o krzyżyk. Powiedziałam, że pożyczyłaś go sobie. Że był ci potrzebny do modlitwy za twojego tatę.

– Wujek Nestor! Uwierzył w to?

Zacisnęła dłonie i podniosła wzrok.

– *Perdóname, Padre*<sup>[9]</sup>.

– Och, moja kochana. – Choć zaczęło się od żartów, z każdą sylabą coraz bardziej ścisnęło mnie w gardle. – Moja piękna Felicita. Wiesz, że gdyby coś rzeczywiście ci się stało, zamieniłabym się w Orfeusza. Przywołałabym cię z powrotem. Bym... – *Bez ciebie wtopiła się w piasek. Stała się jednością z gwiazdami.*

– Ja też. – Objęła mnie. – Moja jedyna i prawdziwa siostró.

Chyba naprawdę wierzyłyśmy, że miłość tak działa. Że potrafimy utrzymać się nawzajem na powierzchni obracającego się świata.

Odliczałyśmy godziny, minuta po niemającej końca minucie, aż w końcu nadeszła siódma i czas zaczął się topić niczym lodowy rożek.

Była ósma i starałyśmy się napęcznieć swoje żołądki, ale tak, żebyśmy się nie trzęsły i nie porzygały. O dziewiątej zaszło słońce. Zamrugaliśmy i nagle zrobiła się dziesiąta trzydzieści, a my czekałyśmy na autobus, tak rozedrgane, że stojąca na przystanku kobieta – plecak z przezroczystego winylu, zielony puder na brwiach – chciała nas poczęstować precelkami. O wpół do dwunastej kucaliśmy w wonnym cieniu domu okultystki, szukając w trawie czterolistnych koniczyn.

Sharon zjawiała się tuż po nas. Zobaczyła, co robimy, padła na kolana i dołączyła do poszukiwań. Do przyścia Marion żadnej z nas się nie poszczęściło.

Jej sińce zbladły, tworząc nieładne plamy żółci i zieleni. Widać w niej było surową witalność, przywołującą na myśl stargany i iskrzący się przewód. Wpatrywałam się, dopóki mnie nie olśniło: to był dar Astrid. Podczas gdy Fee i ja zadręczałyśmy się, próbując go stłumić, Marion

pielęgnowała swoją porcję mocy niczym winorośle. Ścisnęło mnie boleśnie w żołądku. Ciężko byłoby jej się tego wyrzec.

– Miejmy to już za sobą – rzuciła.

Odtworzyłyśmy nasze kroki, idąc przez kurz i mrok. Wyjątkowe biblioteczne powietrze sprawiało, że miałam wrażenie, jakbym oddychała przez szorstką bawełnę. Astrid była z nami, jej obecność z tyłu, z przodu, napierająca na nas z boków. Wspięłyśmy się po drabinie na strych.

Księżyc okazał się odpowiedni do naszych celów, dzisiaj nieco cieńszy niż poprzednio, ale satysfakcjonujący w sposób, który docierał aż na dno mojej duszy czarownicy. Teraz, kiedy nadszedł ten moment, teraz, kiedy się tu znalazłyśmy, czułam zaskakujący spokój. Jakby wszystko, co ma się wydarzyć, już się wydarzyło.

Nadeszła północ. Marion uklękała. Praca się zaczęła.

Zakłęcie wyglądało identycznie jak za pierwszym razem. Niebieski płomień, szare lustro, biały воск. Do czasu, aż Marion rozłożyła nóż i wzięła do ręki królika.

Ten akurat był dziki i chudy mimo pory roku, z zapadniętymi bokami pod zmierzwioną sierścią. Uparcie walczył, wijąc się w uścisku Marion, aż w końcu udało mu się ją ugryźć. Mimo bólu, jaki musiały jej zadać jego żółte zęby, Marion milczała. We trzy syknęłyśmy z niepokojem, kiedy na воск kapnęła jej krew.

Zdecydowanym ruchem przejechała ostrzem po szyi zwierzęcia. Albo było zbyt tępe, albo szyja królika zbyt żylasta. Umierając, uwolnił się, ale Marion znowu go chwyciła. Tym razem mocniej przytrzymała. Przejeżdżając ostrzem z takim zapamiętaniem, że knykcie opryskała mi krew. Upuściłam igłę i musiałam odszukać ją w kurzu.

Zakłęcie biegło dalej, ale to już nie było to. Magia wydawała się rozluźniona i brudna, pełen przeciągów dom, do którego może się wdrzeć każda pogoda. Kiedy Marion przystąpiła do recytacji, brzmiało to inaczej niż za pierwszym razem. Ostrzejsze samogłoski, surowsze spółgłoski. Krwawiącą ręką utworzyła krąg z soli, podpaliła zawoskowane lustro. Całe pomieszczenie zadrżało od rosnącego gorąca, i z tym też coś było nie tak.

Gdzieś musiał się wkraść błąd, jakaś luka. „To się nie uda” – pomyślałam. Uradowana i jednocześnie przerażona. Ale nie, patrzcie: oto i Astrid Washington, jej złote oczy zaglądające przez taflę szkła. Uśmiechnęła się, odciągając wargi od zębów równie białych i równych jak drobne perły.

Czułam w ustach smak żółci i jabłek. To w tym momencie przywołanie miało skrócić o sto osiemdziesiąt stopni i zamienić się w wygnanie. Jeśli Marion z tym sobie poradzi.

Spojrzenie miała puste z wysiłku, ramiona opuszczone pod wpływem gorąca. Dała nam sygnał, a my nacięłyśmy sobie dłonie i upadłyśmy na kolana, aby przycisnąć je do podłogi.

Marion zaśmiała się. Dźwięk ten był tak wysoki i dziki, że poczułam, jak wibruje w całej naszej trójce, połączonej niewidzialną siecią magii krwi. I wiedziałyśmy. W tej chwili wiedziałyśmy już, że Marion zamierza nas zdradzić.

Wypowiedziała imię i nazwisko Astrid, a jej głos niczym kieliszek wypełniała bogata, czerwona satysfakcja. Wzięła głęboki oddech.

I wtedy Marion popełniła potworny błąd.

Z ukrytej kieszeni wyjęła coś, co zajaśniało w jej palcach, połyskując w świetle księżycy niczym złote włosy szatana. Pod taflą szkła Astrid przestała się uśmiechać.

Wyciągnęłam szyję, aby zobaczyć, co to takiego. Poruszała palcami jak przy kociej kołysce, tworząc między nimi woal delikatny niczym mgła.

Sharon rzuciła się na krąg, ale tym razem granice nie ustąpiły.

– Nie rób tego! – zawołała rozpaczliwie. – Marion, nie!

Marion nie zwróciła na nią żadnej uwagi. Przytrzymując cieniutki woal nad lustrem, zaczęła mówić:

– Nakazuję ci, Astrid Washington, wykonać moje polecenie. Masz mi służyć. Nakazuję ci związać się ze mną. Być moją towarzyszką i moim... moim duchem.

Fee zrobiła głośny wdech. Sharon zaklęła z taką mocą, że zabrzmiało to jak zaklęcie. Nawet Marion zachwiała się pod wpływem wypowiedzianych

przez siebie słów. Mierna czarownica stojąca w kręgu soli, ujawniająca swój beznadziejny plan: nie wygnanie, lecz związanie.

Marion upuściła woal. Zamrugalam i zrozumiałam, jak to miało wyglądać. Ten delikatny rekwizyt magii wróżbiarstwa, który Bóg jeden wiedział, skąd zdobyła i jaką walutą za niego zapłaciła, miał opaść na jasne włosy Astrid. Przyklei się do niej lepki niczym pajęczyna i ją zwiąże.

Tyle że nie tak to się potoczyło.

Jeszcze zanim woal wysunął się z palców Marion, Astrid uniosła własne, aby go złapać. Jego przejrzysty splot przywarł do jej skóry i się rozjarzył. I gdybym to ja była Astrid, zrobiłabym dokładnie to, co ona za chwilę. A mianowicie:

*Ty mnie wzywasz, abym wykonała twoje polecenie?*

Nie słyszeliśmy jej, ale jej usta poruszały się w taki sposób, że jasne było, co mówią.

*Ty wzywasz mnie, abym służyła tobie? Abym związała się z twoją bezwartościowością i była twoją towarzyszką? Czy lew pozwoliłby się związać myszy? Czy błyskawica skłoniłaby się przed robaczkiem świętojańskim?*

Mówiąc, cały czas się uśmiechała. Wszystko to stawało się jeszcze bardziej upiorne.

*Chciałabyś, abym była...*

– ...twoim duchem?

Dwa ostatnie słowa usłyszałyśmy. Usłyszałyśmy je dlatego, że jednym płynnym ruchem Astrid wydostała się przez lustro i kucnęła na jego krawędzi z palcami u stóp nadal zanurzonymi w lustrzanym świetle. Pomieszczenie stało się nagle takie małe, tak bardzo nabrzmiące wonią czarów.

– Głupia dziewczucha. – Jej głos był niczym pióro wrony, szorstkie i połyskujące. – Ja i moja księga to twoi jedyni nauczyciele. Nie znasz żadnej magii, której nie wzięłaś ode mnie.

Marion się trzęsła.

– N-nakazuję ci... – zaczęła.



Astrid jednym ruchem ręki cisnęła wiążący woal.

Przylgnął do Marion niczym folia spożywcza. Widać go było tylko przez chwilę, gdyż w mgnieniu oka jej skóra go wessała. Nim tak się stało, Marion zamigotała złotym złotem. Unoszący się na strychu smród krwi i potu ustąpił zapachowi wielkiej magii, wodni ze studni, angostury i goździków. Marion rzuciła się na krawędź kręgu, ale nie była go w stanie przekroczyć. To było więzienie dla nich obu.

Fee stała tuż przy mnie i odmawiała w trzech językach *Zdrowaś Mario*. Sharon krążyła wokół soli, szukając jakiejś luki. Na widok ich starań ocknąłam się i przypomniało mi się coś, o czym prawie zapomniałam: nie byliśmy tak zupełnie bezradne.

Chwyciłam Fee i przycisnęłam jej usta do ucha.

– Nadal jesteście w posiadaniu fragmentu jej mocy – szepnęłam gorączkowo. – Gdyby udało nam się wyrwać Marion z kręgu...

Otworzyła szeroko oczy. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– Pęknięte – rzuciła. Odwróciła się przodem do mnie i położyła mi dłoń na sercu, a raczej tuż nad sercem, gdzie znajdował się mój wisiorek. – Wszystko, co pęknięte, znowu chce stać się całością.

Zacząła recytować:

*Przywołaj potrójną moc*

*Dodaj trzy krople krwi do niej*

*A jeśli rozłączy się to trio*

*Niech rzeka je całe pochłonie.*

To nie było zaklęcie. Nie takie prawdziwe. To był wierszyk wymyślony przez Marion tego dnia, kiedy o zachodzie słońca czerpałyśmy wodę z rzeki, a ponad naszymi głowami rozpościerało się srebrne miasto. Byłyśmy szczęśliwe, pełne nadziei i sto lat młodsze, a na naszych szyjach dopiero co zawisły te niemądre łańcuszki z pękniętym sercem.

Ja nadal nosiłam swój. Wbrew okolicznościom wszystkie je nosiliśmy. Fee raz jeszcze wyrecytowała wierszyk i tym razem dołączyłam do niej.

To wszystko – ucieczka Astrid z lustra, związanie Marion, recytowanie – zdawało się dziać w tym samym czasie, zlewając się w jedną gorącą minutę. Fee i ja krzyczałyśmy teraz, powtarzając wierszyk.

Spojrzenie Marion napotkało moje. A potem jej usta poruszały się razem z naszymi.

Wtedy zaczęło się dziać. Recytowanie, pomnożone razy trzy, wibrujące od pożyczonej od Astrid magii. Moja część zawieszki się rozgrzała, a jej krawędzie parzyły mi skórę. Zawieszki Fee i Marion jarzyły się niczym płomień. Fragmenty serca ciągnęło ku sobie nawzajem, napierając na łańcuszki i pociągając nas za sobą na krawędź kręgu. Jakby coś pęknięte pragnęło znowu stać się całością.

Razem wypowiedziałyśmy ostatni wers. Ułamek sekundy później rozległa się eksplozja, podwodna i pozbawiona dźwięku, a nasza trójka upadła razem na ziemię.

Wszystko było gorącem i włosami, i neonowym pomieszaniem. Poczułam na ustach gorzki smak skóry Marion i roześmiałam się z ulgą, bo udało nam się, wyciągnęłyśmy ją.

A potem zamrugałam i uświadomiłam sobie, że ona wcale nie opuściła kręgu. To my zostałyśmy do niego wciągnięte.

Ja, Fee i Marion leżałyśmy razem, połączone zespolonym sercem, a nad nami stała Astrid. Żółte tęczęwki jej oczu zupełnie zasłoniły białka. Miała spojrzenie drapieżnego ptaka.

Było tak, jakby wpatrywały się w nas dwa podmioty. Jednym była kobieta, okultystka, człowiek, który chodził, oddychał i żył. Drugie to twór ze stali i żywego kamienia, przerażająco rozplaszczony przez czas i magię. Cyniczny, skuteczny twór, który okiem nie mrugnie, kiedy będzie nas rozrywał na strzępy.

Astrid podniosła z ziemi nóż. Spojrzała na nasze twarze – jedną, drugą, trzecią – po czym z nożem w ręce nachyliła się nad Fee.

– Nie!

Wiłam się, próbując ją obronić. Astrid zaśmiała się i przerzuciła nóż tak, że teraz w dłoni trzymała jego ostrze.

– Macie w swoich szeregach zdrajczynię – oświadczyła, podając go Fee rękojęścią do przodu. – Coś z tym trzeba zrobić.

Fee wzięła od niej nóż, nie niemrawo, lecz z powolnym skupieniem. Twarz Marion była otchłanią, w jej oczach zionęła pustka. Gdyby Fee wyciągnęła teraz w jej stronę rękę z nożem, myślę, że dobrowolnie wystawiłaby szyję do ostrza. Wypowiadałam poplątane kłamstwa – *Fee, Fee, nie musisz* – i choć mój głos mnie drażnił, nie potrafiłam przestać. Ale Fee milczała.

Spojrzała na Astrid Washington i powiedziała niemal spokojnie:

– Ty i Marion jesteście teraz związane ze sobą. Związałaś ją tą siatką. Co oznacza, że jeśli ją zabiję, ty także zginiesz. Zgadza się?

Przez dwa nierówne bicia serca twarz Astrid była uosobieniem spokoju i pomyślałam, że Fee przeszarżowała. Potem jednak oczy okultystki się rozszerzyły i krzyknęła. Był to dźwięk zbyt potworny, aby mógł pochodzić z gardła człowieka.

Chwyciła się za głowę i zgięła się w pół, tak że omiotła włosami podłogę. Wykorzystując fakt, że na nas nie patrzy, szybko uwolniłam się od związanych zawieszek, a rozerwane ogniwa łańcuszka ześlizgnęły się po mojej szyi.

Usta Marion luźno zwisały, spojrzenie miała rozbiegane.

– Przerwij krąg – rzuciłam do niej dzikim szeptem. – Ty go stworzyłaś, ty go przerwiesz.

Nie odezwała się ani nie poruszyła. Nie miałam pewności, czy w ogóle mnie usłyszała.

– Marion, ty idiotko. – Fee potrząsnęła nią za ramiona. – Obudź się! Przerwij krąg, a potem coś wymyślimy. Uda nam się to naprawić. Nadal możemy to zakończyć.

Marion ożyła, a w jej pustych oczach pojawił się ogień.

– Myślicie, że ja chcę to zakończyć? – syknęła przez zaciśnięte zęby.

Okultystka wyprostowała się. Rzuciła się na Fee i wyrwała jej z dłoni nóż, następnie stanęła nad nami. Jej oczy jastrzębia błyszczały niczym odwrócone księżycy.

– Co zrobić, co zrobić? – szepnęła, a jej spojrzenie przeskakiwało między mną a Fee. Postukała się w skroń czubkiem ostrza.

W głowie ryczało mi i brzęczało. Patrzyła na nas jak kucharz, dla którego nie byliśmy niczym więcej jak dostępnymi składnikami: jedna czarownica, której nie mogła tknąć, dwie, które mogła. I nóż. Zrobi z nas miazgę, jeśli tego trzeba, aby stworzyć drogę ucieczki. Moje myśli szalały, wszystkie stawy rozmiękły z przerażenia. Wtedy przez ten hałas przedarła się myśl, zimna jak woda w rzece.

*Mogłabym ją zabić.*

Nie Astrid. Wypatroszyłaby mnie szybciej, niż zdążyłabym unieść rękę. Ale Marion. Może udałoby mi się skraść trochę czasu, który wystarczyłby na to, aby zabić Marion. Gdyby umarła, umarłaby także Astrid. Krąg by się przerwał. Byłybyśmy wolne.

Oczami wyobraźni ujrzałam, jak przyciskam ramię do jej gardła, dociskając; jak moja igła rozoruje wnętrza jej rąk; jak ciężka miska z solą ląduje na jej głowie. Celuloidowe kwadraciki rodem z horroru. I wiedziałam, że to się nie uda.

Dlatego zrobiłam coś innego, równie potwornego. Od razu, gdy tylko pomysł ten pojawił się w mojej głowie, chwyciłam Marion za ramiona i talię i przeciągnęłam jej ciało przez lustro.

W mojej pamięci towarzyszyła temu cisza. Żadnych dźwięków wysiłku czy zaskoczenia. Oczy i usta Marion otworzyły się szeroko, jej ciało skurczyło się, gdy wpadła w zielonkawą czeluść lustra, a po chwili zniknęła.

Astrid zdążyła tylko zrobić krok w moją stronę, z wyciągniętymi obiema rękami, a potem siła związania pociągnęła ją za Marion. Usłyszałam syk towarzyszący najpierw przerwaniu kręgu, a potem wyrwaniu z nas magii Astrid razem z korzeniami. Fee głośno wciągnęła powietrze, Sharon

zakłęła, a ja krzyknęłam z ulgą i przerażeniem. Mój krzyk sprawił, że powierzchnia lustra zadrżała. Nie do końca szkło, nie do końca drzwi.

Walnęłam pięścią w sam środek.

Tafla ugięła się pod moją dłoń. Moje serce wpadło tam razem z nią, pograżając się w potwornym galaretowatym chłodzie. A potem lustro odbiło się i pękło. Moja dłoń zawyła z bólu, a pęknięcia biegły od środka na zewnątrz, aż w końcu całe lustro stało się połyskującą pajęczyną.

Tuliłam do siebie swoją dłoń, całą skąpaną w czerwieni, i spojrzałam na moją odważną Felicję.

Wpatrywała się we mnie z przerażeniem. Ona prędzej by umarła, niż zrobiła to, co ja. Ale o to właśnie chodziło: nie pozwoliłabym jej na to.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY



Przedmieścia

*Teraz*

TRZY DZIEWCZYNY, ICH MINY PROWOKACYJNE lub przebiegłe. Moja matka, moja ciotka i dziewczyna, która ćwierć wieku temu została zmiażdżona jak puszka po coli, a mimo to wyszła z tego bez szwanku.

Cały czas była tutaj, w moim domu. Nadgryzając moje ciastka, przemykając w ciemności, kradnąc złote pudełko moich rodziców. Może stała właśnie w tym miejscu, patrząc na zdjęcie, z którego zniknęła?

Kim ta dziewczyna była dla mojej matki, że w taki właśnie sposób zatrzymała jej zdjęcie? Tutaj, ale nie do końca tutaj, w miejscu, w którym będzie je oglądać każdego dnia i pamiętać o tym, co pozostaje ukryte.

Tata przekręcił się przez sen na drugi bok, wypowiedział w poduszkę jakieś zduszone słowo, po czym znowu znieruchomiał. Wyślizgnęłam się z pokoju.

Moja panika stygła, pierwsza fala strachu odpływała. Nienaturalnie spokojna weszłam do łazienki i pstryknęłam włącznik światła.

Stałam przed lustrem, niezdrowo blada pod białym światłem, ostrym, surrealistycznym, docierającym do każdego milczącego zakątka. Zdjęcie było teraz lekko pogiete, ale je uniosłam. Na wypadek, gdyby Sharon miała rację, a lustra były niebezpieczne; na wypadek, gdyby były kanałem, za pośrednictwem, którego mogę dotrzeć do tej dziewczyny. Może wczoraj krępowalabym się tak zrobić, teraz jednak spojrzałam na swoje odbicie i powiedziałam:

– Muszę z tobą porozmawiać.

Nie pojawiła się żadna zmarszczka, żadna mgła. Widziałam tylko wykończoną blondynkę trzymającą w ręce pogięte zdjęcie.

– Znajdę cię.

Z szafki nocnej wzięłam klucze taty, włożyłam sukienkę dresową, a to, że zapomniałam o butach, dotarło do mnie dopiero wtedy, gdy dotknęłam bosą stopą pedału hamulca.

Ta dziewczyna mogła być wszędzie. Sama świadomość tego fermentowała nocne powietrze niczym unoszące się w nim bakterie. Miałam wrażenie, że śledzą mnie wszystkie obecne na drodze samochody, a wszystkie cienie są gęste jak czarna śmietana. Wieże ratownicze stały się obcymi monolitami, majaczącymi nad złowieszczą taflą publicznego basenu. Minęłam tandetne światła Denny's, stację benzynową Amoco, puste lokale wymierającego centrum handlowego. Jechałam powoli przez centrum Woodbine, gdzie bary dawno już się zamknęły, a światło latarni nie wystarczało, aby przegnać mrok.

Mogła być wszędzie; mogło jej już tu nie być. Ale wątpiłam w to. Zahamowałam przed przejazdem kolejowym. Nim zdążyłam ruszyć, otworzyły się drzwi od strony pasażera.

Dziewczyna wsiadła.

Była bardziej rzeczywista, niż zapamiętałam. Broda usiana pryszczami, włosy splątane i tłuste przy skórze głowy. Można by uznać ją za nieładną, gdyby nie intensywność spojrzenia tych bladych oczu. Czułam zapach jej ciała wymieszany z wonią brudnych włosów i nutką bergamoty z perfum mojej matki.

– Jedź – powiedziała.

Sądziłam, że zbyt jestem zdecydowana, aby się bać, lecz moje ciało miało w tej kwestii inne zdanie. Stopa drżała na pedale, a nogi i ręce podrygiwały niczym struny. Ona знаła kiedyś moją matkę. Razem z nią była młoda. A jeśli moja matka rzeczywiście miała kłopoty, gotowa byłam się założyć, że ta podróżniczka w czasie coś o tym wie.

Radio zawodziło o różowym, różowym księżycu. Wyłączyłam je. Milczenie tej dziewczyny tworzyło własny rodzaj hałasu, basowe pulsowanie zgodne z rytmem mojego serca. Na ostatnim znaku stopu przed rezerwatem leśnym wskazała na lewo.

– Tędy.

Kiedy uniosła rękę, wychwyciłam kolejną falę perfum mojej matki. Obraz tej nieznajomej, stojącej przed toaletką w sypialni rodziców, uśmiechającej się podczas spryskiwania nimi miejsc, gdzie pulsuje krew, przejechał po mojej szyi niczym palec. Wydawało się to większym naruszeniem niż jej zęby w moich ciastkach, jej dłonie w sejfie.

Możliwe, że jechałyśmy teraz do mojej matki. Mój oddech przyspieszył i dołączyło do niego rozgoryczenie. Może ona i ta nieznajoma cały ten czas spędziły razem. Jechałyśmy obrzeżami przedmieść, przez królestwo wielkich domów i przerośniętych trawników, słynące z bezprawia podobnego do tego, jakie istnieje na wodach międzynarodowych. Na każdego dzieciaka, którego tu aresztowano, przypadało pięcioro innych, które się upierały, że tutaj nie można nikogo legalnie aresztować.

– Tam.

„Tam” okazało się nieoświetlonym zjazdem między drzewa. Sama bym go nie wypatrzyła. Jechałam powoli, opony chrzęściły na żwirze, aż w końcu dziewczyna położyła dłoń na desce rozdzielczej.

– Stop. Zgaś silnik.

Po wyłączeniu świateł droga przed nami zamieniła się w szare morze. Ale księżyc wisiał wysoko, żwir był jasny i jego kontury znowu się pojawiły.

– Gdzie jesteśmy?

Nie odpowiedziała. Nad czymś dumiała, a oddech miała płytki jak u zwierzęcia.

– Nie wiem, czy jesteś gotowa – szepnęła.

– Gotowa – powtórzyłam i przygryzłam wargę. Takie spotkanie się naszych głosów w ciemności wydawało się zbyt intymne. – Gotowa na co?



Dziewczyna spuściła wzrok. Odniosłam wrażenie, że zbiera się w sobie, jakby to, co mi musi przekazać, było poważniejsze niż coś, co może udźwignąć.

– Są bajki – zaczęła – w których dziewczyny wymieniają kawałki siebie na coś, czego pragną. Miłość, bogactwo. – Spojrzała na mnie. – Informacje.

Przycisnęłam obie dłonie do drżących kolan.

– Po prostu powiedz, czego ode mnie chcesz.

– Wystarczająco dużo już zapłaciłaś – oświadczyła żarliwie. – Gdyby zależało ode mnie, nic by cię to nie kosztowało.

– Ale co?

Jedno jej oko spowijała ciemność. Drugie było płynnym światłem.

– Odpowiedzi. Na wszystkie twoje pytania i te, których nigdy nie przyszło ci do głowy zadać.

– Kim ty jesteś? – zapytałam.

– Twoją przyjaciółką, Ivy. Nie martw się. Nie bój się. Wkrótce zrozumiesz.

Sposób, w jaki wypowiedziała moje imię – dlaczego właśnie to przeraziło mnie najbardziej? Może dlatego, że kiedy je wypowiadała, wyglądała tak, jakby mnie znała. Jakbyśmy miały wspólną skomplikowaną przeszłość. Mój mózg przesiąknięty był strachem, ale także zajęty tykaniem niczym koło z telewizyjnego programu.

– Jeśli będę tego chciała – powiedziałam z wahaniem. – Jeśli będę chciała odpowiedzi... co się dalej stanie?

– Pójdziemy tą ścieżką. – Jej głos niemal drżał. – Skręcimy, a potem zabiorę cię w miejsce, gdzie wszystkiego się dowiesz.

Kluczyki wbijały mi się w dłoni.

– Dlaczego nie tutaj? Powiedz mi tutaj.

– To tak nie działa.

Spojrzałam w miejsce, gdzie droga skręcała w prawo. Był środek lata, drzewa zbyt gęste, aby dojrzeć, co się kryje za nimi. Ponownie spojrzałam

na dziewczynę, która знаła moją matkę i która pokonała niewyobrażalną drogę, aby siedzieć teraz obok mnie.

– Jak masz na imię?

Zawahała się i coś mignęło w jej oczach.

– Mam na imię Marion.

Doznałam przedziwnego uczucia, że nie od razu udało jej się przywołać to imię. Że musiała pogrzebać w pamięci, jakby była duchem, który wyzbył się już tego, co ziemskie. Ale ja znałam to imię. Potrafiłam je przywołać głosem mojej matki albo cioci Fee. Głosem, w którym pobrzmiwała nutka tajemnicy.

– Marion – powtórzyłam i położyłam rękę na klamce. – Chodźmy.

Noc była nieruchoma i wiał tylko bardzo delikatny wietrzyk, który przypominał niemający końca wydech. W takich właśnie okolicznościach po raz pierwszy ujrzałam Marion: jako błyśnięcie przemykający przez nocny las. Teraz była ubrana – miała na sobie dżinsy i niebieską koszulkę-chłopkę, jedno i drugie nie w jej rozmiarze. Szłam za nią, ściskając w ręce kluczyki taty. Żwir ranił mi stopy. Kiedy po raz trzeci syknęłam z bólu, Marion obejrzała się i wypowiedziała kilka słów.

Zawisły w powietrzu niczym ślad po zimnym ogniu. Otuliła mnie woń ciemnego cukru i spalonych włosów, a pod podszewkami poczułam jedwabiste napięcie, jakby kamyki, po których szłam, przemieniały się w gorącą, szklaną taflę. Pisnęłam i odskoczyłam, po czym dotarło do mnie, że to nie ścieżka, lecz moje stopy.

Uniosłam jedną, potem drugą. Kiedy stuknęłam paznokciem o zgrubiałą prawą piętę, usłyszałam szklane kliknięcie.

– Ja pier... jak to zrobiłaś? Co zrobiłaś?

Marion popatrzyła na mnie pustym spojrzeniem, jakbym ją wypytywała o oddychanie.

– Nie ma za co – odparła.

Zrobiłam kilka kroków, unosząc i opuszczając nogi jak pies w śniegowcach. Taka mała zmiana, ale sprawiła, że całe moje ciało

wydawało mi się obce. Mój mózg buntował się przed tym, co zrobiła, przed przebywaniem w jej pobliżu. Ale moja skóra była rozbudzona, wyczulona na każdy jej ruch i czającą się w powietrzu ewentualność, że znowu może zrobić coś niemożliwego.

Doszliśmy do zakrętu. Ścieżka stała się szersza, ustępując czystemu chodnikowi. Długi podjazd, na którego końcu stał dom, wielki, biały i milczący. Wszystkie okna były ciemne, ale drzwi wejściowe stały otworem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY



Miasto

*Wtedy*

KIEDY WESZŁAM DO MIESZKANIA, tata spał na sofie, a na jego klatce piersiowej balansowała szklanka od whisky. W szklance był lód. Słysząc było, jak odtwarzała się jeszcze włączona przez niego płyta. The Flamingos, dziwaczni i słodcy, malujący zastale powietrze na złoto.

Uniósł zaspany głowę.

– Dana?

– Śpij, tato. – Gardło miałam surowe jak mięso.

– Gdzie się podziewałaś? – Pociągnął nosem. – Jezu, w czym się tarzałaś? Masz krew na T-shircie?

– Powiedziałam, żebyś spał!

Intencje zagęściły moje słowa niczym zasmażkę. Głowa taty opadła na poduszki i tak już pozostała.

Wyszorowałyśmy tamto okrągłe pomieszczenie. Najpierw na czworaka, bo ogłupił nas szok. Potem, kiedy się ocknęłyśmy na tyle, aby tak zrobić, Sharon użyła zaklęcia sprzątającego. Księga okultystki zniknęła, wpadłszy do lustra razem z Marion. Zabrałyśmy wszystko inne, co do niej należało, po czym przemknęłyśmy przez bibliotekę. Była trzecia, kiedy zatrzymałyśmy się na parkingu.

– Nigdy – powiedziała dobitnie Sharon. – Zrozumiałyście?

Patrzyłam na nią jak na zepsuty telewizor. Słyszałam ją, nie potrafiłam jednak nadać wypowiedzanym przez nią słowom żadnego znaczenia.

– Nie znacie nawet mojego nazwiska – kontynuowała. – I niech tak zostanie. Nic nie widziałyście, nic nie wiecie. Przyjdą do was, gdy tylko rodzice zgłoszą jej zaginięcie. Jeśli przyślecie ich do mnie, dopilnuję, abyście tego pożałowały.

Ich.

– Kogo? – zapytałam.

– Policję, kretynko.

Owiał nas wiatr, zimny jak woda w jeziorze. Jego zapach przywołał z dna mojej pamięci coś znaczącego.

– Osiemnaście – powiedziałam tępo. – Marion ma dzisiaj urodziny. Ma... miała... – Zamrugałam. – Ma osiemnaście lat.

Sharon z miejsca się rozpromieniła.

– Serio? Ja pierdołę, no to mamy szczęście. Możliwe, że ujdzie nam to na sucho. Nie dostanie nawet łatki uciekinierki.

– Jesteś okropna – oświadczyła Fee. Obejmowała się mocno w talii. – Okropna. Mam nadzieję, że ty... życzę ci... – Zacisnęła usta, nim zdążyło się przez nie wymknąć coś niebezpiecznego. – Nie życzę ci dobrze – zakończyła.

– Jak fajnie mieć szesnaście lat i być bez winy – rzekła Sharon. – Cóż za luksus myśleć, że żal potrafi wymazać wasze czyny. Ta dziewczyna sama sobie skłeciła trumnę, skarbie. A krew na waszych rękach jest tak samo czerwona jak na moich. – Pokręciła głową. – W życiu nie chciałabym znowu mieć szesnastu lat.

W kolejnych dniach wracały do mnie fragmenty tego, co mówiła Sharon, niczym taśma, którą nie wiedziałam, że nagrywam. Wszystko rozegrało się tak, jak powiedziała.

Przez pierwsze dni nie działo się nic. Żadnych nadprzyrodzonych odwiedzin, policji także nie. Spokój tak fałszywy i złowrogi, że mało mnie nie złamał.

Wtedy, kiedy już myślałam, że nigdy do tego nie dojdzie, policjant. Minęły całe dwa tygodnie, nim w smaźalni zjawił się mężczyzna w kiepsko dopasowanym garniturze, aby porozmawiać z wujkiem Nestorem. Fee pracowała tamtego dnia i z nią także rozmawiał.

Może mój wujek wiedział więcej, niż nam się wydawało. Widział przecież labirynt głębokich ran na mojej lewej ręce, zamieniających się powoli w blizny, i zmiany, jakie dokonały się w Fee, niewidoczne, lecz niemożliwe do przeoczenia. Ale nigdy nas o nic nie zapytał. Zbagatelizował naszą przyjaźń z Marion, a przesłuchanie ze strony tego mężczyzny w najlepszym razie można uznać za zdawkowe. Sharon znowu miała rację: Marion skończyła osiemnaście lat. Nie do nich należało przejmowanie się tym, co się z nią stało.

Obserwowałyśmy z daleka, jak narysowano sylwetkę dziewczyny i ją pokolorowano: Delikwentka. Depresja. Zaginęła. Dziewczyna, która opuściła dom w dniu, kiedy zgodnie z prawem wolno jej było tak zrobić, po czym zniknęła wszystkim z oczu.

W taki właśnie sposób Marion zniknęła dwa razy. Za pierwszym razem ja to sprawiłam. Za drugim pogrzebał ją świat.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY



Przedmieścia

*Teraz*

SKĄPANYM W BLASKU KSIĘŻYCA CHODNIKIEM poszłam za Marion w stronę otwartych drzwi, które wyglądały nie tyle jak zaproszenie, ile ostrzeżenie. Miałam wrażenie, że to domek z bajki, nęcący jedzeniem i odpoczynkiem, który po przekroczeniu jego progu staje się więzieniem.

Minęłyśmy SUV-a z przyciemnionymi szybami, kosz do koszykówki osadzony w niedawno wylanym betonie, laleczkę Ariel leżącą twarzą do trawy. A potem weszłyśmy do środka.

Dom pozbawiony był ścianek działowych, miał wysoki, ozdobiony legarami sufit i wielkie połączone błyszczące okna. Za dnia musiało tu być niesamowicie jasno. Po przekroczeniu progu ujrzałam salon i wiodące na piętro schody oraz krótki korytarz prowadzący do ciemnej kuchni. W domu unosił się zapach nowego sprzętu, wosku do podłóg i czegoś jeszcze, dziwnie sennego, co skubało mi mózg i kazało chwycić się ściany. Moje palce ocierały się o haczyk, na którym wisiał błyszczący plecak z jednorożcem.

– Och, no tak.

Marion powiedziała mi coś blisko ucha. Trzy sylaby, które rozpędziły moją senność i konsternację.

– Co to było? – Chwyciłam ją za nadgarstek. – Co ty właśnie zrobiłaś?

Wyrwała mi z sykiem rękę, a te jej dziwne oczy rozbłysły. Równie szybko się uspokoiły.

– Uważaj – rzekła pojednawczo. – Nie zaskakuj mnie. Po prostu tak mnie nie dotykaj.

Schowałam ręce za plecami i podążyłam za nią.

Meble były wypasione jak z jakiegoś showroomu, pomalowane ściany błyszcząły bezosobowo. Przypuszczałam, że w tym domu mieszkało od niedawna. Na korytarzu przed kuchnią wisiało lustro, tyle że kiedy je mijalam, w ogóle się w nim nie odbiłam.

Zatrzymałam się. Poruszyłam dłonią przed twarzą. Nic. Na korytarzu było ciemno, w lustrze także, więc dopiero po chwili się zorientowałam, że to, co widzę, nie odbija rzeczywistości. W lustrze po lewej stronie widziałam uchylone drzwi, a na wprost znajomą zasłonę prysznicową w paski.

Patrzyłam na własną łazienkę. Lustro dobrze się sprawdzało jako okno i choć już wcześniej podejrzewałam, że Marion mnie przez nie widzi, miałam ochotę zbić je pięścią. Ale ona obserwowała mnie z kuchni, dlatego odpuściłam.

W oknie nad zlewem stały doniczki z przywędniętymi ziołami. Obok zlewu stała kobaltowa miseczka, w której połyskiwała biżuteria. Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak osoba, która ostatnia zmywała naczynia, zdjęła pierścionki. Na wyspie leżał otwarty „New Yorker” i stał ceramiczny kubek z resztką kawy. W kuchni śmierdziało nieumytymi pojemnikami po jedzeniu na wynos i gnijącymi śmieciami. Przypuszczałam, że ten bałagan to w tym domu jedyne, co należy do Marion. Przesuwne drzwi na taras były otwarte, wpuszczając zapach bzu i chloru. Na tle ciemności jarzył się lodowaty prostokąt basenu.

– Dlaczego zostawiłaś otwarte drzwi?

– Nie lubię zamkniętych przestrzeni.

Wypowiedziała te słowa cierpko, jakby to był żart, po czym podciągnęła się i usiadła na blacie.

– Czyj to dom? – Kiedy nie odpowiedziała, wzięłam do ręki gazetę i odczytałam głośno nazwisko z naklejki z adresem. – Kto to jest?



Spojrzała na mnie spokojnie.

– Chcesz go poznać?

Ścisnął mi się żołądek.

– Jest w domu?

Marion wskazała głową na kolejny odchodzący od kuchni krótki korytarz. Dojrzałam kilkoro zamkniętych drzwi i kratowane wejście do spiżarni.

– Idź się przywitać.

– Czy on... Czy on żyje?

Przez przedłużającą się chwilę milczała. A potem:

– Tak, Ivy. – Bez cienia irytacji. – Żyje.

Wstydząc się, że zadałam takie pytanie, ale jednocześnie nie mając pewności, czy jej wierzę, wyszłam na korytarz.

– Pierwsze drzwi na lewo – usłyszałam.

Przekręciłam gałkę i lekko pchnęłam drzwi. Do gniazdka podłączona była nocna lampka, tandetna bursztynowa muszla rzucająca delikatną poświatę na wyciągniętego na podłodze mężczyznę w białym T-shircie i bokserkach. Leżał na plecach, z lekko rozrzuconymi rękami, usytuowany tak, że od drzwi widać było podeszwy jego stóp.

Krzyknęłam. Był to na wpół zduszony krzyk pod tytułem „właśnie zobaczyłam karalucha”, dlatego że nawet kiedy otworzyłam usta, widziałam, że mężczyzna oddycha.

– On żyje – powtórzyła Marion.

– Co mu zrobiłaś?

Przycisnęłam dłoń do szyi, przypomniawszy sobie uczucie, które ogarnęło mnie po wejściu do domu. Jakbym miała zaraz odpłynąć. Bez względu na to, co to było za zakłęcie, unosiło się w powietrzu, wpływając na przebywające w domu osoby.

– Nic mu nie jest – dobiegł do mnie jej głos.

Trudno mi było się skupić na twarzy mężczyzny. Wydawało się to niemal nieprzyzwoite, bo przecież on nie mógł odpowiedzieć spojrzeniem. Skupiłam się zamiast tego na jego dłoniach i białej koszulce. Zaciągnęła go tutaj czy po prostu się przewrócił w tym właśnie miejscu?

– Obudź go, Marion.

– Nie – odparła. Wydawała się dotknięta moimi słowami. – Potrzebuję jego domu.

Odwrociłam się w jej stronę.

– To jest podłe. Jak mam ci zaufać po tym, co mi pokazujesz?

Wsunęła sobie koniuszek języka między zęby.

– Gdybym ci nie pokazała, wtedy dopiero nie powinnaś mi zaufać.

– Są w tym domu inni ludzie?

– Ma to znaczenie?

– Dla nich tak!

– Pytam, czy ma to znaczenie dla ciebie. W czasie, kiedy śpią, nie umrą, nie zestarzeją się ani nie będzie im się chciało pić. Są na tyle bezpieczni, na ile jest to możliwe w tym świecie. Ich dom spełnia pewną rolę, a kiedy skończę, to im go oddam. No więc. Ma to znaczenie?

– Oczywiście, że tak – odparłam uparcie. – To przecież ludzie.

– Których na świecie jest tak dużo. – Boże, ton głosu miała taki lekki. Na widok mojej miny zaśmiała się i dodała: – Ivy, oni znajdują się we śnie. Okej? Dobrym śnie, w którym są razem: mama, tata i dziecko. W łazience wisi zdjęcie, cała ich trójka w jednej z tych łodzi, tych fikuśnych włoskich łodzi. – Czekala.

– W gondoli – powiedziałam zwięźle.

– W gondoli. Tak. Śni im się ten dzień, kiedy pływali gondolą.

Otarłam dłonią usta.

– A więc to robią czarownice? Bawią się ludzkimi umysłami, aby zdobyć to, czego chcą?

– Jestem okultystką – warknęła – i nikt nie potrafi tego, co ja. Cóż. –  
Wysunęła szczękę, po czym ją cofnęła. – Prawie nikt.

Przełknęłam ślinę. Musiałam pomóc tym ludziom i tak właśnie zrobię.  
Ale kilka dodatkowych minut snu nikogo nie zabije.

– Kto jeszcze? – zapytałam. – Moja mama?

Prychnęła lekceważąco.

– W takim razie kto?

– To jest rzeczywiście ważne pytanie.

Sięgnęła za siebie. I z teatralnym gestem zaprezentowała złote pudełko.

Na jego widok w czyichś rękach mój mózg syknął: „To moje”. Kiedy jednak sięgnęłam po pudełko, Marion je odsunęła.

– Jeszcze nie.

– Jak to jeszcze nie? Na co czekasz? Po co je zabrałaś?

– Zadaj inne pytanie. Zapytaj mnie: Co się w nim kryje?

Przełknęłam ślinę.

– No więc co?

Zsunęła się z blatu.

– Chodź ze mną.

Wyszłam za nią na taras, a stamtąd nad basen. Marion postawiła pudełko na betonie i rozpięła dzinsy.

– Rozbierz się – rzekła.

– Po co?

– Basen jest jednym z powodów, dla których wybrałam ten właśnie dom.

– Zdjęła przez głowę koszulę. – On nam ułatwi.

– Co ułatwi? – Ale już się rozbierałam.

– Do basenu – poleciła, kiedy skończyłam.

Woda okazała się ciepła i głębsza, niż się spodziewałam. Wokół moich kostek zawirowały mokre liście. Marion stanęła obok mnie, oświetlona na niebiesko i z nieodgadnioną miną.

– Dużo o tym myślałam. I wydaje mi się, że woda pomoże.

Włożyła mi w dłonie pudełko. Nawet na tle niebieskawej wody świeciło własnym światłem.

– To niebezpieczne, tak? – zapytałam chrapliwie. – To, co się kryje w środku?

Kiwnęła głową.

– Jak mam otworzyć?

– Krwią. – Marion trzymała teraz w ręce coś innego: nóż. Musiała wyjąć go z drewnianego bloku w kuchni. Oczy miała szeroko otwarte, tęczęwki niemal niewidoczne w świetle księżyca. – Mam to zrobić?

– Nie.

Zacisnęłam dłonie na złotym pudełku i nagle nie byłam już dziewczyną, którą znałam. Nie byłam ostrożna ani pełna strachu. Czułam głód, płonęłam, byłam gotowa zanurkować. Wzięłam nóż, przycisnęłam czubek do opuszki kciuka, a potem docisnęłam krwawiące miejsce do pudełka.

– Tak?

Ale ja już wiedziałam.

Pudełko nie jarzyło się ani nie szumiało. Jedynie ogrzewało mi skórę, mięknąc niczym tabliczka wosku. Widziałam teraz spaw i zamek, jakby zawsze tam były. Obok mojego ciała w wodzie znajdowało się inne ciało, ale teraz było daleko ode mnie, daleko. Zostałam sama.

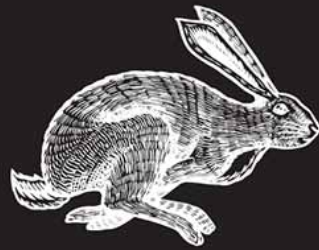
Wsunęłam paznokiec w spaw, a przed oczami przebiegała mi potencjalna zawartość: stare listy, zdjęcia, notes wypełniony nieczytelnym pismem mamy. Magiczny guzik, kolorowe pierścienie. Nie czułam się jak Pandora, nie do końca wierzyłam, że balansuję na krawędzi. Nadal sądziłam, że to, co kryje się w pudełku, jest czymś, co mogłabym wziąć do ręki i przytrzymać.

Uniosłam wieko.

I obudziłam się.



# CZĘŚĆ II





## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY



### Gdzie indziej

DANA PCHNĘŁA MARION I PATRZYŁA, JAK SPADA, coraz niżej i niżej kolorowanym wiatrem korytarzem lustrzanego świata. Ostatnie, co zobaczyła Marion, nim zamknęła oczy, była zbliżająca się do szkła pięść Dany.

„Dobrze” – pomyślała.

Ale to było wtedy, kiedy jeszcze wierzyła, że umrze.

Marion miała rację. Astrid Washington okazała się wyjątkową czarownicą. Królestwo, które dla siebie stworzyła, to miejsce dla jej duszy, do którego wpadła Marion, stanowiło idealne odwzorowanie domu, w którym zginęła.

Z korytarzy wchodziło się do pomieszczeń pełnych książek, szachów i lusterek, porcelanowych filiżanek i kostek cukru wyglądających, jakby je zrobiono z kości słoniowej. Za oknami rozpościerało się płaskie, złowrogie niebo: dom na zawsze tkwił w tym późnym, sierpniowym wieczorze, kiedy Astrid Washington umarła. W większości umarła. Znajdowała się tutaj sala balowa, gdzie słyhać było sympatyczną muzykę, pokój do bilardu, oranżeria i bar z ciemnego drewna. Ustawione tam butelki wykonano z finezyjnie ciętego szkła, ich zawartość zaś nigdy się nie kończyła.

Marion w końcu napiła się z każdej z tych butelek. Alkohole okazały się gorzkie, przesłodzone lub ostre niczym błyskawica, przesywając jej język



i przypominając czasy, kiedy żyła pod prawdziwym niebem, w zaludnionym świecie.

Nie mogła się upić, ale i tak piła. Grała w szachy i bilard, jak dziecko pozostawione samemu sobie. Działo się tak, kiedy minęła najgorsza rozpacz, pierwszy okres desperacji związanej z uwięzieniem. To przychodziło falami, okropność tego, co jej uczyniono – eksmitowano ze świata i umieszczono w tej oto poczekalni. Tymczasem miały miejsce długie okresy surrealistycznego spokoju. Biegała wtedy po słabo oświetlonych korytarzach i przymierzała wyciągnięte z kufrów ubrania. Kładła się i czekała na sen, który nigdy nie nadchodził, tańczyła sama do tej niemilknącej, nieznośnej muzyki. Sama. Sama.

Nie można tu było umrzeć. Kiedy się tu zjawiała, Astrid użyła wyjątkowo bezwzględnej magii, aby usunąć wiążącą je sieć; w innym miejscu coś takiego by je zabiło. Niektórych rzeczy nie dawało się cofnąć.

Co nie znaczy, aby miało to większe znaczenie. Związane czy nie, i tak były na siebie skazane.

Astrid okazała się bardzo zmienna. Szaleństwo towarzyszące długiemu uwięzieniu odcisnęło na niej swoje butwiejące piętno. Przez jakiś czas nie posiadała się ze złości, aż w końcu pozostawiła Marion samą sobie. Czasami, kiedy wpadały na siebie na którymś z korytarzy, Marion gotowa była przysiąc, że ta kobieta zapomniała, kim ona jest. Z czasem zaczęła gardzić Astrid tak, jak gardziłoby się słońcem, które się pokazuje tylko raz w tygodniu, na godzinę, pozostawiając po sobie coraz większy chłód.

Mroczne królestwo okultystki było miejscem, które odzierało ze wszystkich zbędnych rzeczy. A kiedy wszystko zdążyło już zniknąć – kurczowe trzymanie się przez Marion rzeczywistości, jej ziemskie pragnienia, cały możliwy tłuszcz z ciała i resztki kolorów, jakie zapewniło jej słońce – pozostało tylko to: niekończąca się kroplówka wściekłości. Wypaczała jej wzrok i sprawiała, że czuła mrowienie w opuszkach palców.

Ale wściekłość nie była użyteczna. Dlatego Marion pielęgnowała ją tak długo, aż ta wyrosła na coś innego: ambicję. Szaleńcze pragnienie, aby

uciec z tego miejsca i kazać Danie zapłacić za to, co zrobiła. Musiała tylko znaleźć sposób, aby tego dokonać.

Często brała do ręki tanią, złotą zawieszkę, połączone z trzech części serce, do którego przytwierdzone były trzy łańcuszki. Krawędzie serca, które przejechało po szyi Dany, ubrudzone były jej wysuszoną, czerwonawobrazową krwią. Marion zdrapała ją paznokciem i umieściła w tabakierze.

A później, kiedy w jednej z ksiązek Astrid natrafiła na odpowiednie zaklęcie, wiedziała już, dlaczego tak skrupulatnie przechowywała krew Dany.

To było zaklęcie szpiegujące.

Do ciężkiej, srebrnej misy Marion spokojnie nalała wody. Posypała jej powierzchnię sproszkowaną krwią Dany, wypowiedziała słowa zaklęcia i czekała na to, co się stanie. Pojawiła się opalizująca mgła, a potem jakaś postać: rude włosy Dany. Jej gniewne usta.

Nachylona nad medium Marion obserwowała.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI



Miasto  
*Wtedy*

LATO SIĘ WYPALIŁO. Liście pożółkły i opadły dosłownie w jeden weekend, zostały zdeptane, a potem zupełnie zniknęły. Ja i Fee nadal całe dni spędzałyśmy razem, ale było inaczej – po raz pierwszy przestrzeń między nami wypełniało coś, czego nie ośmielałyśmy się wypowiedzieć na głos. Może gdyby mój tata nie był taki chory, doszłoby między nami do tak potrzebnej kłótni. Pozostawiłybyśmy to za sobą, deklarując, kim i czym jesteśmy po tej drugiej stronie. Ale był chory, a do kłótni nie doszło.

Ze strachu porzuciłyśmy magię. Choć nie dysponowałyśmy już mocami podkreconymi przez Astrid, a jedynie własnymi, po Marion nie ośmielałyśmy się ich użyć.

Świat po drugiej stronie magii był taki płaski, taki szary.

Kiedy chodziłyśmy do drugiej klasy, nikt nie zwracał na nas uwagi. Rok później wyglądało to zupełnie inaczej. Do tego czasu Fee miała już metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, bordowe usta, czarne ubrania i burzę falistych włosów, dzięki czemu wyglądała jak siostra upadłego anioła.

Nie minął tydzień, a miała sekretną dziewczynę, filigranową blondynkę, która w pustej toalecie podziękowała mi za to, że je kryję. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że dziękuje mi za bycie publiczną dziewczyną Fee, tą fałszywą, która przyjmie na siebie cały impet.

– Nie ma sprawy – mruknęłam.

Cały ten *shit*, z którym, jak sądziłam, będziemy musiały się mierzyć – pisane szminką wyzwiska, wgapienie się na korytarzu – w ogóle nie miał miejsca. Ja poruszałam się po szkole tak samo, jak zawsze, czyli przebywając we własnej bańce. A z Fee nikt nie zamierzał zadzierać.

Oczywiście płaciłam dziesięcinę za to, co zrobiłam Marion. Płaciłam ją nocą. Moje sny były niekończącą się serią soli, krwi i rozbitego lustra, którym towarzyszył śmiertelny krzyk królika.

Ale miałam na głowie inne zmartwienia. Mój tata umierał. Najpierw wychodził tylko do sklepiku na rogu po chipsy, piwo i gumy Nicorette. Potem w ogóle nie opuszczał już domu. A jeszcze później wujek Nestor trzymał moje dłonie i mówił o przyszłości, na którą ja w ogóle nie chciałam patrzeć.

Tata pociągnął jeszcze przez chłodną wiosnę, która niechętnie przeszła w czerwiec. W pewien jasnoniebieski wtorek otworzyłam oczy i już wiedziałam. Powiedziała mi to przypominająca plastelinę cisza. Zadzwoniłam do wujka Nestora, jeszcze przed otwarciem drzwi do pokoju taty.

Wujek przytulał mnie mocno, kiedy wynosili go sanitariusze. Mojego tatę. Ciało taty, które za bardzo eksploatował, a za mało kochał.

Wujek Nestor mówił do mnie:

– U nas zawsze będzie twój dom. Dopóki żyję, będziesz miała ojca.

Próbowałam się skupić na jego twarzy.

– Dziękuję – powiedziałam.

Pakując swoje rzeczy, czułam się jak dziewczyna z jakiejś książki. No bo tak to wyglądało, prawda? Rodzice muszą zostać wyeliminowani, aby twoje życie się zmieniło, żebyś mogła zamieszkać w wagonie albo chatce w lesie, albo w magicznej szkole dla wątpiących. Kiedy później na łóżku Fee otworzyłam walizkę, po minie przyjaciółki zorientowałam się, że zrobiłam to nie tak, jak trzeba. Zabrałam ze sobą rzeczy przypadkowe i bezsensowne, więc zaczęła się o mnie martwić.

Mój ojciec zmarł we wtorek, a w czwartek przeprowadziłam się do Fee i wujka Nestora. Kilka tygodni później skończyłam siedemnaście lat. Nie minęło dużo czasu, a całe dzieciństwo zaczęło mi się jawić jako sen.

Do kłótni, którą Fee i ja tak długo odkładałyśmy, doszło rok po drugim przywołaniu. Dzień przed dziewiętnastymi urodzinami Marion. Fee obudziła mnie, kiedy niebo było jeszcze srebrne, szepcząc mi do ucha:

– Chodźmy nad jezioro.

Wymknęłyśmy się razem tak jak dawniej i udałyśmy się w kierunku wschodnim. Fee padła na kolana i popatrzyła na wodę, tam, gdzie świat się zginał, znikając z oczu. W końcu westchnęła i przeczesła palcami obu dłoni splątane włosy.

– Dziś wieczorem. Musimy przynajmniej spróbować.

– Spróbować. – W głowie miałam jeszcze senną mgłę. – Ale co?

Spojrzała na mnie, a jej twarz była tak naga, że w końcu zobaczyłam, jak wiele przede mną ukrywała.

– Znaleźć Marion.

Serce zaczęło mi walić jak młotem.

– O czym ty mówisz?

– Bez przerwy o niej myślę. Kiedy patrzę w lustro. Kiedy nie mogę zasnąć. Kiedy, nie wiem, kiedy przez chwilę dobrze się czuję i myślę o tym, że ona nie. – Spojrzenie miała błagalne. – Chyba nie dam rady żyć sama ze sobą, jeśli nie spróbujemy.

– Ona nie żyje – powiedziałam piskliwie. – Mój Boże, Fee... przez cały ten czas sądziłaś, że Marion żyje?

– Nie może być martwa. Gdyby tak było, to by znaczyło, że ty... że ty...

– Że ja co? Powiedz to.

Odwróciła wzrok w stronę wody.

– Potrzebujesz, abym to ja była tą złą? – zapytałam. – W porządku. Zrobię to dla ciebie. Ale najpierw musisz pogodzić się z tym, że Marion nie ma.

Nie żyje. I ten los mógł spotkać albo ją, albo nas wszystkie.

Fee niespokojnie pokręciła głową.

– Nie wiemy tego. Nie wiemy, co zrobiłaby Astrid. Nie widziałyśmy, jak Marion ginie.

– Nie musiałyśmy.

– Odtwarzam to w swojej głowie, cały czas, i ja...

– Przestań. – Oparłam głowę na kolanach. – Ja też to cały czas odtwarzam. Jedynym sposobem na uwolnienie się z tamtego kręgu było zabicie jej. To był jedyny sposób na wydostanie się z tego bajzlu, który narobiła, a którego nie chciała nawet spróbować posprzątać. Czasami myślę, że nóż byłby bardziej litościwy. To, co zrobiłam... – Obróciłam głowę, aby spojrzeć w smutne oczy przyjaciółki. – Przepuszczalnie nie nastąpiło to szybko.

Czasem wyobrażałam to sobie. Jeśli upadek jej nie zabił, Astrid utrzymywałaby ją przy życiu do czasu, aż znalazłaby sposób na to, żeby je rozłączyć. Może najpierw torturowała Marion. Może pozostawiła ją, aby wędrowała przez ten półświat, do którego ją wysłałam, by cierpiała, niknęła i w końcu zginęła, jak ta dziewczyna w starej balladzie.

Ale żadna śmierć, która przychodziła mi do głowy, nie była gorsza niż alternatywa: pozostanie przy życiu.

– Naprawdę, Fee. – Nagle mój głos stał się niewiele głośniejszy od szeptu. – Nie zniosłabym tego, gdyby żyła. Nie dałabym rady myśleć, że żyje, jest uwięziona i przetrzymywana przez Astrid. Sama. Nie potrafię tak. Ona jest człowiekiem z krwi i kości, Fee. Nie mogła przeżyć czegoś takiego.

Szukałam w jej oczach potwierdzenia tego, co wiedziałam, że jest prawdą, co musiało być prawdą. Szukałam rozgrzeszenia. Fee wzięła drżący oddech.

– Marion nie żyje – powiedziała.

Spoglądała na wodę dumnie wyprostowana, a jej głos brzmiał tak surowo, że można by pomyśleć, że to ona mnie przekonuje.

Zaczerpnęłam powietrza, a dojmujący ciężar poczucia winy w końcu zelżał.

– Ona nie żyje.

Obserwowałyśmy, jak mewy się wznoszą i nurkują, koziółkując w powietrzu i skubiąc fale. Fee odmówiła szeptem modlitwę za Marion i żadna z nas nie zastanawiała się na głos, czy trafiła ona do miejsca, gdzie ta modlitwa jest w stanie dotrzeć.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI



Miasto  
*Wtedy*

ZARAZ PO UKOŃCZENIU LICEUM FEE I JA wprowadziłyśmy się do kawalerki w ponurym bloku na Broadwayu, naprzeciwko stuletniego klubu jazzowego, którego neon wypełniał nasze mieszkanie zielonym światłem.

Fee od razu dała nura w prawdziwe życie. Staż u *yerbery* w Pilsen, praca w wydziale do spraw zieleni, seria związków z dziewczynami, które nie miały pewności, czy lepiej mnie sobie zjednać, czy na mnie uważać.

Dla niej skupianie się na przyszłości wydawało się takie proste. Ja natomiast miałam problem z przewidywaniem, jak zakończy się dany dzień. Sześć dni w tygodniu pracowałam w Golden Nugget – z domu wychodziłam przed szóstą, wracałam koło czwartej, a potem miałam cały wieczór do wypełnienia. Połowę tego czasu spędzałam sama. Nasze mieszkanie było za małe, aby zapraszać gości, a Fee nigdy długo nie była singielką. W te wieczory, kiedy wychodziła, ja zaparzałam sobie kawę, puszczałam płyty z kolekcji taty i ze zdradzieckim uczuciem ulgi witałam zachód słońca. Lubiłam siedzieć po ciemku i obserwować, jak neon klubu jazzowego błyszczy i mruga, niczym pechowa kobieta w liniejącej zielonej sukience.

Z bistro zwolniono mnie w niedzielę, dziesięć miesięcy po ukończeniu szkoły, za to, że na kolana radnego miejskiego wylałam kawę.



To był stały bywalec, pretensjonalny facet z głosem naganiacza i czerwonymi policzkami. Nie zajmował stolika w mojej sekcji, ale gdy przechodziłam, dotknął mojej talii i mocno uszczypnął.

– Dolejesz do pełna?

Jego palce parzyły mnie przez poliestrową koszulę. Byłam po kilku zaledwie godzinach snu, w mojej głowie nadal pływały powolne sny w kolorze różowym. Przyniosłam dzbanek, napełniłam kubek, po czym pchnęłam go dzióbkiem dzbanka. Dopiero kiedy z krzykiem wyskoczył z boks, zdałam sobie sprawę z tego, co zrobiłam.

– Zrobiłaś to specjalnie. – W jego głosie słychać było zdumienie. – Zrobiła to specjalnie!

Mój szef Sergio podbiegł z naręczem serwetek. Za nim przydreptała jedna z kelnerek, niosąc miseczkę z kostkami różowego lodu.

– Wynocha! – mruknął Sergio, a ja w tym czasie już rozwiązywałam fartuch.

Zabrałam swoje rzeczy, a kiedy szłam szybkim krokiem do wyjścia, ktoś mnie zatrzymał – wyskoczył ze swojego boks i stanął mi na drodze.

– Hej. Nowak.

Zamrugalam: twarz z innego życia.

– Linh.

Linh, która pracowała w Metro; Linh, która rozmawiała ze zmarłymi. Nie widziałam jej od tamtego dnia, kiedy poszłam ją błagać o pomoc z Astrid.

– To było świetne – orzekła. – Lepszego dupka do obłania kawą nie mogłaś wybrać.

Linh miała dwadzieścia kilka lat, grzywkę zachodzącą na brwi i kreski wykonane eyelinerem, które wyglądały jak z szablonu. Miała na sobie obciętą bluzę z napisem GO TO HELL KITTY, a czarne włosy poniżej uszu nabierały odcienia rozrzedzonej moreli.

Obejrzałam się, aby sprawdzić, czy idzie tu Sergio.

– Dzięki. Tyle że właśnie zostałam zwolniona.

– Powinnaś awansować. Ten koleś to zakąła okolicy. Raz podbijał do mnie w barze, pytał, czy umawiam się z białymi facetami. Odparłam, że jasne, może, ale nie umawiam się z czerwonymi.

– Ha. – Nadal spodziewałam się w każdej chwili mięsistej dłoni Sergia na ramieniu. – No to spadam.

– Zaczekaj. – Przygryzłam wargę. – Mogę ci postawić śniadanie? Oczywiście nie w tej spelunie. Bojkot. Jeszcze nie złożyłam zamówienia, możemy pójść w jakieś inne miejsce?

Zastanawiałam się, co Linh robi sama w tej nudnej rodzinnej restauracji, zamiast siedzieć z przyjaciółmi w jakiejś hipsterskiej knajpce z brudnymi łyżkami. Dopuściłam do siebie myśl, że ona także jest samotna.

Poszłyśmy do szwedzkiej naleśnikarni kilka przecznic dalej. Linh wsypała sobie do kawy niewiarygodnie dużo cukru, wzięła łyk i pokiwała z satysfakcją głową.

– Dobrą tu mają kawę.

– A czy w ogóle ją jeszcze czujesz?

Spojrzała na mnie wyniośle.

– Zmarli kochają cukier. Są bardziej skorzy do rozmowy, kiedy mam go w oddechu.

– Serio? To fajnie. – Po raz pierwszy od wieków myśl o czymś nadprzyrodzonym nie ścisnęła mi serca. – Te duchy po prostu się zjawiają i zaczynają do ciebie mówić? Czy jak to działa?

Linh odstawiła kubek.

– Jeśli duch sam do mnie przychodzi, nie wróży to nic dobrego. O wiele, wiele lepiej, kiedy to ja się bawię w podchody. A jeśli rzeczywiście któryś mnie odszuka, nigdy nie chodzi o mnie, wiesz? Na ogół martwi zajmują się własnymi sprawami, a to żywi rozpaczliwie szukają z nimi kontaktu. – Uśmiechnęła się blado. – W tym miejscu ty pytasz o swoich zmarłych. Czy wokół ciebie kręcą się jakieś duchy.

Przed moimi oczami pojawił się obraz: Marion przy moim ramieniu, przeczesująca mi widmowymi palcami włosy. Chwyciłam się stolika tak

mocno, że aż zabrzęczały naczynia.

– Hej. Nie. – Linh chwyciła mnie za rękę. – Nie chciałam cię wystraszyć, po prostu wszyscy zadają mi to pytanie. Jak ludzie liczący na darmową poradę od lekarza. Jesteś czysta, masz moje słowo. Żadnych duchów.

Spuściłam wzrok, skupiając się na przeciągnięciu trójkąta naleśnika przez kałużę sosu z brusznicą tak, by nie trząś mi się widelec. W mojej wyobraźni do Marion dołączyli rodzice, gromadząc się za mną niczym bukiet zamglonych róż.

Nie, nie, nie, powtarzałam sobie w myślach, i to właśnie było najbliższe modlitwie.

Linh grzecznie patrzyła w swój talerz.

– To zabawne – rzekła, jakbym wcale nie była w rozsypce. – Bez względu na to, jak dużo jem cukru, moje własne duchy nie zbliżają się do mnie. Potrafię przekopać się przez trzy pokolenia zmarłych jakiejś tam osoby, aby odzyskać dawno utracony przepis na ryż jollof, za to swoich nie mogę nawet zapytać...

Linh urwała. Przeczesiła palcami rozjaśnione, morelowe końcówki. A potem spojrzała na mnie.

– Twój problem z tamtym duchem... Rozwiązał się?

Zaśmiałam się ponuro.

– Tego bym nie powiedziała.

– Źle się czułam z tym, co zrobiłam. Że odesłałam cię z kwitkiem. Powinnałam przynajmniej posłuchać.

– Dobrze, że tego nie zrobiłaś. Z tej sytuacji nikt nie wyszedł bez szwanku.

– Ty też?

Zadała to pytanie takim tonem, jakby rzeczywiście chciała wiedzieć. Więc jej powiedziałam.

– Od dzisiaj nie mam pracy, a nawet kiedy miałam, ledwie mnie było stać na połowę czynszu za kawalerkę. Moi rodzice nie żyją. Mam jedną przyjaciółkę i w życiu mi tego nie powie, ale wiem, że jestem dla niej

ciężarem. A co rano, kiedy otwieram oczy, myślę sobie: „Rany, nie mogę się doczekać, aż pójdę wieczorem spać!”.

Zaśmiałam się. Linh nie. Zbliżyła do ust kubek mokrego cukru i widać było, że zastanawia się, co powiedzieć.

– Potrzebujesz pracy? – zapytała.

– Naprawdę? – Nachyliłam się. – No pewnie. W Metro szukają kogoś? Niedługo skończę dziewiętnaście lat. Nie jestem za młoda?

– Nie w Metro. To byłyby bardziej... zlecenia.

Dopiero po chwili kliknęło w mojej głowie.

– Och. *Sorry*, nie. Nie zajmuję się już magią.

Znieruchomiała z widelcem w drodze do ust.

– Nie zajmujesz się czy nie możesz?

– Nie zajmuję. Nie chcę.

– A chcesz powiedzieć dlaczego?

Pokręciłam głową.

– W porządku. Ale... – Uniosła dłoń z króciutkimi, pomalowanymi na fioletowo paznokciami i pierścionkami wysadzanymi kawałkami kyanitu.

– Zanim odmówisz, wysłuchaj mojej propozycji.

– Masz propozycję?

– No i stawiam ci śniadanie. Napij się jeszcze kawy, dolewki są tu darmowe. No więc tak. Magia. – Ujęła się za brodę. – To coś najbardziej samotnego na świecie.

Do mojej głowy napłynęło kilkanaście różnych wspomnień, nachodzące na siebie klatki filmowe pokazujące, jak to było, kiedy stanowiłyśmy trio. „Nie” – pomyślałam. „Wcale nie”.

A może Linh miała rację? Nawet kiedy zaczynałyśmy razem i kończyłyśmy w tym samym miejscu, w każdym zakłęciu pojawiał się fragment, kiedy przebywało się sam na sam z magią. Fee ktoś raz kiedyś powiedział, że to jest niczym poród. Jeśli masz szczęście, towarzyszy ci partner i na koniec dostajesz dziecko. Ale w trakcie jesteś sama.

– Prawie nikt w tym mieście nie potrafi tego, co ja – kontynuowała Linh. Nie przechwalała się, stwierdzała jedynie fakt. – Nie mam więc kręgu, wiesz? A przynajmniej kręgu mocy. Zamiast tego mam biznes.

– Biznes dla praktykujących. – Skrzyżowałam ręce na piersi i odchyliłam się na drewnianej ławie. – Ale ja tego nie robię. Potrzebna ci sekretarka?

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Część tego, czym się zajmujemy, jest prawdziwa, ale część to po prostu teatr. Potrzebny mi ktoś, kto wie, jak to naprawdę wygląda. Ktoś, kto potrafi sprawić, aby ludzie uwierzyli, że mają do czynienia z czymś prawdziwym.

– Potrzebny ci oszust.

Zmarszczyła nos.

– Potrzebny mi ktoś, kto potrafi docenić teatralną stronę magii, wiesz? Kto sprawi, że ludzie chcą wierzyć.

– Och. Potrzebny ci ktoś, kto potrafi wciskać kit.

Wyszczrzyła się do mnie.

Na chwilę spojrzałam w sufit.

– Nie noszę żadnych spiczastych kapeluszy, Linh. I mam alergię na koty. Nie posiadam ani jednej peleryny. Na pewno mnie chcesz?

Zaśmiała się.

– Ale masz za to rude włosy. Takie naprawdę rude. Moja babcia gonilaby cię ulicą, aby zrobić ci zdjęcie. Sto dolców za imprezę i nigdy nie trwa to dłużej niż dwie i pół godziny. Czasami mniej niż dwie.

– Sto dolców?

– To już po odjęciu mojej działki.

– Co rozumiesz przez „imprezę”? Ile w tygodniu?

Odpowiedziała tylko na drugie pytanie.

– Realnie rzecz biorąc, dwie. Czasami jednak trzy. Zaraz się zacznie nasz sezon, od maja do września. Mam coś dziś wieczorem, możesz iść ze mną. Podejmiesz decyzję, gdy zobaczysz jak to działa.

Już podjęłam. Nawet nie zapytałam, co będę robić. Wkrótce się tego dowiem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY



### Gdzie indziej

MARION SZPIEGOWAŁA DANĘ BEZ KRZTYNY LITOŚCI. Karmiła się życiem Dany, tym, jak ta pije herbatę, szura butami w opadłych liściach i opiera skroń o porysowane szyby w pociągu. Prawdziwa herbata, prawdziwe szyby. Dana spała i jadła, i sikała, i odbijała się od innych ludzi, i nawet kiedy wyglądało to naprawdę lichy, wyglądało także prawdziwie. Wyostrzyło to gniew Marion niczym krawędź diamentu.

Oglądanie tego wszystko, co utraciła, prawie ją złamało. Właściwie to złamało, a kiedy posklejała się znowu w jedną całość, doskonale wszystko rozumiała.

Dana miała cały świat. Miasto pełne nieznanym, kolorowych świateł, rękę na satynowej czaszce pitbulla, kiedy kuca na chodniku i głaska psa, podczas gdy obok czeka zniecierpliwiony właściciel. Stukanie kolejki naziemnej strzepującej jej deszcz na włosy. Placki ziemniaczane zjadane na gorąco z keczupem, prysznic.

Miała wszystko oprócz jednego: bycia gotową. Zdolności zobaczenia zbliżającej się Marion, zanim będzie za późno.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY



Miasto

*Wtedy*

WIECZORY PANIEŃSKIE. OTO MOJA NOWA ROBOTA. Linh zlecała mi przepowiadanie przyszłości, odczytywanie aur, czytanie z ręki i robienie imprezowych sztuczek z dreszczykiem dla pijanych dziewczyn sączących cosmopolitany przez słomki w kształcie penisów.

Okazyjnie kupiłam długą, białą suknię, w której przypuszczalnie ktoś umarł, przed każdą imprezą malowałam sobie na policzkach różem dwa złowieszcze koła, a włosy rozpuszczałam, tak że wyglądałam jak żywcem wyjęta z obrazu Waterhouse'a.

– Dziecko wiktoriańskiej zarazy – orzekła Fee na mój widok.

Nie pochwałała mojego powrotu do magii – a raczej jej podejrzaney kuzynki – natomiast dość szybko odpuściła sobie przewracanie oczami.

Dlatego, że dziwne, ale niemal polubiłam to zajęcie. No i okazałam się w tym całkiem dobra. Magia, którą udawałam, że władam, była tak teatralna, że wszystko robiłam z przymrużeniem oka. Zdarzało się, że rzeczywiście coś udało mi się dojrzeć – promienną pannę młodą, którą strach obleciał, druhnę z trucizną w sercu – i nachylałam się ku temu doznaniu niczym były palacz upajający się czymś dymem. Ale wszystko, z czym miałam obecnie do czynienia, jedynie w minimalnym stopniu przypominało gorącą, prawdziwą magię.

Tego rodzaju praca sprawiła, że moje nocne tendencje przerodziły się w styl życia. Kolację zjadałam w środku nocy i przesypiałam dzień z T-shirtem na oczach. Latem fajnie było się budzić w złotej godzinie, ale



odkąd nastał październik, przestałam oglądać słońce. Kiedy Linh mi przypomniała, że przez jakiś czas będzie mniej zleceń wiedziałam, że muszę poszukać sobie czegoś, co pozwoli mi przetrwać do wiosny. Zaczęłam wysyłać podania o pracę w miejscach w mojej okolicy, a przyszłość rysowała się coraz mniej różowo.

Ostatnie zlecenie miałam w dziwnie ciepły listopadowy piątek, zaraz po Halloween. Powiedziano mi, że to kolejny wieczór paniński, kiedy jednak dotarłam na miejsce, bardziej to wyglądało jak domówka – butelki z piwem, hummus w pudełkach i ludzie palący w oknach. Drzwi otworzyła panna młoda: czarnoskóra dwudziestokilkulatka w bokserce, ogrodniczkach i dużych, seksownych okularach.

– Ty jesteś tą wróżką? Podoba mi się twój *look*.

Zaprowadziła mnie do swojego pokoju, który mieścił się na samym końcu mieszkania. W ten wyjątkowo ciepły wieczór okna były otwarte, a na moskitiery napierały nagie gałęzie jesionów.

– No dobra. – Panna młoda uniosła ramię. – Rozłokuj się. Przyniosę ci coś do jedzenia. Piwo czy wino?

– Woda. Proszę.

Po jej wyjściu rozejrzałam się. W stojących na toalecie tybetańskich miseczkach leżały garście biżuterii wykonanej z miedzi i koralików. Nad niezbyt starannie zasłanym łóżkiem wisiała jakaś abstrakcja. Pościel miała kolor śródziemnomorskiego błękitu. Popatrzyłam na półki z książkami. Ach, klasyka.

Wróciła panna młoda z papierowym talerzykiem uginającym się pod burymi dipami, sałatką i tłustą kałużą pesto, po czym zostawiła mnie samą. Siedziałam na parapecie i obserwowałam drzewa. Minęła godzina, a muzyka z R&B przeszła w soul, a potem z głośników popłynął jakiś tandetny przebój, który spotkał się z okrzykami niewidzianych gości. Zastanawiałam się, czy panna młoda w ogóle im powiedziała, że tu jestem. W końcu zdjęłam z półki jakąś książkę, następnie ponownie usadowiłam się na parapecie, aby poczytać.

*Wejź do ogrodu, Maud,  
Noc sfrunęła, nietoperz czarny,  
Wejź do ogrodu, Maud,  
Czekam na ciebie tu sam u bramy.*

Drzwi się uchyliły. Najpierw przepraszająco, o centymetr, a potem do końca.

Po raz pierwszy od wieków doznałam przeblysku: pierwszą ujrzałam aurę, a dopiero potem jego. Niebieską, niebieską, niebieską. Przypomniały mi się słowa Fee, które wypowiedziała tamtego dnia, kiedy rzuciłyśmy nasze pierwsze zaklęcie. „Wyglądasz jak otulona niebem”. Wiem, że zbyt długo się w niego wpatrywałam. W końcu się roześmiał, a ja otrząsnęłam się z zadumy.

Biały facet, dwadzieścia parę lat, szczupły, ciemna opalenizna farmera. Biały T-shirt, okulary Elvise Costello, ciemne włosy w stylu rockabilly.

– Twoja aura – powiedziałam bez namysłu. – Jeszcze nigdy nie widziałam tak pięknego koloru.

Ponownie się zaśmiał, lekko zaskoczony.

– Czy to... czy ty mnie podrywasz?

– Nie – odparłam.

Przywołałam się do porządku. Na takich imprezach się nie flirtuje. Równie dobrze mógł to być pan młody.

Zobaczył książkę w moich rękach i rozpromienił się.

– Uwielbiam ten wiersz.

Przez drzwi dobiegła nowa piosenka, jakiś pop, i dołączyły do niego głosy gości. Nieznajomy wskazał na nich brodą i zaczął recytować:

– „A róży tej dusza wślizgnęła się do krwi mojej wtedy, gdy na sali popłynęła muzyka”.

Uniosłam ramiona.

– Och. Nie musisz... proszę, nie rób tego.

– Nie mam być tym dupkiem, który na imprezie recytuje dziewczynom Tennysona?

W oddali niezmiennie śpiewali bracia Hanson.

– Udało się kiedyś?

– Kiedykolwiek? Założę się, że Tennysonowi owszem. Innym facetom nie.

Uśmiechnęłam się.

– Chciałeś, abym ci powróżyła czy co?

– Najładniejsza aura, jaką w życiu widziałas. Dokąd nas to prowadzi?

– Cóż... – Przypomniałam sobie, że już mi za to zapłacono. – To zależy od tego, jak wielką masz chrapkę na tego typu bzdety. Mogłabym opowiedzieć ci o twojej aurze i co ona oznacza. Mogłabym ci także powróżyć z ręki.

– Ale to wszystko to są bzdety, co? – Usiadł na łóżku, kolanami w moją stronę. – Chyba nie powinnaś mi tego mówić?

Oczy miał brązowe, a duże dłonie zaciskał wokół szyjki piwa Rolling Rock. Miał fantastyczne włosy.

– Oto, czego nie powinnam ci mówić – oświadczyłam. – To jest prawdziwe. Magia jest prawdziwa. Bzdetem jest wiara, że ktoś chciałby rzeczywiście poznać swoją przyszłość.

Uśmiechnął się szeroko, nie wierząc przy tym w ani jedno moje słowo.

– Jak masz na imię?

Uznałam, że jest przystojny. Nie sądziłam, aby to rzeczywiście był pan młody. Już widziałam, jak spojrzy na mnie tuż przed otwarciem drzwi do swojego mieszkania, jaki pośle mi konspiracyjny uśmiech. Przewidziałam mnóstwo książek i papierzysk, charakterystyczny dla singla zapach dezodorantu i jedzenia na wynos, o ile dopisze mi szczęście, kocich sików i pleśni, jeśli nie. Nieszczególnie mnie to obchodziło, pragnęłam jedynie spędzić choć kilka godzin wewnątrz tej aury w kolorze nieba.

– Jestem Dana – rzekłam do niego.

Po jego minie widziałam, że dostrzegł podjętą przeze mnie decyzję.

– Miło cię poznać, Dano – odparł. – Jestem Rob.

Niektóre ze słów, jakie wypowiedział do mnie Rob. W listopadzie, grudniu i nowym roku.

– Boże, są takie rude. Prawie jak czerwona kredka. – Leżeliśmy na zimnej trawie w parku Winnemac, Rob wisiał nade mną, tak bym nie musiała mrużyć oczu w zimowym słońcu. – To pierwsze, co zapragnąłem zrobić na twój widok. Zanurzyć palce w tych włosach.

W lokalu serwującym kaczkę po pekińsku, przecznicę od mojego mieszkania, z okularami zamglonymi od pary:

– Jesteś moją dziewczyną, no nie? Sądziłem, że tak, ale potem obudziłem się wystraszony w środku nocy.

W księgarni na Lincoln Avenue, szepcząc mi do ucha, w czasie, kiedy ja przeglądałam tytuły wyłożone na stół z przecenionymi książkami:

– Pracowałem kiedyś w sklepie na Pięćdziesiątej Siódmej. Nadal mam klucz.

Gdy leżeliśmy na futonie pod oknem, a przez okno sączyło się światło latarni. Był początek lutego i oboje udawaliśmy, że nie pamiętamy, że właśnie mijają trzy miesiące, odkąd się poznaliśmy.

– Wiem, że nie chcesz, abym to mówił. – Jego oddech ciepły w moich włosach. – Wiem, że nie jesteś gotowa, aby to usłyszeć. Ale, Dana...

Usiadłam skąpana w świetle. Poszczęściło mi się, w jego mieszkaniu pachniało książkami, kawą i mokrym praniem. I nim, który to zapach zakradał się do mnie, czyniąc mnie w równych częściach niespokojną i rozpaloną, udręczoną i podnieconą. Czasami, kiedy Rob spał i zbyt mocno się do mnie przytulał, mózg mi nakazywał: „Uciekaj, uciekaj, uciekaj”. Po przebudzeniu trzymał mnie delikatnie, jakbym była wróblem na jego dłoni, dzikim stworzeniem, które na widok zakrzywiających się palców od razu odfrunie.

Teraz wstałam szybko z łóżka.

– Nie znasz mnie aż tak dobrze.

Usiadł i na mnie spojrział. Na zamazaną mnie, bo nie sięgnął po okulary. Twarz miał w cieniu, tułów jasno oświetlony niczym jakaś rzeźba.

– Znam cię na tyle, na ile mi pozwalasz. Chcę wiedzieć wszystko.

– Infantylny gadanie. W dodatku kłamstwo. Nikt nie chce wiedzieć wszystkiego.

Włosy mu sterczały niczym fala w filmie o surfowaniu.

– Zgoda. Ale chcę wiedzieć więcej. Kocham... wszystko, o czym wiem. Tyle mi wolno powiedzieć?

Moje ciało było gorące i zimne, chciało zostać i uciekać, mierzyło się ze skrajnymi uczuciami.

– Wiesz wszystko to, co dobre i prawie nic złego. Ja w tobie też kocham różne rzeczy. Okej? Kocham wystarczająco dużo rzeczy, aby robiło mi się niedobrze na myśl, jak to będzie. Kiedy dowiesz się o mnie tych złych.

Kiedy powiedziałam „kocham”, jego twarz złagodniała. Kiedy wypowiedziałam to słowo ponownie wiedziałam, że donikąd się nie wybieram. A przynajmniej nie dziś.

– Co mogłoby być aż tak złe? – zapytał miękko. Dwadzieścia trzy lata, ale jakimś cudem młodszy niż ja w wielu lat dziewiętnastu. – Jesteś mężatką? Należysz do mafii? Stajesz po niewłaściwej stronie windy? Zabiłaś kogoś?

Splotłam dłonie na karku, licząc, że nie usłyszy drżenia w moim głosie.

– Nie robię tego celowo. Nie udaję, nie próbuję być tajemnicza.

Wtedy włożył okulary i rzeczywiście mi się przyjrzał.

– Nigdy bym tak o tobie nie pomyślał. Proszę cię jedynie, abyś odrobinę mi zaufała. Pozwoliła lepiej się poznać.

Mój absolwent. Mój szczerzy mężczyzna. Nadal lubił głaskać moje włosy na poduszce, kiedy zasypiałam.

– Okej – powiedziałam i wróciłam do łóżka.

– Okej? – szepnął mi w szyję.

– Tak.

Zaprosiłam Roba, aby poznał wujka Nestora. Zjawił się z butelką wina o pięć dolców lepszego niż to, co zazwyczaj piliśmy, i nauczył wszystkich grać w kribidź. Fee miała się już okazję kilka razy z nim spotkać, a nim wieczór dobiegł końca, mój wujek także go pokochał.

W maju czułam się jakoś dziwnie, a świat nie docierał do mnie tak, jak powinien. Jedzenie pachniało słodkawo, niczym przejrzały banan. Pracowałam jako kelnerka w greckiej restauracji na Lincoln Square, rzut beretem od mieszkania Roba. W czwartkowy wieczór w czerwcu, zbyt gorący, pikantna woń *saganaki* sprawiła, że pobiegłam do ubikacji i zwymiotowałam.

Kiedy wyszłam, moje stoliki zaczęła obsługiwać kelnerka, którą najmniej lubiłam. Phoebe z czarnymi oczkami szczura, szczupłością pochodzącą z koki, jedyna dziewczyna z personelu mówiąca po grecku, dzięki czemu właściciel pozwalał, aby wszystko uchodziło jej na sucho.

– To Gabriela, prawda? – rzuciła. Gabriel był pięćdziesięciokilkuletnim kucharzem, który lubił wchodzić za dziewczynami do chłodni. – Jeśli będziesz miła, to cię podwiozę do poradni planowania rodziny.

– Nie odzywaj się, kurwa, do mnie. – I pchnąwszy ją ramieniem, zaczęłam się oddalać.

– Słucham? – Podwinęła górną wargę. – Hej. Suka.

W mojej głowie rozlegało się dzwonienie, ciche i dochodzące z wysoka. To była pieśń gwiazd. Wspomnienie z tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy otworzyłam się na magię.

W kieszeni fartucha trzymałam pudełko zapalek. Wyjęłam jedną, przełamałam, wypowiedziałam dwie jasne jak gwiazdy sylaby. Phoebe wrzasnęła, kiedy eksplodował kinkiet obok jej głowy, a na włosy spadł deszcz szklanych odłamków.

Pobiegłam do apteki, a potem w barowej toalecie nasikałam na patyk. Światło było takie słabe, że musiałam go odwracać na wszystkie strony, aby

odczytać wynik. A potem owinęłam patyk w papier toaletowy i wcisnęłam głęboko do kosza na śmieci.

Oparłszy głowę o wilgotną drewnianą futrynę, słuchałam warkotu szafy grającej po drugiej stronie ściany. „Daj mi coś” – pomyślałam. Jakąś wskazówkę. Zza drzwi dobiegły pierwsze dźwięki *Stratford-on-Guy*.

Wzięłam taksówkę, na którą nie było mnie stać, by szybciej dostać się do domu. Z ulicy zobaczyłam poruszającą się w oknie Fee. Zaczęłam wbiegać po schodach. Minęłam pierwsze piętro, potknęłam się i upadłam na jedno kolano. Chwyciłam się za brzuch, po raz pierwszy myśląc o tym, co się tam kryje.

Kiedy otworzyłam drzwi, Fee już do nich szła. Usłyszała, jak upadam.

– Co się stało?

Wczepiłam się w nią, jakbym tonęła.

– Pamiętasz, kiedy byłyśmy małe i wiedziałyśmy, że jedna z nas umrze młodo? Tak jak twoja mama, kiedy cię urodziła i zostawiła moją zupełnie samą?

Oczy miała już mokre.

– Pamiętam.

– Jestem w ciąży.

Moja najlepsza przyjaciółka wzięła głośny wdech. Mocno mnie przytuliła i tak stałyśmy skąpane w zielonym świetle.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY



### Gdzie indziej

DOM OKULTYSTKI BYŁ KRAINĄ usytuowaną między życiem a śmiercią, gnijącą z powodu własnej niezmienności. Marion miała lat osiemnaście, Astrid trzydzieści, zegar zatrzymał się na dwudziestej czterdzieści sześć, a przez każde okno niezmiennie sączyło się bakłażanowe światło tego wieczoru sprzed lat. Tutaj nic nie miało środka, nic nie miało duszy. Alkohol nie upijał, muzyka nie wzruszała, jedzenie wyparowywało na języku. Nawet pozbawione smaku owoce z oranżerii nie miały pestek, a jedynie czarne jamy.

Wyjątek stanowiła biblioteka. Albo to Astrid stanowczo uparła się przy zachowaniu ich zawartości, albo sprawiło to ich własne zaklęcie, tak czy inaczej jej książki były kompletne. Namacalne, czytelne, pełne po brzegi pożywienia, którego Marion nadal pragnęła: informacji.

Pośród ksiąg czarów znajdowały się opowieści, księgi z zaklęciami, mity i legendy. Czarodziejski ogród z trującymi kwiatami. Nie miało znaczenia, czy Marion była urodzoną czarownicą, miała niegodne zamiary, siłę potrzebną do udźwignięcia kosztów czy sabat, który będzie ją wspierał. To miejsce było magiczne. Chłonęła jego potworną atmosferę. Stawała się coraz bardziej żyłasta i twarda, zamieniając się z czasem w coś równie pozbawionego soków i pustego, jak śliwki z oranżerii.

W tym pustym miejscu gromadziła zaklęcia, sztuczki i niebiańskie przepisy. Swego czasu z otwartymi ramionami przyjmowała każdą okazję do pokazania, że jest godna magii, gotowa za nią cierpieć, umrzeć albo



zabić. Teraz była po prostu praktyczna. Wiedza i wiara to wszystko, czego się potrzebuje, oraz wola, którą czas hartuje niczym stal.

A kiedy nie pracowała, Marion zazdrośnie śledziła poszerzający się świat Dany. Ostrzyła swoją wściekłość, nie dopuszczała, aby zgasł jej płomień. Furia i czas były jedynymi pozostałymi jej walutami, i skrzętnie z nich korzystała. Wiedząc, że kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, ona będzie gotowa.

Czas w szpiegującym lustrze płynął trzy razy szybciej. Dana zaszła w ciążę, wzięła ślub, urodziła chłopca, który wyslizgnął się z niej szybko jak ryba, z gęstą czuprynką i oczami, które pozostały niebieskie. Brzuch ponownie zaczynał jej rosnać, kiedy porzuciła miasto na rzecz nieskazitelnie czystego domu na przedmieściach o wiedźmiej nazwie. *Woodbine*<sup>[10]</sup>, szepnął zwinny umysł Marion. *Kapryfolium, dzikie wino, winobluszcz.*

Druga ciąża okazała się trudniejsza od pierwszej. Dana miała wielki brzuch, ale całą resztę wychudłą. W jej żołądku nie pozostawało nic, co zjadła. Marion ani trochę nie było jej żal. Ale gdy zbliżał się czas porodu, coś jednak poczuła. Pełne napięcia wyczekiwanie, przyjemny lęk. Marion wiedziała coś, o czym Dana nie miała pojęcia: tym razem to będzie dziewczynka.

Bóle nadeszły w samym środku nocy, wrywając Danę ze snu i zamieniając ją w zawodzące zwierzę. Półtora kilometra między domem a szpitalem było niczym ciąg czerwonych świateł. Szybko przewieziono ją na wózku przez szpitalne korytarze, następnie położono w sali z zielonymi ścianami.

Astrid żywiła pogardę względem Marion i jej lunety. Ale oto czatowała teraz przy niej, przyglądając się razem z nią. Jedyne, co interesowało jeszcze okultystkę, były przejmujące zasady życia i śmierci. Marion wiedziała, że czeka, by zobaczyć, jak Dana umiera.

Kiedy do sali weszła Śmierć, Astrid syknęła przez zęby. Przybrała postać psa z ciemną sierścią, czającego się w sterylnych kątach pomieszczenia, zerkającego przebiegle na kobietę na łóżku.

„Tak” - pomyślała Marion. I „Nie”. Jej oddech przyspieszył, serce waliło jak młotem. Czowała się jak człowiek. Prawie, znowu. Bolały ją oczy i razem z Astrid obserwowała powierzchnię wody, aby się przekonać, kto wygra.

Dana spojrzała śmiało na posłańca Śmierci. Zdawała się go rozpoznawać. Jej usta się poruszały, tyle że zagłuszały ją urządzenia i pełne przerażenia wysiłki ludzi starających się utrzymać jej duszę w ciele. Żadne z nich nie rozumiało, że liczy się tylko to, kto pierwszy odwróci wzrok, Dana czy pies Śmierci.

Na tle krzykliwych włosów skóra Dany miała kolor owsianki. Dana zacisnęła na niej dłonie i ciągnęła, ciągnęła.

Parła.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY



Przedmieścia

*Wtedy*

BYŁ TAKI MOMENT TUŻ PRZED TYM, jak Ivy się urodziła, kiedy cały świat zrobił się nieszczęsny. Kiedy jego splot rozciągnął się i kiedy widziałam za nim wielką nicość i przestałam się bać, ponieważ ją czułam. Dla niej musiałam być odważna.

Istnieje magia przedmiotów, magia sympatyczna, zaklęcia, które się pichci, wyprasza, wymawia na głos. Świetlista magia i magia tak okrutna, że aby nią władać, trzeba zacisnąć dłoń na ostrzu pozbawionym rękojeści. I istnieje magia zrodzona z czystej woli, bezdźwięczna. Nie, nie czysta: woli zmaconej i zagęszczonej bólem i przerażeniem, a także miłością we wszystkich jej formach.

Całą swoją zagrożoną wolą i całym stwardniałym sercem zwróciłam się do tego stworzenia pływającego i szamoczącego się w środku mnie.

Chodź, rzekłam do niego. Maleńka, chodź.

Stworzenie – dziecko – drgnęło w swojej osłonie. Bało się. Wiedziałam, czego się boi, i raz jeszcze posłałam groźne spojrzenie dyszącemu czarnookiemu psu. Jeszcze nie, tak mu powiedziałam. Siła tej myśli sprawiła, że skulił się w kącie. Pewnego dnia, pewnego dnia. Ale jeszcze nie teraz.

Pies obrócił się raz na podłodze. A potem niczym dym wyslizgnął się przez poluzowany splot tego świata. Kiedy zniknął, ponownie przemówiłam do mojego dziecka. Chodź. Zapewnię ci bezpieczeństwo. Jeśli przyjdiesz.

Ivy przyszła. Z czerwonym, kogucim grzebieniem i pogardliwym spojrzeniem osoby, która zamierza złożyć skargę na to wszystko, na wielkość, jasność i zimno. Nie od razu zapłakała, bo jej szyję oplatała pępowina, wiedziałam jednak, że będzie żyć.

Kiedy w końcu położono mi ją w ramionach, pomyślałam o połówkach mostku i skorupach orzechów włoskich. Nie tul jej tak mocno, nakazałam sobie w myślach. Nigdy nie chciałam, aby Hank czuł się przytłoczony, nigdy nie chciałam, aby Rob się martwił, że umrę, jeśli będzie miał dość i mnie zostawi – ale ona była taka nowa, że nawet mnie nie widziała. Tuliłam ją tak mocno, jak tylko miałam ochotę.

Przychodziło to do mnie nocą. Podczas tych niekończących się pierwszych dni, w te bezbronne, naznaczone światłem gwiazd godziny. Kiedy karmiłam przed świtem, jedyna nie śpiąca osoba na świecie, zdejmował mnie strach przed tym, co być może zrobiłam. Że być może w jakiś sposób zmieniłam Ivy, jej charakter albo chemię. Że sięgając do niej z miłością i magią, obudziłam w niej coś, co powinno spać snem wiecznym.

Myślałam o tym przerażona, wyobrażałam to sobie z dumą. W kolejnych latach ten niepokój zmalał, nigdy jednak nie zniknął. A kiedy Ivy miała sześć lat, moje podejrzania się potwierdziły.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY



Przedmieścia

*Wtedy*

IVY CHASE MIAŁA SZEŚĆ LAT. Uwielbiała kaczki, rysowanie, placek z kajmakiem, a ostatnio dmuchany fioletowy domek, na którym skakała podczas przyjęcia urodzinowego swojej koleżanki Shawny.

Od tamtego czasu każdego wieczoru błyskawicznie zasypiała, aby móc spędzać więcej czasu we śnie o dmuchanym domku. Od tygodnia go dopracowywała i dzisiejszej nocy było przewspaniale. Domek był wielki niczym statek. W powietrzu unosił się zapach chruścików. Trawa była tak pluszowa, że Ivy schyliła się, aby przejechać dłońmi po mięciutkich źdźbłach. Gdyby mama mogła zobaczyć, jakie to jest fantastyczne, zrozumiałaby, że na urodzinach Ivy także potrzebny jest dmuchany domek.

Nadal w samym środku snu Ivy coś sobie uświadomiła. Nie było powodu, dla którego mama nie mogła tego zobaczyć. Przecież znajdowała się raptem na drugim końcu korytarza.

Ivy jakiś czas temu zaczęła podejrzewać, że jej sny – bezkresne, klarowne, w pełni formowalne, aczkolwiek takich akurat słów by nie użyła – są czymś niezwykłym. Dotarło to do niej na skutek reakcji cioci Fee. Ivy opowiadała jej o stworzonym przez siebie śnie, a twarz cioci coraz bardziej nieruchomiała. Kiedy Ivy urwała niepewnie, jej ciocia się uśmiechnęła.

– Ekstra – tak rzekła. – Opowiedz mi o jakimś innym śnie.

Ale ona nie pamiętała żadnych innych snów.

Teraz o tym nie myślała. W swoim śnie była królową. Jeśli tylko miała takie życzenie, potrafiła sprawić, aby trawa była niebieska, z bezchmurnego nieba spadały m&m'sy albo z dmuchanego domku wybiegł szczeniak i wskoczył jej na ręce. Nie rozumiała, dlaczego nie mogłaby w ten sposób dotrzeć także do swojej matki.

Kiedy się skoncentrowała, wyczuwała ją na drugim końcu korytarza. To była jedna z fajniejszych rzeczy w tym śnie: choć Ivy nie miała ich przy sobie, potrafiła wyczuć śpiących mamę, tatę i Hankę. Byli trzema różnymi rodzajami ciepła.

Stojąc w aksamitnym cieniu dmuchanego domku, Ivy zamknęła oczy i poszukała niebieskiego, parzącego gorąca, jakim była jej śpiąca matka.

No i proszę. Dotarła do niej. Pociągnęła i nawet wcale nie musiała robić tego jakoś szczególnie mocno. Mama weszła do jej snu.

Stała na trawie i pustym wzrokiem prześlizgiwała się z jednej rzeczy na następną, mrużąc w słońcu oczy. Aż w końcu zatrzymała wzrok na Ivy.

– Cześć, mamó.

Źrenice jej matki rozlały się niczym plamy atramentu. Otworzyła usta i Ivy usłyszała dwa krzyki: jeden w swoim śnie i jeden poza nim, dobiegający z drugiego końca korytarza.

Obudził ją szok, jakiego doznała. I hałas. Sekunda, dwie i do pokoju wbiegła mama w majtkach i koszulce, z włosami opadającymi na plecy jak u Walkirii. Oczy Ivy były otwarte, a mimo to mama przyłożyła dłoń do jej serca, jakby dopiero po usłyszeniu jego bicia była w stanie uwierzyć, że jej córce nic nie jest. A potem porwała Ivy w ramiona.

– Jak to zrobiłaś? – zapytała rozgorączkowanym szeptem.

– Nie wiem – odszepnęła Ivy. A potem obronnym tonem: – Ale co?

Mama się odsunęła i otarła palcami mokre policzki. Ivy widziała, że myśli.

Potem powoli opadły jej powieki i głowa. Ivy przyglądała się jej z sercem bijącym jak u królika. Minęła co najmniej minuta, nim mama w końcu otworzyła oczy.

– Zgubiłaś ten zegarek od taty?

Ivy poczuła konsternację, której miejsce zajęła po chwili irytacja. Tata pozwolił jej pożyczyć do zabawy swój zegarek do nurkowania i owszem, zgubiła go, ale to nie miało z tym nic wspólnego.

– Hej. – Mama stuknęła ją w kolano. – Nie wpadłaś w tarapaty, mała Ivy. Skoro już tu jestem, to ci pokażę.

Niczym ptak brodzący w płytkiej wodzie złotego blasku księżyca podeszła do jednego z regałów, po czym przed nim kucnęła. Na najniższej półce, na grzbietach innych książek leżała poziomo *The Westing Game*. Mama wzięła ją do ręki i spomiędzy jej kartek wyjęła zegarek.

Ivy patrzyła to na nią, to na zegarek, próbując wychwycić sztuczkę.

– Skąd wiedziałaś, że tam jest?

– Jak mnie wciągnęłaś do swojego snu?

Ivy wysunęła brodę.

– Ty pierwsza.

Mama uśmiechnęła się. Ale tak naprawdę, całym ustami, aż Ivy zrobiło się ciepło w brzuchu.

– Jutro rano – powiedziała mama – obie powiemy sobie, jak to zrobiłyśmy. Umowa stoi?

I tak oto następnego dnia zaczęło się drugie życie Ivy.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY



Przedmieścia

*Wtedy*

– NIEKTÓRE RODZAJE MAGII SĄ DLA KAŻDEGO. Uprawianie różnych rzeczy, pogoda. Księżyc należy do nas wszystkich. Paznokcie, ślina. Możesz być jak ogród.

Nie powiem na razie Ivy o konieczności wrywania chwastów. Tak wiele było w niej mnie, że w końcu sama się tego dowie.

– Niektóre rodzaje magii są właśnie dla ciebie, to ta magia, która płynie w twojej krwi. Każdego karmią inne źródła, inne tradycje. Magia ludowa, magia mityczna, mnóstwo jest tego w naszym drzewie. Musisz być ostrożna, musisz nie zwracać uwagi na to, czym dysponują inni. Twoja ciocia i ja... – Tutaj musiałam otoczyć to, co mówiłam córce szerokim wąwozem. – Kiedy byłyśmy młode, przekonałyśmy się, że nie wolno czerpać ze źródeł, które do nas nie należą.

– Czerpać? – Gładkie czoło Ivy zmarszczyło się.

– Kraść. Pożyczać, jeśli starasz się to usprawiedliwiać. Ale nie masz tego robić. Kiedy będziesz starsza, możemy głębiej zanurzyć się w to, co jest nasze. Na razie trzymajmy się tego, co uniwersalne.

Sądziłam, że studnia, z której czerpałam swoją magię, została już na zawsze naznaczona darem Astrid. Że gdyby prześwietliło się mnie, widać by było, jak rzuca cień na moje kości. Ale ta magia, która wróciła, gdy pracowałam z Ivy, wydawała się taka czysta.

Od samego początku okazała się przyjazna dla Ivy. Zaczęłyśmy z Fee od tego, co proste: leczniczych nalewek, rytuałów oczyszczających,



wskazówek tarota. Talizmanów, amuletów, manipulacji energią, które sprawiały, że z piskiem zachwytu pstrykała palcami, aby ogień przeskakiwał ze świecy na świecę.

Ivy okazała się pojętną uczennicą. Do zaklęć nie podchodziła z ciepłym Fee, bezbronnością Marion czy moim ożywionym poczuciem celu. Magia była dla niej żywą książką pełną opowieści, tajemnic i nieznośnych sprzeczności. Lubiła te fizyczne przygotowania, następujące przed samym bum.

Niełatwą sprawą okazało się przekonanie Ivy, aby ukrywała to przed Hankiem. Pragnęła dopuścić go do naszej tajemnicy, lecz Rob stanowczo się temu sprzeciwił. Rob, który w kwestii mojej przeszłości wiedział tylko tyle: że miałam młodzieńczą przygodę z tym, co nadprzyrodzone, i że znana mi dziewczyna umarła z tego powodu. Że czasami po nocnym koszmarze wycofywałam się w głąb siebie, aż trucizna rozcieńczy się na tyle, bym znowu mogła się wyłonić na powierzchnię.

Hank ułatwił jej to ukrywanie. Był pogodnym dzieckiem, dla którego świat był czarny albo biały; szarych odcieni po prostu nie dostrzegał. Byli moją bajką, moim Dziennym Chłopcem i Nocną Dziewczynką, jedno słodkie i bezmyślne, drugie ciekawskie i zgryźliwe. Gdy dorastali, jedno z magią, a jedno bez, ale oboje tacy wspaniali, czułam się szczęściarą. Byłam szczęściarą.

A jeśli wolno mi było tak się czuć?

Po tamtej nocy z dmuchanym zamkiem Ivy obiecała, że nigdy więcej nie wciągnie mnie do swojego snu bez mojej zgody. Później rzadko już rozmawiała o snach i uznałam, że po prostu z nich wyrosła. Aż pewnego zimowego poranka obudziła mnie cała rozgorączkowana, bo przyśniło jej się uduszone drzewo.

Pamiętam biały dym naszego oddechu, ciężkie kroki w śniegu. Jej drobną postać w odziedziczonej po Hanku kurtce ze sztruksowym kołnierzem, prowadzącą mnie przez rezerwat leśny. Nasze poszukiwania

zakończyły się przy pozbawionej liści leszczynie, oplecionej całym mnóstwem lepkich, kłujących winorośli, jedyną widoczną tu zielenią. Wokół drzewa znajdował się krąg pustej ziemi, gdzie wyraźnie czuć było zło, tak gęste i namacalne, że niewiele brakowało, aby wbić w nie paznokcie.

Zajęliśmy się winoroślami, wyrwałyśmy i posoliłyśmy korzenie, po czym spaliłyśmy wszystko, co udało nam się zabrać. Dopiero po wszystkim w mojej głowie pojawiła się myśl, że takie majstrowanie przy drzewie mogło być niebezpieczne. W bladym porannym świetle, pracując obok mojej zdeterminowanej córki, czułam się nieustraszona.

– Co dokładnie ci się śniło? – zapytałam ją później.

Wzruszyła ramionami.

– Mówiłam ci. Zobaczyłam drzewo i wiedziałam, gdzie je znaleźć.

– Miałaś już kiedyś takie sny?

Kolejne wzruszenie ramion i wymijająca odpowiedź:

– Nie pamiętam wszystkich swoich snów.

W tym usłyszeniu przez Ivy nawoływania cierpiącego drzewa było coś tak bardzo uroczystego, niemal druidowego. Myśląc o jej dostępie do magii tak prastarej, poczułam się jak pływak mijający miejsce, gdzie zaczyna się tracić grunt.

Tamtej nocy nie mogłam zasnąć. Ivy nie miała nawet dziesięciu lat, a ja nie znałam już pełni jej zdolności. Nie wierzyłam także, że jeśli ją zapytam, powie mi całą prawdę. Gdzie leżały granice jej klarownych snów? Potrafiła zajrzeć do snów innych ludzi? Przemieszczać się w nich? Kształtować je tak, jak własne?

Oczywiście nie zrobiłaby tego. Wiedziałam, że nie. Czy więc miało znaczenie to, czy potrafiła?

To pytanie nie pozwoliło mi zasnąć aż do rana.

– Mogłabym tak zrobić.

Dziesięcioletnia Ivy zaciskała z frustracją dłoń w pięści, bo usłyszała ode mnie, że pod żadnym pozorem nie wolno jej rzucić złego uroku na koleżankę z klasy.

– Ale tego nie zrobisz.

– Skąd wiesz?

– Wiem i już – odparłam, zaklinając moje słowa, aby się stały siatką ochronną takiej zwykłej, matczynej magii. – Ufam tobie, a ty mnie. A ja ci mówię to, co już wiesz: złe uroki to mroczna magia. Ona nie jest za darmo.

– To oczywiste, że chce rzucać uroki na swoich wrogów – oświadczyła mi później Fee. – Która dziesięciolatka by tego nie chciała?

– Tyle że ona chce wróżyć – rzekłam kwaśno. – A raczej, jak to ujmuję: „szpiegować ludzi, aby sprawdzić, co naprawdę o mnie myślą”.

Jeszcze zanim Fee je wypowiedziała, wiedziałam, jak będą brzmiały jej następne słowa.

– Musisz jej powiedzieć o Marion. Dać Ivy szansę na to, aby zrozumiała dlaczego. W tej chwili jest pewna, że powstrzymujesz ją ot tak. Nie pozwól, aby widziała w tobie przeciwniczkę, nie w takiej kwestii.

Już mi to mówiła kilkanaście razy. A ja udzieliłam takiej samej odpowiedzi jak zawsze:

– Oczywiście, że jej powiem. Kiedy trochę podrośnie, wszystko jej opowiemy.

Tym, co rzeczywiście mnie powstrzymywało, był wstyd. I obie to wiedziałyśmy.

To dobre dziecko.

Powtarzałam te słowa jak ewangelię. I taka była prawda, tyle że to nie zmieniało faktu, że Ivy ciągnęło do moralnie wątpliwej magii niczym pszczołę do otworu w puszcze z colą. Była ciekawska, lekkomyślna, niepokojąco nieustraszona. I silniejsza ode mnie. Wykorzystywanie jej umiejętności podczas drobnych czarów coraz częściej przypominało próby

nakierowania świętego ognia do klaustrofobicznych tuneli mrówczej farmy.

Magia odsunęła ją od dzieci w jej wieku. Ivy była zbyt opanowana, niepodatna na wpływy innych osób. Miała znajomych od piłki nożnej, znajomych od biwaków, znajomych ze szkoły, natomiast nie miała prawdziwych przyjaciół.

Dopóki tego roku, kiedy skończyła osiem lat, do domu po drugiej stronie ulicy nie wprowadziła się pewna rodzina. Samotny tata, kilkulatka i piegowaty siedmiolatek o imieniu Billy.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo Ivy jest samotna, dopóki nie pojawił się on i nie połączyli się niczym dwie krople deszczu na szybie. Pokiwała z powagą głową, kiedy jej przypominałam, że magia jest tajemnicą, której nie może zdradzić nawet Billy'emu. Miesiące przemieniły się w lata i choć nie pojawiły się żadne eksplozje, nie byłam idiotką: ten chłopiec z naprzeciwka coś wiedział.

Raz wyjrzałam przez okno i zobaczyłam ich w trawie na końcu podwórka. Oboje wpatrywali się w ziemię między nimi, pozostając w totalnym bezruchu. Nie widziałam, na co patrzą.

Wtedy na twarzy Billy'ego pojawił się pełen zaskoczenia zachwyty. Ivy wyszczerzyła się do niego, a on odpowiedział równie szerokim uśmiechem. Wiedziałam, jak moja córka okazuje dumę, i wiedziałam, że nie pokazuje Billy'emu niczego zwyczajnego.

Zmieniłam swoje założenia. Ten chłopak z naprzeciwka wiedział wszystko.

Wyrostek pękł mi w najgorszym możliwym czasie. Rob wyjechał służbowo, Fee i wujek Nestor przebywali z wizytą u rodziny w San Antonio. Hank przechodził jakieś emocjonalne zmiany, o których nie chciał rozmawiać, a Ivy była dojrzewającym koszmarem. Nie miałam wielu koleżanek-mam, dlatego zwróciłam się do Google: dwunastoletnia córka wyjątkowo arogancka normalne?

Nazajutrz Ivy wparowała do kuchni z moim laptopem.

– Po pierwsze – oświadczyła – naucz się wymazywać historię wyszukiwania. Po drugie, nie jestem arogancka, tylko asertywna.

Wstałam zbyt szybko i rzuciłam się, aby wyrwać jej laptopa. Równie szybko zgięłam się wpół, przeszyta potwornym bólem.

Ivy kucnęła przy mnie i chwyciła moją dłoń.

– Co się stało? Co boli?

Dyszając, pokazałam palcami.

– Oho. – Wyglądała na wystraszoną i ciut podekscytowaną. – Założę się, że to wyrostek.

Chciała wypróbować zaklęcie leczące, ale ja zdecydowanie jej tego zabroniłam, więc siedziała nadąsana, kiedy zjawił się sąsiad, aby zawieźć nas do szpitala. Ivy została do późna, pokazując mi filmiki w telefonie, po czym przyjechał po nią inny sąsiad. Ja musiałam zostać w szpitalu, a wyrostek miałam tak popękany, że cała jama brzuszna była jak naznaczona trucizną.

– Ludzie od tego umierają – powiedziała mi z lubością pielęgniarka.

Była wkurzona, bo sprzeciwiałam się wszystkiemu, co chcieli mi robić. Potrzebowałam tutaj Fee i jej ingerencji. Potrzebowałam Roba, aby zabrał mnie do domu. Byłam na nich wściekła, że są tak daleko.

Rob nie mógł przylecieć wcześniej niż następnego ranka, ale dzieci były na tyle duże, aby do tego czasu poradziły sobie same. Było okej.

Kiedy wróciłam do domu, od razu wiedziałam, że wcale nie.

# ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY



Przedmieścia

*Wtedy*

MAMA IVY BYŁA WSTRĘTNĄ HIPOKRYTKĄ.

Cały czas nawijała o równowadze, odpowiedzialności i uważaniu na to, co się umieszcza w świecie i bla bla bla, a jednocześnie człowiek po prostu wiedział, że zrobiła w przeszłości coś bardzo, bardzo złego.

Poznać to można po tym, że nie chce rozmawiać o bliznach na dłoni. Po ciszy, jaka raptownie zapadała, kiedy Ivy wchodziła do pokoju, w którym mama rozmawiała z ciocią Fee. Burzy, jaka co jakiś czas przetaczała się przez ich dom, a tata wtedy mawiał: „Dzieciaki, dajcie mamie trochę przestrzeni”.

Przede wszystkim widać to było po jej minie, kiedy Ivy coś zrobiła. Ivy była teraz taka dobra, taka silna i duma matki z jej osiągnięć powinna stosownie rosnać. Zamiast tego mama zdawała się kurczyć, była coraz bardziej czujna, bardziej kontrolująca i wystraszona. Gdyby była w stanie chwycić na lasso zdolności Ivy i je zniszczyć, przypuszczalnie tak by zrobiła.

Ivy była pewna, że ma to związek z tym czymś, o czym mama nie chce mówić – z tym czymś, czego się dopuściła. Czekwała, aż coś jej się wymknie albo aż ciocia Fee zdradzi tajemnicę. A kiedy nic się nie działo, poczyniła inne plany.

Czekwała na noc, kiedy oboje rodzice będą poza domem. Nawet jeśli poczuła lekkie wyrzuty sumienia, że stało się tak w końcu dlatego, że

mama trafiła do szpitala, cóż, wyrzuty sumienia rzadko okazywały się przydatne.

Minęła ósma. Hank po drugiej stronie ściany oglądał *Battlestar Gallactica*, a jej pokój spowijało światło zmierzchu.

Ivy oparła lustro o wezglowie. W siedem kluczowych miejsc wtarła mieszanekę olejków przejrzystości. Wokół palca serdecznego prawej dłoni oplotła czarny włos – zdjęty jakiś czas temu z ramienia jej najlepszego przyjaciela Billy’ego – i opuszką tego palca uczyniła znak na lustrze. Na tafli rozlała się mgła, zastępując jej odbicie. Głosem spokojnym i władcym Ivy powiedziała:

– Pokaż mi, co teraz robi Billy.

Z mgły, niczym zdjęcie zanurzone w wywoływaczu, wyłonił się obraz chłopca z piegami i mokrymi włosami. Kiedy zorientowała się, co on robi – jeszcze wilgotny po prysznicu wkłada koszulkę przez głowę – Ivy pisnęła i zerwała włos z palca.

Chłopiec w lustrze ustąpił miejsca galaktycznemu widokowi, który skąpał pokój w zwiewnym świetle.

Ivy liczyła oddechy, czekając, aż się uspokoją. Przez woń olejków przebijał zapach jej potu.

Udało się.

Ale to był jedynie test. Teraz pora, aby zrobić to na serio. Przypomniała samej sobie, że za drugim razem może nie zadziałać. Pytanie, które chciała zadać, było dość mętne. Ale za mało wiedziała, by zapytać o coś innego.

Ivy wzięła kolejne pasmo włosów i owinęła nim sobie palec. Te włosy miały ten sam odcień, co jej. Zdjęła je z należącej do matki szczotki do włosów.

Ponownie uczyniła magiczny znak. Drzwi były zamknięte na klucz. Hank miał na uszach słuchawki.

– Pokaż mi sekret mamy – szepnęła gorączkowo.

Tym razem mgła wychwyciła pytanie niczym staw rzucony kamień – zagłębienie, a potem coraz szersze zmarszczki. Kiedy powierzchnia się

wygładziła, Ivy ujrzała w lustrze dziewczynę.

Rzuciła się w tył, a jej białe stopy poślizgnęły się na wilgotnej, drewnianej podłodze. Mało brakowało, a zerwałyby włosy z palca. Dziewczyna w lustrze w ogóle się nie ruszała, niczym portret znaleziony w sklepie z używanymi rzeczami. Błada skóra, jasne włosy i malująca się na twarzy pobłażliwość. Wyglądało niemal tak, jakby także patrzyła na Ivy, ale nie tak działał przecież ten czar. Ivy zebrała się na odwagę i przysunęła do lustra. W tym czasie dziewczyna niepokojącym spojrzeniem śledziła jej ruchy.

Ivy wciągnęła głośno powietrze.

– Czy ty... – Zakaszła nerwowo. – Czy ty mnie widzisz?

Oczywiście, że nie, bo przecież takie szpiegowanie było jednostronne. Ale dziewczyna odparła:

– Tak.

Tylko jedno słowo, głosem, który brzmiał jak coś wygrzebanego z samego końca piwnicy.

Obserwowały się przez chwilę.

– Kim jesteś? – zapytała w końcu Ivy. Zniknęło jej wcześniejsze opanowanie.

– Jestem okultystką.

Zaimponowała tym Ivy. Okultystka. Zdecydowanie fajniejsze określenie niż nijaka „robotnica” matki.

– Jak masz na imię?

Zakurzony głos nieznajomej nabierał siły.

– A ty? Imię za imię.

Ivy zmrużyła oczy.

– Założę się, że je już znasz.

– Sprytna Ivy – oświadczyła postać w lustrze. – Jestem Marion.

Ten komplement dodał Ivy nieco odwagi. Wyprostowała się.

– Co masz wspólnego z sekretem mojej mamy?



Teraz ta dziewczyna – kobieta? Ivy nie potrafiła zdecydować – po raz pierwszy się uśmiechnęła, a suche usta rozciągnęły się wokół równych, białych zębów.

– Ja jestem sekretem twojej matki.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY



Przedmieścia

*Wtedy*

COŚ SIĘ DZIAŁO Z IVY. Od jakiegoś czasu nie było z nią łatwo, ale przynajmniej zawsze ze mną rozmawiała. Za to po moim powrocie ze szpitala, gdzie wycięto mi wyrostek, nie chciała na mnie nawet spojrzeć. Lato chyliło się ku końcowi i powinna biegać po okolicy razem z Billym, gorączkowo spijając ostatnie krople tej pory roku. Zamiast tego siedziała w swoim pokoju.

Trzeciego dnia wparowałam do niego i zamknęłam za sobą drzwi.

Z miejsca się wściekła.

– Wynoś się z mojego pokoju! – syknęła, zamykając zeszyt, w którym coś pisała.

Przyszłam tu z pokładami cierpliwości, ale jej ton sprawił, że aż się zachwiałam.

– Twojego pokoju?! – warknęłam. Wylewały się ze mnie słowa mojego ojca. – A od kiedy płacisz czynsz?

Jej twarz poczerwieniała i Ivy zerwała się z krzesła.

– Powiedziałam: wynoś się! Ty... ty... potworze!

Świat zawirował.

– Dlaczego mnie tak nazwałaś? – zapytałam, kiedy znowu byłam w stanie wydobyć z siebie głos.

– Wiesz dlaczego.

Oczywiście, że wiedziałam. Pytanie tylko, skąd ona się dowiedziała, co zrobiłam. Gra dobiegła końca i ujrzałam kilkanaście sposobów na uczynienie sytuacji jeszcze gorszą. Jedyne, co mi pozostało, to prawda?

Pokazałam jej swoje dłonie. Delikatnie przyłożyłam jedną do brzucha, nad szwami, a drugą na niej. Następnie zaczęłam się cofać, aż dotknęłam plecami ściany.

– Porozmawiaj ze mną, Ivy. Co się wydarzyło pod moją nieobecność?

– Nic – odparła głosem przepełnionym wściekłością nastolatki. – Coś się wydarzyło dwadzieścia lat temu.

– Kto ci to powiedział? Kto?

Coś w moim głosie musiało się do niej przebić, gdyż przez jej twarz przemknęło uczucie inne niż wściekłość.

– Dostałam list. Niepodpisany. Spaliłam go, nie możesz go zobaczyć.

Przeklęta Sharon. Zamknęłam oczy, pozwalając, aby przetaczała się przeze mnie fala ulgi wymieszanej z przerażeniem.

– Powiedz mi, co ci się wydaje, że wiesz, a ja ci powiem prawdę.

– Taa, jasne. – Mocno przygryzła wargę. – Nie chcę nic od ciebie słyszeć. Z wyjątkiem... – W jej oczach błysnęła nadzieja. – Powiedz mi, że to nieprawda. Powiedz, że nie wepchnęłaś swojej przyjaciółki do Pieła.

Swego czasu byłam dobra w kłamaniu. Kiedy było mechanizmem zapewniającym przetrwanie, kiedy wychowywałam się z tatą, przychodziło mi to równie łatwo jak oddychanie.

– Miałam powód, aby zrobić to, co zrobiłam – zaczęłam i Ivy otworzyła szeroko oczy.

– O mój Boże – rzuciła.

Wcześniej chciała, abym zaprzeczyła.

– Skarbie, pozwól mi dokończyć...

– Nie! – Powiedziała to tak głośno, że zaskoczyła nas obie. A potem: – Wynocha! – krzyknęła i uniosła rękę.

Potykając się wypadłam tyłem na korytarz, a drzwi uderzyły mnie mocno w nos.

Nikogo nie wpuszczała. Włączała muzykę, jeśli próbowaliśmy mówić do niej przez drzwi.

Po piętnastu latach małżeństwa w końcu opowiedziałam Robowi o tym, co się stało z Marion. Przedstawiłam mu wersję skróconą, najbardziej drastyczne detale zostawiając dla siebie. Jego reakcja nie okazała się taka, jak się spodziewałam.

– To do tego nawiązywałaś, prawda? – Miał na nosie okulary, ale jego spojrzenie wydawało się zamglone, poważne. – Tyle lat temu, jeszcze nawet przed Hankiem. Tamtego wieczoru, kiedy chciałem ci powiedzieć, że cię kocham.

Nie udawałam, że próbuję sobie przypomnieć.

– Tak.

– Szkoda, że tego nie zrobiłaś – rzekł i wyszedł z pokoju.

Tamtej nocy obudziłam się ze snu, którego nie pamiętałam, a ciało wibrowało mi w panice. Potrzebowałam swojej córki. Musiałam ją przytulić, zobaczyć jej twarz. Kiedy wyszłam z sypialni, zobaczyłam sączące się spod jej drzwi dziwne światło. To był chłodny odcień rzucany przez szpiegujące lustro.

Trzema krokami pokonałam korytarz i otworzyłam drzwi za pomocą spanikowanego zaklęcia, po którym zeszywniały mi palce wskazujące.

Ivy siedziała po turecku na podłodze, a przed nią stało lustro. Nie od razu zareagowała na moją obecność. W lustrze wisiała jakaś twarz, szyja, ramiona, pod takim kątem, że były niewyraźne.

W mojej pokrytej bliznami ręce odezwał się dawny ból. Tym razem po drodze coś chwyciłam.

But. Absurdalne. Wsunęłam w niego dłoń, tak że wyglądała jak wielkie, gotyckie kopyto, odepchnęłam Ivy i zamachnęłam się butem w lustro. Postać zniknęła, lecz na tafli nadal widać było jasną mgłę. To było jedyne źródło światła w pokoju. Kiedy lustro się roztrzaskało, zapadła ciemność.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI



Przedmieścia

*Wtedy*

PRZEZ BAJKOWY OKRES TRZECH NOCY IVY rozmawiała z Marion. Każdej nocy dowiadywała się nowych rzeczy. Co zrobiła jej matka, kim naprawdę była. Piekło, w jakim żyła Marion przez te wszystkie wlokące się lata.

„Obserwowałam cię od samego początku” - tak powiedziała. „Puchłam z dumy, kiedy widziałam, jak twoje dary się rozwijają. Wiem, że to ty jesteś osobą, która mnie uratuje”.

Ivy okazała się wystarczająco bystra, odważna i silna, aby odnaleźć dziewczynę, którą jej matka próbowała zabić. Teraz ona i Marion wykombinują, w jaki sposób Ivy sprowadzi ją z powrotem.

Całymi dniami Ivy czytała, szukała czegoś, co mogłoby im pomóc. Kiedy rodzice zasypiali, ona wracała do lustra i Marion.

Kiedy się szpieguje, wykorzystywana do tego celu powierzchnia staje się jedynym, na czym człowiek się skupia. Reszta świata pozostaje na skali szarości. Ivy zarejestrowała jedynie jakiś ruch po prawej stronie, nim coś pchnęło ją na ziemię. Lecący przedmiot, potworny trzask, a chwilę później klęczała w ciemności.

Takie wyjście z magii jest dla organizmu szokiem. Wszystko się wydawało równie potrzaskane jak lustro. Dopiero po chwili świat stał się znowu wyraźny.

Nad nią stała jej matka. Na jednej ręce miała wielki, czarny but.

Ivy była wściekła. A potem się ucieszyła. Jej matka była właśnie tą osobą, na którą miała ochotę pokrzyczeć.

– Co tutaj robisz? Kazałam ci dać mi spokój!

Mama zapaliła nocną lampkę. W jej świetle twarz wydawała się błyszcząca, zapuchnięta od płaczu.

– Daruj sobie. Musisz coś zjeść.

– Zjeść coś? Tyle tylko masz do powiedzenia?

– Okłamałaś mnie w kwestii listu. – Mama przysiadła na skraju łóżka. – Porozmawiamy o tym, co rzeczywiście się dzieje. Ale najpierw owszem, potrzebujesz jedzenia, w przeciwnym razie będziesz się czuła fatalnie.

Ivy gapiała się na nią, nawijającą o jedzeniu tak, jakby świat właśnie nie rozpadł się na kawałki.

– Myślisz, że już się tak nie czuję?

– Później na mnie krzycz. Teraz przyniosę ci krakersy. I wodę.

– Pierdolić wodę – oświadczyła Ivy. Możliwe, że po raz pierwszy wypowiedziała to słowo w obecności matki. – Nie potrzebuję wody, muszę naprawić to, co zrobiłaś. Oto, co jest ważne.

Mama przejechała niespokojnie ręką po czole.

– Nie da się naprawić tego, co zrobiłam.

– Nie spocznię, dopóki tego nie naprawię – zapewniła żarliwie Ivy. – Nie możesz mnie powstrzymać.

Jej matka nie od razu odpowiedziała. Nie poruszała się, ale wyczuwało się, że w jej głowie dochodzi do detonacji.

– Mamo. Nie masz mi nic do powiedzenia?

– Nigdy nie powinnam cię tego uczyć. – Jej głos był niski i pewny. – Nie powinnam nawet użyć słowa „magia”.

Żołądek Ivy płonął.

– Nie potrzebowałam ciebie, aby znaleźć magię.

– Ja ci zapewniłam słowa. Zaklęcia i intencje, i... – Spojrzała błagalnie na Ivy. – Pomogłam ci wyrosnąć na silną osobę.

– Zawsze miałam być silna.

Mama pokręciła głową.

– To nie musiało się stać w taki sposób. Pracując z tobą... uszkodziłam cię. Moja magia... ona nie jest czysta.

Jej mama nigdy dotąd tak nie mówiła. Nigdy tak nie wyglądała, prosta i smutna. To było straszne i Ivy poczuła się, jakby spadała, ale także dało jej to obraz tego, jakby to wszystko wyglądało, gdyby jej matka skłonna była pokazywać się bez pancerza.

– Mamo. – Ivy usłyszała w swoim głosie łagodniejszą nutkę. Natychmiast ją usunęła. – Mogę to naprawić.

– Jak konkretnie planujesz to zrobić? Oko za oko? Zamierzasz mnie zabić?

To rozczulanie się nad samą sprawiło, że wściekłość Ivy wróciła z hukiem.

– Zamierzam zrobić to, co ty powinnaś zrobić dwadzieścia lat temu – oświadczyła. – Sprowadzę Marion z powrotem.

To imię trafiło mamę niczym granat ręczny.

– Ivy – powiedziała żałośnie. – Nie da się sprowadzić zmarłych.

– Zmarłych? – Ivy ściągnęła brwi. – Marion żyje.



# ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI



Przedmieścia

*Wtedy*

MIAŁAM WRAŻENIE, ŻE CAŁA SIĘ PRUJĘ.

Prawda przedarła się przeze mnie i rozszarpała każdy szew, jaki umieściłam od tamtego dnia aż do dziś: od chwili, w której wepchnęłam Marion do lustra i uznałam ją za zmarłą, do teraz, kiedy moje dziecko potwierdziło to, w co nie zgadzałam się wierzyć.

Poczułam, że sięgam po magię. Po słowa, aby uspokoić moje dudniące serce, aby sprawić, że wybuchnie każdy przedmiot w tym pokoju. Ale magia była tym, od czego się to wszystko zaczęło, co otworzyło drzwi i wpuściło wilki.

Ivy nie widziała mnie potrzaskanej. Postrzegala mnie taką, jaka jej się pokazywałam: jako stoik, jako wróg, ktoś, kogo się kocha i na kogo się wścieka, osoba, z którą wymienia się półprawdami.

– Sęć w tym, mamó, że nie możesz mnie powstrzymać – powiedziała teraz. Nie szyderczo, lecz z zimną pewnością. Jej głos przywołał mnie do tego, co tu i teraz. – Zamierzam ją sprowadzić. Potrzebuję jedynie lustra. Myślisz, że możesz ukrywać przede mną każde lustro do końca mojego życia? – Uśmiechnęła się drwiąco. Była zbyt młoda, zbyt silna, nie potrafiła się powstrzymać. – Gównó mi zrobisz.

Mój wzrok nagle się wyostrzył od gniewu, jakbym patrzyła na świat przez czerwoną folię spożywczą. Ivy miała dwanaście lat. Żyjaca pod kloszem, przekonana o swojej nieomyślności, grożąca mi niewyobrażalnym koszmarem.

Tym, co sprowadziłaby Ivy, nie byłaby Marion. Ta postać miałaby jej kształt, ale wszystkie części, których nie widać, zostały przez te niezgłębione lata powykręcane, złamane, wyssane do sucha. Byłaby potworem.

Ale... wiedzieć, że gdzieś tam jest i nic z tym nie zrobić? Coś takiego to ze mnie uczyniłoby potwora.

– Tak potężna magia cię złamie – powiedziałam głosem, który ledwie poznawałam. – Zmieli ci kości na pył.

Zamrugnęła. To dobrze. Powinna się bać. Powinna czuć przerażenie.

– Nie możesz... – zaczęła nieco drżąc, a ja weszłam jej w słowo.

– Nie mogę cię powstrzymać. Już to słyszałam.

Ivy miała rację, cholernie trudno byłoby mi ją powstrzymać. Musiałabym ją gdzieś zamknąć, aby nie dopuścić do rozerwania umysłu i ciała na kawałki podczas próby posłużenia się potwornym zaklęciem, jakie Marion z pewnością wyszeptowała jej przez lustro. Ivy była o wiele silniejsza niż ja.

Ale w tym domu znajdowała się jedna rzecz, która była silniejsza od niej.

Teraz czułam, że czekało na mnie, odkąd skończyłam szesnaście lat. Złote pudełko, to stworzenie, które sypiało z na wpół otwartymi oczami. Dawno temu usłyszałam, że pewnego dnia będę go potrzebować. Teraz nadszedł ten dzień i całe moje ciało ugięło się pod ciężarem smutku.

Pudełko owinięte było w stary T-shirt z zespołem punkowym Sleater-Kinney i ukryte w pudełku po butach leżącym na górnej półce w mojej garderobie. Kiedy wróciłam do pokoju Ivy, jej postawa była niezmienną: uniesione ramiona, dłonie zwinięte w pięści, spuszczone głowa. Jej spojrzenie zatrzymało się na pudełku.

– Co to jest?

Wyciągnęłam je do niej, wprawiając w ruch historię, która została już opowiedziana.

– Weź je.

Wyrwała mi je z dłoni, jakby należało do niej. Była tak bardzo podobna do mnie. Podejrzliwa i głodna, a serce dudniło jej tak mocno, że widać to

było przez bawełnę, skórę, kości. Obróciła pudełko, szukając zapięcia.

– Co jest w środku?

Ciężko oddychałam. Byłam tą czarownicą z jabłkiem.

– Otwórz to. Potrzebujesz jedynie kropli krwi.

Zębami oderwała skórę przy paznokciu, a miejsce po niej wypełniło się czerwienią.

– Dotknij – powiedziałam. – Pudełka.

Okazało się solidne, a wieko unosiło się na zawiasach. Sądziłam, że środek także będzie złoty, ale wyłożony został lśniącym, różowawym drewnem. Im dłużej tam zagłębiałam, tym bardziej ten kolor wydawał się anatomiczny, a opalizował w sposób, który się widzi na mięsie wołowym w delikatesach.

– Kocham cię – rzekłam. – I nie mogę pozwolić, abyś zniszczyła samą siebie.

Mój głos był niewyraźny, słowa miałkie. Ivy chyba mnie nie słyszała.

– Kocham cię – powtórzyłam.

A potem zaczęłam wypowiadać słowa zaklęcia.

Raz mi je wyrecytowano, na Maxwell Street, kiedy miałam szesnaście lat. Zapisałam je sobie, lecz kilka miesięcy później spaliłam karteczkę. Wyryło się w mojej głowie razem z numerem telefonu Fee z dzieciństwa, motywem przewodnim firmy Empire Carpet, wyrazem twarzy Roba, kiedy mu za pierwszym razem powiedziałam, że jestem w ciąży.

Przez pierwszą połowę moją siłą napędową była wściekłość. Która ustąpiła miejsca przerażeniu towarzyszącemu używaniu magii do majstrowania przy mózgu mojego dziecka i zastanawianiu się, czy jeśli spróbuję to powstrzymać, to mogę doprowadzić do faktycznego uszkodzenia mózgu.

„Nie chcę zbyt wiele odbierać”, powiedziałam do pudełka. „Pragnę jedynie, abyś zatrzymało w sobie jej wspomnienie tego. Te wszystkie potworne, niebezpieczne rzeczy, te wszystkie skazone wspomnienia magii”.

Ale wszystko, co się liczy, jest trochę niebezpieczne. Cała magia jest czymś skażona. A to pudełko jest także zaklęciem, a zaklęcia są zatrute aż do samych korzeni.

Kiedy wypowiedziałam ostatnią kolczastą sylabę zaklęcia, Ivy nadal wpatrywała się w pudełko.

– Co się... – zaczęła, po czym urwała. Jej spojrzenie pomknęło ku mojej twarzy. – Mamo? – szepnęła ze strachem.

– W porządku. – Cała się trzęsłam. – Jestem tutaj.

Pojawił się moment, byłam tego pewna, kiedy zrozumiała, co zrobiłam, i przeszła mnie spojrzeniem takim, jakie będę pamiętać do końca swoich dni. A potem znieruchomiała, przyciskając pudełko do piersi. Jej ciało drgało i drgało, jakby każde wspomnienie musiało zostać wyrwane niczym chwast.

To było straszne. Tak straszne, że przeniosłam ją na łóżko i zasłoniłam jej ciało swoim. Wiła się pode mną, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

Spojrzałam na jej zeszywniałą twarz i przypomniało mi się, jak rysowałyśmy palcami na płachtach padającego deszczu. Słyszałam, jak krzyczy z powodu smrodu amuletu na przyszcze, który Fee nauczyła ją robić, kiedy Ivy miała jedenaście lat, i płacze, kiedy przed pierwszym dniem szóstej klasy zmieniła sobie kolor włosów z różowych na intensywnie pomarańczowe. Czułam obok siebie jej milczącą obecność, kiedy latem zbierałyśmy na łąkach kwiaty, o których wiedziałyśmy tylko my – te, które się otwierały w tym krótkim czasie między rozjaśnieniem się nieba a pokazaniem twarzy przez słońce. Te wspomnienia kwitły i więdły, a teraz należały tylko do mnie.

Usłyszałam odgłos zamykania się tego wstrętnego pudełka. Kiedy spojrzałam na nie, tworzyło znowu jedną, pozbawioną spawów bryłę, natomiast Ivy spała. Jej klatka piersiowa poruszała się powoli i miarowo, powieki były gładkie niczym zamsz. Wilgotne pasmo rudych włosów wokół jej szyi wyglądało jak pępowina. Zaczęłam się przy niej układać, po czym

zesztywniałam i się odsunęłam. Delikatnie uniosłam jej włosy, ułożyłam na poduszce, a kołdrę podciągnęłam do ramion.

Na schodach przed jej pokojem siedział zaspany Rob. Widziałam po jego minie, że zjawił się tu niedawno.

– Hej – szepnął. Uniósł rękę i dotknął mojego biodra. – Czy zakładnik negocjował?

W żołądku zgromadził mi się wstyd. Rozsypał się między zębami niczym cyjanek.

– Załatwione – powiedziałam.

Minęłam go i zeszłam na dół, gdzie aż do rana leżałam rozbudzona na sofie.

Kiedy Fee zobaczyła mnie o szóstej na progu swojego domu, cicho zaklęła i wpuściła mnie do środka.

Zawsze była moim lustrem, zawsze mi sygnalizowała, że posunęłam się za daleko, byłam zbyt niecierpliwa albo niemiła. Kiedy skończyłam mówić, skóra na jej twarzy wisiała luźno jak u martwej kobiety, obie dłonie przyciskała do stołu.

– Co powiedział Rob?

Pokręciłam głową.

Fee zamknęła oczy.

– Wracaj do domu do męża. Wracaj do domu do dziecka, któremu... – Jej twarz się wykrzywiła. – Wracaj do domu, Dana.

Kiedy weszłam, usłyszałam, że Rob parzy kawę. Przed wyjściem z domu zajrzałam do Ivy i leżała tak, jak ją zostawiłam – jej skóra miała normalny kolor, serce biło miarowo. Mimo to i takostałam chwilę pod schodami, ze wzrokiem wbitym w drzwi jej pokoju.

Znalazłam Roba w kuchni.

– Hej. – Ton jego głosu był chłodny. – Co się dzieje?

Wyglądał na poirytowanego i znużonego, ale nadal tak, jakby mnie znał, a ja próbowałam się tym otulić jak płaszczem. Ostatni raz, kiedy tak na mnie patrzył.

Zaczęłam mówić. Przez cały czas wzrok miałam wbity w okno i niezdarną muchę obijającą się o górną część szyby. A potem moja opowieść dobiegła końca i ponownie się skupiałam na jego twarzy.

Zdarzało mu się już patrzeć na mnie z konsternacją, wyczerpaniem, nawet odrazą. Nigdy jednak łącząc te trzy uczucia w jedno, w coś, co mogło być nienawiścią.

– Zamierzasz się ze mną rozwieść? – szepnęłam.

Zrobił krok w tył, jakbym była brudna. Jakby patrzył na mnie z dalekiej odległości. I później za to przeprosił, aż w końcu nawet zaprzeczał, że to powiedział, niemniej tak zrobił. Wypowiedział te słowa:

– Oczywiście, że nie. Gdybym odszedł, ty dostałabyś dzieci.

No więc tak: otworzyć pudełko, prawda? Zwrócić wszystko, co się ukradło.

– Nie dotykaj tego pudełka. – Głos Fee trzeszczał podczas tego kiepskiego połączenia. – Wiem, że cię kusi, ale nie możesz tego ot tak wymazać.

– Dlaczego? Co tak ci mówi?

– Zdrowy rozsądek – warknęła. – Ivy jest zbyt młoda, jej mózg zbyt elastyczny. Jeśli dopisze nam szczęście, nic jej się nie stanie, po prostu... będzie miała mniej wspomnień. Ale nie możemy zalać jej organizmu bóg wie jaką liczbą informacji.

– Do kiedy? Jak długo będziemy czekać?

– Nie ma do tego podręcznika, Dana. Co powiedział Rob?

– Nienawidzi mnie.

Westchnęła.

– Dojeżdżam już do sklepu. Zostań dziś w domu, postaraj się ogarnąć skutki uboczne. Zajrzę wieczorem.

Czekaliśmy w palącej ciszy, aż nasza córka się obudzi. W końcu usłyszeliśmy skrzypnięcie na korytarzu na piętrze, odgłos spuszczonej wody w toalecie. A potem zeszła na dół coś nucąc. Na widok nas, siedzących jak manekiny, zbystrzała.

– Co się dzieje?

Rob wstał i ją przytulił.

– Wszystko jest w porządku – powiedział bez przekonania.

– Tato – odezwała się, kiedy to przytulenie trwało zbyt długo. – Tato. – Przebiegle postanowiła wykorzystać tę tajemniczą sytuację. – Możemy jechać do Walker Bros.? Mam ochotę na pieczone naleśniki.

Mogłaby poprosić nawet o gwiazdkę z nieba.

Tego ranka byliśmy same tylko przez chwilę, podczas mycia rąk w damskiej toalecie. Przez cały ranek wypatrywałam w jej twarzy jakichś zmian. Kiedy nasze spojrzenia spotkały się w lustrze, Ivy skrzywiła się i przewróciła oczami.

– Mamo. Przestań się na mnie gapić.

– Ivy.

Na dźwięk obecnej w mojej głosie paniki ściągnęła brwi.

– Rooibos, laur, lawenda – wyrecytowałam. – Mroczne serca niech przegna.

Zacisnęła usta.

– Dziwnie się zachowujesz – szepnęła zażenowana.

Drzwi toalety zamknęły się za nią.

Godzinę po naszym powrocie ze śniadania zajrzał przyjaciel Ivy, Billy. Przez kilka ostatnich dni zbyt była zajęta zamykaniem się w swoim

pokoju, aby spędzać z nim czas, i szkoda mi było tego chłopaka. Teraz jego widok przepełnił mnie przerażeniem. Był jedyną osobą oprócz mnie, Roba i Fee, która wiedziała. Co by się stało, gdyby próbował rozmawiać z Ivy o tym, o czym nie pamiętała?

Zbyłam go. Wrócił następnego ranka. Było wcześniej i powiedziałam mu, że Ivy jeszcze śpi, kiedy jednak się odwróciłam, ona stała za mną na schodach.

– Kto to był?

– Billy – odparłam bez namysłu. Miała stamtąd widok na drzwi i na pewno widziała jego twarz.

– Kim jest Billy?

Szok. A chwilę później przerażenie.

Wcześniej zastanawiałam się, co wie Billy, i oto była moja odpowiedź. Magia od samego początku musiała stanowić część ich przyjaźni. Jej najlepszy przyjaciel i wszystko, czym dla niej był, trafiły do złotego pudełka niczym kolejny wyrwany chwast.

– Nikim – odparłam. – Chłopcem z okolicznego osiedla.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY



### Gdzie indziej

UCIECZKA MINĘŁA MARION O WŁOS, tak szybko i blisko, że gorąco pocałowało jej skórę. Mogła się wściekać z powodu tej straty, lecz tym, co rzeczywiście doprowadziło ją do rozpacz, było to, co Dana zrobiła Ivy.

Zaskoczyło to Marion, bo nie należała do osób uczuciowych. Ale Ivy obserwowała przez całe jej życie. Od dnia, w którym przyszła na świat.

Marion skuliła się w sobie jak bokser chroniący głowę. Odplynęła na jakiś czas, rozbrojona smutkiem. Śniły jej się głębokie jak morze sny osoby, która nigdy nie zasypia.

Minęło dużo czasu, nim znowu zajrzała do szpiegującego lustra. Kiedy to zrobiła, dziewczyna była starsza.

Kim była ta przerobiona Ivy? Usta jej lśniły od błyszczycy z drogerii, miała niezdarne ruchy. Bez kształtującej go magii jej niespokojny duch się skurczył. Ivy była rozdrażniona, bezbronna, chaotyczna.

Marion obserwowała, jak Ivy potykając się, przemierza najgorsze lata bycia dziewczyną. Obserwowała, jak popękane miejsca w jej głowie zarastają bliznami. Nadal bystra, lecz obdarta z pewności siebie, nadal ciekawska, lecz pozbawiona wiary w to, że świat potrafi ją autentycznie zaskoczyć.

Ivy skończyła lat czternaście, piętnaście, szesnaście. A potem w mgnieniu oka siedemnaście. W takim wieku była Marion, kiedy poznała

swój fatalny sabat.

Czas maszerował i wiał poza ścianami domu Astrid, lecz nigdy nie znalazł żadnej szczeliny. To miejsce było szczelne jak pojemnik tupperware. Kiedy jednak Ivy skończyła siedemnaście lat, umysł Marion wspinał się po ścianach i niczym strzała przemykał przez przyszłość.

Dana umrze. Ivy umrze. Jeśli Ivy będzie miała córki, one także umrą. Czy Marion przez cały ten czas będzie wisieć nad swoim lustrem niczym pająk, żywiąc się ich cieniami? Czy pozostanie nieśmiertelna, już zawsze mając osiemnaście lat, zapieczętowana w domu ze snów, w którym zawsze pachnie kurzem?

Nie.

Kiedy Marion znalazła okultystkę, ta leżała na kanapie w kolorze krwi, a rozrzucone na aksamicie włosy wyglądały jak aureola. Oczy miała otwarte, lecz niewidzące.

Marion szturchnęła ją stopą w bok.

– Obudź się.

Spojrzenie Astrid wyostrzyło się od razu jak u gada.

Marion wyciągnęła w jej stronę księgę z zaklęciami. Tę, którą przed laty ukradła z torby martwej naukowczynie. Upuściła ją na klatkę piersiową Astrid.

– Już czas.

Astrid powoli zamrugęła. Powoli i pogardliwie.

– Już czas – powtórzyła lekceważąco.

Marion wydeła wargi, patrząc na swoją strażniczkę więzienną, współwięźniarkę – nie potrafiła zdecydować, co jest bliższe prawdy – i ściągnęła ją za włosy na dywan.

– Już czas – powiedziała raz jeszcze.

– Pchle ścierwo – splunęła okultystka.

Powietrze wokół niej delikatnie się ogrzewało, nic się jednak nie wydarzyło. Była wolniejsza niż kiedyś.

Marion przyklęła, aby podnieść księgę. Okultystka mocno uderzyła ją w twarz. Dwa razy. Marion przycisnęła księgę do ręki, która ją uderzyła.

– Otwórz.

Ta księga miała chore poczucie humoru, tak jak kobieta, która ją oprawiła w skórę jasnowidza-szarlatana. Marion swego czasu wierzyła, że pokazuje ona zaklęcia, które trzeba zobaczyć, ale oczywiście było to tylko tym, co chciała dać ci Astrid.

Pamiętała, jak ścisnęła ją w drżących dłoniach tuż po tym, jak się tutaj zjawiała. Jej ostatnie źródło nadziei i tak się cieszyła, że podczas całego swojego upadku nie wypuściła tej księgi z rąk. Gdy ją otworzyła, w jej skroniach eksplodowały fajerwerki. Nachyliła się nad kartką.

„Aby wyleczyć czyraki” – tak brzmiał napis.

Kiedy Marion podniosła wzrok, przekonała się, że okultystka przygląda się jej z radosną nienawiścią zarezerwowaną dla najwredniejszych dziewczyn w szkole. Od tamtej pory kilkanaście razy otwierała tę księgę i zawsze znajdowała w niej jakieś drwiące zaklęcie.

Ale Astrid jej nie otwierała. I Marion gotowa była się założyć o swoje nienaturalne życie, że wie, jakiego rodzaju zaklęcie Astrid najbardziej pragnie zobaczyć.

– Przyszedł do mnie z rozkazami i gadaniem o czasie – oświadczyła okultystka, drwiąco i pewnie jak królowa upadłego kraju. – Pamiętaj, że to ja rządę tym miejscem, a ty jesteś związana ze mną.

Elektryzujący głos okultystki nadal był w stanie magnetyzować Marion, budząc w niej podziw i lęk.

Otrząsnęła się z tych uczuć.

– Rządzisz niczym i nigdzie. Jesteś królową dymu. Wszyscy, którzy znali twoje imię, nie żyją, i nikt więcej go nie pozna. Nikt się nie zjawi, aby cię uwolnić. To koniec. Otwórz tę przeklętą księgę.

– Owcze gównu. Podśluchiwaczka. Wstrętna zdzira!

– Tak, tak – mruknęła Marion. Nie było to dla niej nic nowego. – Ale mam także rację.

– Nic nie masz.

– Jesteś taka, jaką mnie stworzyłaś.

– Nie – oświadczyła stanowczo Astrid. – Oto ostatnia rzecz, którą ci powiem, naprawdę ostatnia. Zawsze byłaś jabłkiem bez ogryzka. Z jakiego innego powodu miałabyś ukraść księgę innej robotnicy?

– Nie powiesz mi na mój temat niczego, czego bym nie wiedziała. Po takim czasie. Wiem także trochę o tobie. – Marion spojrzała w wyblakłe oczy okultystki. – Jesteś zmęczona, Astrid. Obie jesteśmy zmęczone. Zakończmy to.

Dwie znużone czarownice mierzyły się nawzajem wzrokiem. Astrid zrobiła wdech, nic jednak nie powiedziała. Zamiast tego westchnęła, a na jej okrutnej i pięknej twarzy pojawiły się nowe zmarszczki, jakby mijający czas w końcu znalazł lukę w ich świecie.

Wzięła od Marion księgę. Powoli przesunęła ostrym paznokciem po budzącej postrach oprawie, następnie wsunęła delikatnie jego czubek między kartki. Otworzyła księgę.

Ich jasne głowy zetknęły się ze sobą, gdy Astrid i Marion odczytały nazwę zaklęcia.

*Aby rozplątać swoją klatkę.*

Okultystka miała w sobie odwagę. Nie można jej tego odmówić. Po chwili, która wystarczyła, aby przebiec wzrokiem po zaklęciu, Astrid zaczęła wypowiadać słowa, które rozwiążą ich świat.

Gdy recytowała, Marion zamknęła oczy. W panującym w jej głowie mroku obserwowała jak ściany się zapadają, a czas przesypuje niczym sól. Widziała jak wszystkie skarby krótkiego życia okultystki bieleją, po czym zamieniają się w pył.

Może Marion rozpadałaby się razem z nimi. Może podskoczyłaby jak butelka, wystrzeliła jak gwiazda, wyparowała albo eksplodowała albo mocno się trzymała, zbyt przyzwyczajona do świadomości, aby tak łatwo się jej wyrzec. Nie otworzyła oczu nawet wtedy, kiedy Astrid się w nią

wczepiła – z przerażeniem? Wdzięcznością? – a kiedy nic już się nie trzymało nadal ich nie otwierała.

*Ivy, powiedziała. Ivy. I trzeci raz: Ivy.*

Marion sądziła, że zbyt wiele w życiu widziała, aby czuć jeszcze strach, jednak nie знаła przerażenia równie czystego, jak uczucie, które ją ogarnęło, kiedy uścisk palców Astrid zelżał, zastąpiony doznaniem spadającego piasku.

Trzymała się kurczowo samej siebie pośród szalejącej burzy, która ją także chciała zamienić w pył. Jej palce rozrywały ubrania Marion na strzępy, następnie na cząsteczki. Pozostała jedynie płonąca szpada w jej wnętrzu, dlatego że Astrid nie miała racji. Marion miała środek. A ten środek, ten ogryzek jabłka skupiony był teraz na końcu.

*Ivy.*

Wszystko, czego człowiek potrzebuje, to wiedza i wiara oraz wola wyostrzona przez czas niczym stal. Pragnienie tego, czego się szuka. Marion czuła smagający wiatr, zapiaszczony od szczątków uwolnionej okultystki. Przez intensywnie pustą chwilę nie czuła nic.

A potem...

Bezkres. Świat bez ścian.

Otworzyła oczy i ujrzała gwiazdy. Prawdziwe. Gwiazdy na prawdziwym niebie i chłodny wiatr, który owiewał ją jak... jak cholerny wiatr. Otulał ją bezbrzeżny oddech nocy, a ona czuła się w nim pijana i szalona.

Świat Astrid umarł, lecz Marion nie zginęła razem z nim.

Była boso. Pod stopami czuła mokre i ziarniste coś, co maszyny latem wylewają, aby tworzyć drogi. Asphalt, pomyślała i wybuchnęła śmiechem. Podniosła wzrok na szklany klosz niemającego końca nieba, coraz wyżej i wyżej, aż dotarła do miejsca, gdzie gwiazdy ustawiły się w szeregu.

To coś znaczyło. Jakoś się to nazywało. Sięgała właśnie po słowa, kiedy dźwięk, który wcześniej zarejestrował tylko jej kręgosłup, zamienił się w nacierającego na nią bialookiego potwora.

Marion zamarła, cała zdjeta przerażeniem, wtedy jednak potwór zmienił kurs, oddalając się od niej z rykiem. Dopiero kiedy przestał się poruszać, pomyślała: „Samochód. Mało nie przejechał mnie samochód”.

Instynkt kazał jej dać susa między drzewa. Smagające ją gałęzie i wszystko, co ją drapało, było darem, śmiała się w głos, czując ból otwartej skóry oraz swędzący pot i przyjemność, jaką sprawiał omiatający nagał skórę wiatr.

Wyczuła wodę – a może ją usłyszała – i ogarnęło ją przemożne pragnienie zanurzenia się w niej. Wybiegła spomiędzy drzew, a chwilę później wpadła do ospałego strumienia, zapadając się po kostki w mulistym dnie. Pozostała część niej płynęła razem z prądem. Woda ją kołysała, uwodziła. Marion śmiała się delirycznie i oklepywała swoją skórę po to tylko, aby poczuć, że ją ma.

A potem: ostre, punktowe światło na niej, docierające gdzieś spomiędzy drzew. Czaiły się tam dwa obserwujące ją kształty.

Ludzie! Marion długo nie musiała być człowiekiem, ale chętnie do tego wróciła. Cieszyła ją każda nowa rzecz. Zawołała do nich coś prowokującego, coś ordynarnego, chcąc, aby podeszli bliżej. Kiedy nie zareagowali, poczuła może nie strach, ale pierwsze ukłucie świadomości: była znowu jednym ze zwierząt w świecie, gdzie jest ich pełno.

Najpierw sięgnęła po magię, lecz ta nie przyszła do niej. Wcale jej to nie zaskoczyło, wyszła w tym miejscu z wprawy. Następnie wzięła do ręki wielki patyk.

Wtedy światło zgasło i zobaczyła dwie przyglądające się jej osoby. Jedną z nich była Ivy.

Marion musiałaby mieć inny rodzaj serca, aby poczuła, jak ono puchnie, poczuła, jak pęka. Ale rzeczywiście zabolął ją widok tej dziewczyny tak blisko, tak prawdziwej. Miała włosy Dany, ale twarz delikatniejszą. Cała pewność siebie wyparowała z niej wraz z magią. Marion upajała się triumfem i uczuciem podekscytowania, lecz widok tej ugrzecznionej wersji Ivy ją otrzeźwił.

*Teraz mnie nie pamiętasz, miała ochotę powiedzieć, ale przypomnisz sobie, kiedy nadejdzie czas.*

Jeszcze nie teraz. Miały wystarczająco dużo czasu i świata.

Marion zdążyła zapomnieć o swojej nagości. Przypomniała jej o niej Ivy, która zdjęła koszulę i rzuciła w jej stronę. Chwyliła ją, a jej mózg wychwytywał już zapachy.

Na razie pozwoliła dziewczynie odejść.

– Dzięki, Ivy! – zawołała.

Ucieszyła się, kiedy zobaczyła, jak zaskoczona Ivy odwraca się przez ramię w świetle księżyca.

To był początek. Marion musiała się ogarnąć, musiała wrócić do poruszania się z odpowiednią prędkością. Obserwowała przez lata scenę, w której Fee ostrzegła Danę przed ponownym otwarciem złotego pudełka. Mogło to znowu złamać Ivy, a nawet uczynić coś gorszego. Trzeba ją było zwabić z powrotem w zarośla. Magia musiała połyskiwać gdzieś w tle. Trzeba zasiać ziarno i wywabić je z ziemi, nim Ivy będzie gotowa, aby wszystko otrzymać.

Jedną ręką odda Ivy jej magię. Drugą rozerwie Danę na strzępy. Umieści bombę pośrodku jej uroczego życia i dopilnuje, aby usłyszała tykanie.





# CZĘŚĆ III





## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY



KOŁYSZESZ SIĘ W NIEBIESKICH OBJĘCIACH podmiejskiego basenu. Naga, krwawiąca, mocno ściskająca pudełko ze złota. Unosisz jego wieko i cała się rozsypujesz

Oto historia Złotego Pudełka.

*Dawno, dawno temu żył sobie książę i dziewczyna, która go kochała. Ale zła czarownica ukradła jego wspomnienia i zamknęła je w złotym pudełku.*

Spróbuj jeszcze raz.

*Dawno, dawno temu żyła sobie matka i córka, która ją kochała. Ale prawda sprawiła, że z oczu dziewczyny spadły łuski. Matka nie mogła znieść widoku prawdy o sobie w twarzy córki, dlatego ją ukradła. I zamknęła w złotym pudełku.*

Co wraca pierwsze? Zapach. Jałowiec i liście laurowe gotujące się w rondlu. Dłonie twojej matki – jedna naznaczona bliznami – rozkruszające zioła w moździerzu.

Gwiazdy, większe od tych, które znasz. Tak wielkie, że przysięgasz, że widzisz gwiazdne dzieci nad brzegami rzek, gonione przez falujące flagi ich niebiańskich włosów.

*Istnieje prawda, mówi twoja matka, i istnieje fikcja. Obie są potrzebne.*

Czy jej głos był kiedykolwiek równie cierpliwy, a uwaga skupiona wyłącznie na tobie? To życzenie czy wspomnienie?

Wspomnienie. Zbliża się ich więcej.

*Niektóre rodzaje magii są dla każdego. Jej oczy niczym niebieskie agaty, lecz cieplejsze. Uprawianie różnych rzeczy, pogoda. Księżyc należy do nas wszystkich.*

*Paznokcie, ślina. Możesz być jak ogród.*

Szkolna klasa. Gorący kurz, dezodorant i marker ze zdjętą zatyczką. Nauczycielka staje nad tobą i patrzy na twój zielony gąszcz. Każde dziecko ma kartonik z ziemią, w której umieszcza nasiona. Niecierpliwa, pomogłaś swoim nasionom. Teraz twój karton to dżungla kielków wyrosłych o wiele dni za wcześnie. Nauczycielka – która cię nie lubi i nie potrafi powiedzieć dlaczego – wyrzuca twój karton do śmieci.

Twój brat, smagający cię po gołych nogach kuchennym ręcznikiem. *Zamknij się, ledwie cię tknąłem!* Później twoja matka przyłapuje cię na zbieraniu włosów z jego szczotki i uderza cię w twarz, pierwszy raz w życiu. *To nie jest broń, oświadcz, podczas gdy ty głośno szlochasz. Jeśli będziesz ją stosować przeciwko bratu, przeciwko komukolwiek, to ustanie.*

Jak mogłaby ustać? Pszczoły i chmury, i piasek nie ustają. Serce ci bije, włosy rosną, dłonie i głowa, i serce skwierczą od słodkiej, zielonej elektryczności, która mieszka w tobie i wokół ciebie, a którą twoja matka i ciocia nazywają pracą. Możesz to kształtować, nakierowywać, ale nie możesz odmówić.

Wydobywasz tylko tyle wspomnień, aby czuć, jak twoje bezbronne ciało, czerwone mięso i gwiazdny pył, unosi się w przejrzystej wodzie basenu. Ktoś unosi się tam razem z tobą. Ktoś mocno cię trzyma. A potem znowu tracisz przytomność.

Idziesz nocą przez łąkę. Towarzyszy ci twoja matka, a trawa sięga ci bioder. I znowu ta sama łąka, ale teraz jesteś wyższa i trawa kończy ci się nad kolanami. Tuż przed tobą idzie twoja ciocia z sekatorem w ręce. Księżyc dzień lub dwa dzielą od pełni. Swędzi cię nos w oczekiwaniu na oddzielenie w półmroku ziół od traw.

*Daj spokój, ciociu. Nawet małej latarki?*

*Nawet świeczki, nowoczesna dziewczyno.*

Wspomnienia napływają teraz szybciej.

Oto jedno z czasów, zanim potrafiłaś je tworzyć, głos matki wdrukowany w twój niemowlęcy umysł niczym igły sosny w wosku. *Płyń,*

*maleńka, płyn, mama jest zmęczona i musi się przespać.*

Idąca przez las w sukience na ramiączkach, szukająca domków wrózek. Zapukać dwa razy w jesion, trzy razy w modrzew. Zostawić poczęstunek.

Koszmary po pizamowym przyjęciu. Oblekanie świeżej pościeli spryskanej wodą lawendową, aby odgonić złe sny.

Niebieskie kwiaty w kształcie języków. Coś słonawego na kuchence. Krew na twoich kolanach. Wspomnienia płyną niczym powódź, powódź zamienia się w rzekę, a ty unosisz się na niej, wirujesz jak liść, bliska pójścia pod wodę.

*Ktoś ci mówi do ucha. Ivy. Silna dziewczyna, mądra dziewczyna. Uczyń siebie fortecą. Uczyń siebie arką. Jesteś sejfem, jesteś żaglówką, jesteś balonem na gorące powietrze. Trzymaj się mocno swoich krawędzi. Jesteś płaszczem przeciwdeszczowym.*

Nie wiesz, jak to robisz, ale jednak ci się udaje: odsuwasz od siebie swój umysł. Czynisz go wodoodpornym. Natrafiasz na wyspę: wspomnienie tak wyraźne i krystaliczne, że możesz położyć się na jego brzegach i odpocząć.

*Piegi. Oto, co się pojawia.*

Jesteś mała, i to tak, że nieobcinane włosy opadają ci na plecy. Zapomniałaś, jakie były ciężkie. Masz na sobie ogrodniczki, które wcześniej należały do twojego brata, i T-shirt z dziurą przy wycięciu. Kucasz w wiosennym piasku. W kąciку twoich ust jest coś lepkiego, co sprawia, że dotykasz go językiem. Syrop klonowy.

Obserwuje cię chłopiec. Wczoraj po drugiej stronie ulicy zatrzymała się furgonetka firmy przeprowadzkowej, a dzisiaj przez szparę w ogrodzeniu obserwuje cię chłopiec z kręconymi brązowymi włosami i piegami, i uśmiechem Piotrusia Pana.

Jesteś mała, ale wystarczająco duża, by znać Zasadę przez duże Z: Nie pozwól, aby ktokolwiek zobaczył, co potrafisz. Te rzeczy należą do świata, który należy do ciebie (i twojej matki, i twojej cici) i nikomu ich nie masz pokazywać, nigdy. Ani koleżankom z piłki nożnej, ani koleżankom ze

światlicy, ani koleżankom z obozu, a jeśli Hank będzie ci zadawał pytania, odeślij go do mnie.

Ale teraz jest wiosna. Poczułaś zmianę, kiedy się dzisiaj obudziłaś. Tę porę roku cechuje niecierpliwość, która ułatwia pracę. Słońce nie wisi jeszcze wysoko na niebie, a mimo to pojawia się ten uśmiechnięty nieznamy, twojego wzrostu i jaśniejący ciekawością niczym lampka bożonarodzeniowa.

Kłęka obok ciebie. Powinnaś próbować ukryć to, co robisz, zaprzeczyć, ale jesteś zbyt dumna, zbyt głodna, aby podzielić się tą tajemnicą: że potrafisz robić coś, czego inni nie potrafią.

Przed sobą masz kępę koniczyny. Za pomocą dotyku i siły woli nadajesz każdej roślinie nowe ambicje, nakłaniasz je do rozwinięcia szczęśliwego czwartego listka. Niektóre mają ich nawet pięć. Przeczesujesz je palcami, znajdujesz właśnie taką i wręczasz ją chłopcu.

*Ja pierdziu*, mówi tym swoim chrapliwym głosem Peppermint Patty. *Pokaż jeszcze raz.*

Od samego początku ty i Billy byliście magią.

Z nim zawsze jest lato. Światło latarki, żaby i pieczenie w nogach, gdy biegniecie za furgonetką z lodami. Nawet twoje zimowe wspomnienia mają w sobie roztopioną fakturę czerwca. Zaczyna się od magii, ale po jakimś czasie wcale już o nią nie chodzi. Nie o samo jej robienie, lecz o tajemnicę. Ona wiąże was mocniej niż pakt śliny,

Przez większość dni trzymają się was głupotki. W większość dni jeździcie na rowerach, budujecie forty, w markecie kupujecie wielkie paczki żelków i zjadacie je podczas oglądania filmów. Ale bywają takie dni, kiedy pokazujesz mu, co potrafisz, a on przygląda się temu z podziwem i bez zazdrości – oboje promieniejecie wtedy twoim darem.

A pośród tego wszystkiego przeplata się rosnąca świadomość, grająca w was niczym piosenka. Migotanie, które przekształca się w uczucie, którego nie zatrzyma żadne słowo.

A potem w końcu pocałunek. W strumieniu, we fioletowej godzinie. Mokra rzęsa, piegi i usta słodkie od lodów.

Pragniesz odzyskać tu równowagę, w środku tego ładnego letniego snu, ale woda zabiera cię dalej. Teraz robi się bardziej kamieniste i przypominasz sobie rzeczy, o których wcale nie tak źle było nie pamiętać.

Nachylasz się nad lustrem, opuszką palca prześlizgujesz się po jego powierzchni, a w sercu bije delikatna trwoga. Dlatego, że kochasz swoją matkę. To twoja matka, niecierpliwa i kpiarska. Zielone drzewo, pod którym się chronisz, ciężki orzech do zgryzienia. Ale jest także kłamczuchą. Ma tajemnice, luki w swojej przeszłości, którą sądzi, że tak dobrze ukrywa. Chce, abyś przyhamowała z magią, wydzielala ją małą łyżeczką. Gdybyś mogła się z nią skonfrontować, dokopać do dowodu świadczącego o tym, że nie zawsze była dobrą czarownicą, którą udaje, że jest, może w końcu powiedziała ci to wszystko, czego tak się pragniesz dowiedzieć. Może przestałaby podcinać ci skrzydła.

Pewnego późnego, letniego wieczoru zabierasz spory kawałek magii z półki zatytułowanej „nawet o tym nie myśl” i tworzysz dla siebie lustro szpiegujące. Z jego głębi wyłania się szepcząca do ciebie zjawa. *Ja jestem sekretem twojej matki.*

Sekret twojej matki okaże się większy, niż mogłaś przypuszczać. Większy, niż chciałaś wiedzieć. Ale twoja ciekawość jest ciut głośniejsza od rozlegających się w głowie dzwonów ostrzegawczych.

*Znałam twoją matkę, mówi duch z bladymi ustami. Byłam z nią młoda. Od tamtego czasu krążę po korytarzach Pieła. Chciałabyś się dowiedzieć, jak się tu znalazłam?*

Kochasz swoją matkę. Masz wystarczająco dużo lat, aby wiedzieć, że jest niedoskonała i jesteś na tyle bystra, aby nazwać niektóre z jej wad.

Do czasu, gdy dowiadujesz się, co takiego zrobiła, bo wiedza ta zmienia cię niczym reakcja chemiczna.

Jesteś już blisko końca. Powódź wspomnień opada, sięga zaledwie kolan.

Ostatnia kłótnia z matką, słowa wystrzelające między wami niczym petardy. Jej ręce skrzyżowane na piersi, na twarzy ostrożność, a potem przerażenie.

Wkłada ci w ręce złote pudełko. Gdy chłodny metal styka się z twoją krwią, zamienia się w coś żywego, okrutne usta, które cię pożerają. Oczy twojej matki są mokre i pełne wyrzutów sumienia, jak u zabójcy, który płacze, gdy jego sztylet coraz bardziej się zagłębia.

Pudełko pozbawia cię najlepszych i najdziwniejszych fragmentów siebie. Przekształca w inną dziewczynę. Twoja matka zamienia cię w kogoś, kto jest bezproblemowy, a potem nie potrafi kochać tego, co stworzyła.

To koniec. Znasz wszystkie swoje tajemnice.

No dobrze. Otwórz oczy.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY



Przedmieścia

*Teraz*

OBUDZIŁAM SIĘ Z KRZYKIEM.

Ktoś mnie dotykał. Jego usta znajdowały się blisko mojego ucha.

– Ivy. Ivy, czy ty...

Ponownie krzyknęłam. Tym razem słowa, nabrzmiałe przerażeniem i potrzebą tego, aby mnie nie dotykano. Usłyszałam głuchy odgłos, jaki wydaje ciało napotykalające przeszkodę.

Próbowałam odwrócić się w stronę tego dźwięku, lecz nie miałam gruntu pod nogami. Rzucalam się, aż w końcu dotarło do mnie, że jestem w basenie, unosząc się bezcielesnie na wodzie jak niebieskie światło. Popelniłam błąd i spojrzałam do góry, a gwiazdy znajdowały się tak cholernie blisko. Wiedziałam, że na mnie patrzą, tysiąc tysięcy srebrnych oczu, przed którymi nie mogłam się ukryć. Zrobiłam wdech, aby odpędzić je krzykiem, i do ust wleciała mi woda.

Miała smak śmierci. Próbowałam ją wykaszleć, odetchnąć, lecz szyja nie chciała mi normalnie pracować, żadna część ciała nie chciała, i połknęłam jeszcze więcej wody. Znajdowałam się teraz pod nią i rozpaczliwie starałam się wydostać na powierzchnię, tyle że zamiast tego jeszcze bardziej się zanurzałam. Napałam dłońmi na dno basenu, jakby pod moim naporem miało ustąpić.

Tonęłam. Mając w płucach zbyt mało powietrza, aby dryfować, zbyt słaba, aby płynąć. Moje ciało się obróciło i wpatrywałam się teraz w tę chlorowaną błękitną kopułę, która mnie zabije. Złote pudełko znowu się

zamknęło i upadło na płytki. Chwyciłam je jedną pozbawioną kości dłonią. Druga dryfowała gdzieś nade mną. Moje palce się poruszyły, usta uformowały słowo, którego nie znałam, i wystrzeliłam na powierzchnię z taką siłą, że niemal wyskoczyłam spomiędzy zeber, nim opadłam na wodę.

Tym razem wpatrywałam się w gwiazdy, oddychając, aby oczyścić się ze smaku tonięcia. Woda, która by mnie zabiła, teraz utrzymywała mnie niczym kwiat w filizance, nigdy jednak nie zapomnę, co próbowała zrobić.

Błękit był delikatnie naznaczony czerwienią. Ta czerwień dryfowała, przekształcając się w różowe chmury, i było to takie ładne, że nie rozumiałam, dlaczego całe moje ciało się spięło.

Wtedy zobaczyłam unoszącą się w basenie dziewczynę. Te wszystkie ładne chmury wyfruwały z jej głowy. Przypomniłam mi się ten okropny głuchy odgłos i wiedziałam, że to moja sprawka, że słowa, jakich użyłam do odsunięcia jej od siebie, cisnęły ją prosto na ścianę.

Uświadomienie sobie tego podziałało na mój mózg niczym przyływ adrenaliny, robiąc miejsce na moje imię i jej, i imię tego chłopaka, którego kochałam, kiedy miałam dwanaście lat, i mojej matki, która odebrała mi więcej, niż sądziłam, że posiadam.

Gardło miałam zbyt obolałe, aby znowu krzyknąć, więc doszłam do brzegu basenu i wyciągnęłam z wody ciało Marion.

W chwili, gdy wyszłam z basenu, zrozumiałam, dlaczego kazała mi otworzyć złote pudełko w wodzie. Kiedy znowu poczułam swoje ciało – jego przemoczony ciężar, wyczerpanie, stare ugryzienia i nowe otarcia – wszystko na świecie się wyostrzyło.

Niebo obracało się jak dyskotekowa kula, basen połyskiwał niczym diamentowy pył. Czułam zapach trawy, chloru, deszczu. Ale czułam także benzynę w stojącym po drugiej stronie domu samochodzie mojego taty i plastikowy tułów tamtej leżącej daleko laleczki Ariel, i płytki oddech trzech śpiących osób w tym wielkim, cichym domu. Pod skórą miałam konfetti, moja krew była wodą sodową. Miałam ochotę wypiąć się z tego ciała i oddalić.

Mogłam wskoczyć ponownie do basenu albo zrobić coś innego, coś szybszego, co by usunęło żywiołowość z tej nabrzmiałej nocy.

Mogłabym rzucić zaklęcie.

Nie myśląc, wyciągnęłam swój umysł w stronę magii, i tym, czego dosięgam, była bawełniana granica tego śpiącego zaklęcia, które Marion rzuciła na dom. Teraz, kiedy rzeczywiście je czułam, nie wydawało się już ospale i słodkawe. Było jak zatęchły koc, ciężkie jak kamień, rozłożone na mózgach tamtych ludzi. Tylko dlatego, że pechowo byli właścicielami ukrytego w lesie domu z basenem.

Uchwyciłam krawędź tego koca palcami i zębami i rozdarłam skurwiela na pół.

No dobrze. Marion. Obróciłam ją tak, że teraz jej nagie plecy stykały się z zapiaszczonym betonem, i ostrożnie dotknęłam ciemnej rany z tyłu jej głowy. Moja znajomość zasad udzielania pierwszej pomocy była bardzo ograniczona, ale uznałam, że jeśli wystarczająco mocno nacisnę, to woda wypłynie.

Wyobraziłam sobie, że płyn zgromadzony w jej klatce piersiowej to mapa dopływów. Gdy przycisnęłam nasady dłoni do wychudzonego V poniżej mostka, mapa się rozjarzyła. „Wypłyn” – pomyślałam, dotykając lekko dłonią jej żeber.

Woda trysnęła z jej ust lepkiem strumieniem. Marion zakaszłała i przekręciła się na bok. Przez chwilę tak leżała, łapiąc głośno powietrze, podczas gdy ja próbowałam ogarnąć umysłem to, co zrobiłam. Następnie przesunęła dłonią po swoich ustach i zbliżyła ją do tylnej części głowy.

– Zszyj, zszyj – powiedziała.

Nie widziałam zasklepiającej się rany, wyczułam jednak zakłócenia wokół czaszki. Magia Marion przemykała niczym król szczurów, stworzenie o zbyt wielu kończynach i nienaturalnie szybkie. W ustach mi zaschło.

Po wszystkim usiadła, naga czarownica z koroną z krwi.

– Przepraszam – rzekłam bez tchu. – Nie chciałam zrobić ci krzywdy.

– Pamiętasz teraz?

Tak wiele było do pamiętania. Wiedziałam jednak, że pyta, czy ją pamiętam. Lustro szpiegujące, pogrążony w ciemności pokój i jej opowieści.

– Pamiętam.

– I rozumiesz, jak bardzo jesteś silna.

Kiwnęłam głową, ale nie rozumiałam. Nie do końca. Nie potrafiłam ogarnąć wszystkiego, co teraz o sobie wiedziałam. Wszystkie odzyskane skrawki wiedzy i myśli, i doświadczeń to się wyostrzały, to się stawały niewyraźne. Miałam przeczucie, że moja głowa jeszcze długo będzie się wypełniać tym, co stracone i przypomniane. Może nawet do końca życia.

Marion błędnie wzięła moje milczenie za trwogę.

– Możesz wszystko – powiedziała łagodnie. – Nie szkodzi, że na razie nie potrafisz tego kontrolować. Mogę ci pomóc. Możemy... Och, Ivy. – Oczy jej błyszczały. – Tylko pomyśl. Pomyśl o tym, co my możemy zrobić.

– My – powtórzyłam.

– Jeśli chcesz. – Wysunęła do przodu brodę. – Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną.

– Dokąd?

Przez chwilę na jej twarzy rysowała się niepewność.

– A dokąd chcesz?

– Ja... ja nie... ja muszę... – wyjąkałam i pokręciłam głową.

Potrzebowałam zostać sama. Aby pozwolić, by te ostre krawędzie złagodniały, nowe informacje ugruntowały się. Ona chciała, abym myślała o tym, co będzie dalej, podczas gdy jedyne, co widziałam, była wisząca nade mną twarz mojej matki, podświetlana od dołu przez blask pudełka. A co ze wszystkim, co wydarzyło się przed tamtą nocą? Co z czułością, tym, kim byliśmy dla siebie, nim wszystko odebrała? Te wspomnienia zbyt jeszcze były jasne, aby na nie patrzeć, zbyt gorące, aby ich dotknąć.

I Billy. Te wszystkie lata z nim, te wszystkie zmarnowane lata bez niego. Miałam dwanaście lat, gdy o nim zapomniałam. Czy naprawdę można się

zakochać, kiedy ma się dwanaście lat? Na samą myśl o tym mój żołądek zamieniał się w roztopione lody.

I magia. Magia? Pierdolona magia!

Gorycz, słodycz, lśnienie. Próbowałam oddychać, ale ta nowość walnęła mnie w głowę i nagle łapałam głośno oddech.

– Cholera. – Marion przysunęła się, ale już nie próbowała mnie dotykać.  
– Wracaj do basenu. Albo zaczekaj. Rzuć jakiś czar.

– Jaki? – Gorączkowo pocierałam głowę. Kręciła się jak karuzela i nie potrafiłam się skupić na tylko jednym zaklęciu.

– Jakikolwiek. – Rozejrzała się, dostrzegła leżące na ziemi swoje ubranie.  
– Mam zapalki. Rzucimy zaklęcie energii.

Podniosła szybko dzinsy, a kiedy to robiła, z kieszeni wypadł telefon. Upadł ekranem do ziemi, więc zobaczyłam obudowę. *Judith Klimta*, tak dobrze mi znana, że do oczu nabiegły mi łzy, jeszcze zanim zrozumiałam, co to oznacza. To był telefon cioci Fee.

Spojrzałam na obudowę, następnie przeniostałam wzrok na nagle milczącą Marion. Czekwała, chcąc się przekonać, co zrobię.

Ponownie przypomniałam sobie, jak po wizycie w sklepie stałam przed domem cioci, to wędrujące po skórze uczucie, że jestem obserwowana. Teraz wiedziałam, że to była Marion. Wyraźnie, jakby to był film, zobaczyłam, jak stoi w oknie na piętrze, a jej palce wystukują w telefonie cioci odpowiedź. Wiadomość, dzięki której uwierzyłam – dzięki której chciałam uwierzyć, pozwolić sobie uwierzyć – że moja matka i ciocia są razem, nic im nie jest i tylko zachowują się egoistycznie.

– Gdzie one są? – zapytałam. – Gdzie moja matka?

– Przejmujesz się? – Wypowiedziała te słowa tak szybko. – Teraz, kiedy wiesz to, co wiesz, czy rzeczywiście przejmuje się tym, gdzie ona jest?

Głos mi drżał.

– Zrobiłaś im krzywdę?

– One nie są martwe. – Kąciki jej ust uniosły się w pozbawionym radości uśmiechu. – Nie jestem aż taka miłosierna.

– Mój Boże, Marion, co ty im zrobiłaś?

– Twoja matka cię stłamsiła – syknęła. – Zapomnij o tym, co zrobiła mnie. Odkąd byłaś dzieckiem, próbowała zabić w tobie czarownicę, tę cholernie silną czarownicę, której umiejętności sprawiają, że sama wygląda jak magik z przyjęć urodzinowych. Ale ja też cię obserwowałam. I ja byłam dumna. I ja odnalazłam drogę powrotną z Piekła, aby ci zwrócić to, co ukradła, aby na nowo cię zmienić w tamtą Ivy, czarownicę, która poszukiwała swojej drogi, była głodna i autentyczna. A teraz proszę, marnujesz swój oddech na kobietę, która wypatroszyła twoją magię jak makrelę.

Uniosłam ręce, jakbym mogła powstrzymać te słowa przed dotarciem do mnie. Ale najwyraźniej rzuciłam coś także na nią: ból w mojej głowie, niezadowolenie z wiedzy, że to, co powiedziała, jest przynajmniej w połowie prawdą. Odchyliła się, a przez jej twarz przemknęła niepewność.

– Okej – powiedziała z napięciem. – Raz ujdzie ci to na sucho.

Ale może zobaczyła w mojej twarzy coś, co jej powiedziało, że zbliża się coś jeszcze. Uszczypnęła palcami powietrze i wyczułam, jak jej magia zbliża się na małych, szczurzych łapkach. Byłam w tym zbyt nowa, moje obecne i poprzednie ja zderzały się ze sobą niczym kule ognia. Nie okażę się wystarczająco szybka, by choćby się uchylić.

Wtedy na Marion padł kwadrat żółtego światła, mnie pozostawiając w ciemności. Na piętrze jedna z obudzonych przeze mnie osób zapaliła światło. Marion spojrzała w tamtą stronę i zamrugowała.

Puściłam się biegiem.

Prosto przez opadający w dół trawnik, w stronę drzew. Wpadłam między nie i przypomniałam sobie, że nadal jestem naga. Jedyne, co ze sobą zabrałam, było złote pudełko. Czułam w ręce jego ciepło. Jakimś cudem nie bolały mnie stopy. Wtedy sobie przypomniałam: Marion je zaczarowała.

*Masz mnie nie widzieć, myślałam, biegnąc. Jestem Nikim. Masz mnie nie widzieć.*

Dawniej czytałam sporo poezji, dawnej i współczesnej. Biegłość w języku i metaforach okazywała się przydatna w magii. Niczym zjawą pojawiło się wspomnienie: mama czytająca mi hipnotyzujący wiersz Tennysona, a potem opowiadająca ze śmiechem o tym, jak ona i tata się poznali.

Fizycznie strząsnęłam z siebie to wspomnienie. Smutek nie zapewniał prędkości. Ból nie zapewniał bycia niewidzialną. Wyczułam, że Marion może podążać w ślad za żalem, za wonią gniewu.

Usłyszałam ją, niezbyt daleko za mną. Potem bliżej, tak blisko, że krawędzie liści, przez które biegłam, omiatało dzierżone przez nią światło. Przypuszczalnie jakaś jarząca się czarodziejska kula. A może jedynie latarka.

*Jestem Nikim. Masz mnie nie widzieć.*

Ja nie tylko uciekałam. Ja biegłam ku czemuś. Wyczuwałam przed sobą pulsujące, nieznane mi miejsce docelowe, z poczuciem nocnego bezpieczeństwa i wyciągniętych ramion, a kiedy tam dotarłam, okazało się, że to leszczyna.

Przycisnęłam dłonie do jej kory, wdychając dobry, zielony oddech i czując, jak pozbawione korzeni fragmenty wewnątrz mnie uspokajają się. Wszystkie wersje Ivy, którymi byłam. Marion znajdowała się tak blisko, że widziałam łuk niesionego przez nią światła. Nie spenetrowało jednak kręgu wokół drzewa. Mojego drzewa, tego, które przywołało mnie w snach, kiedy miałam dziesięć lat. Siedem lat temu razem z moją matką wypłatałyśmy je ze złego czaru rzuconego przez jakąś inną czarownicę; teraz ono mnie ochroni. Dotykając dłońmi kory, zamknęłam oczy i usłyszałam, jak Marion przebiega obok nas.

Kiedy się oddaliła, podziękowałam drzewu i znowu zaczęłam biec.

*Jestem Nikim. Masz mnie nie widzieć.*

Wpadłam w rytm słów i tatuazu moich stwardniałych stóp. Czułam, że kieruje mną światło księżycy. Podążyłam za nim w stronę drogi.

*Masz mnie nie widzieć*, pomyślałam, kiedy wybiegłam na czarny asfalt.

I krzyknęłam.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY



Przedmieścia

*Teraz*

SAMOCHÓD, KTÓRY MAŁO MNIE NIE POTRĄCIŁ, wykonał szaleńczy skręt, ale udało mu się pozostać na drodze. Zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów ode mnie. Ktoś otworzył gwałtownie drzwi od strony kierowcy i wysiadł.

– Ivy, co to ma, kurwa, być?

Oczy Nate'a były wielkości księżyca, jedno otoczone żółcującym siniakiem. Z głośników leciała jakaś piosenka zespołu Haim.

– Nate. – Podziękowałam w myślach siłom, które go tu sprowadziły. – Potrzebuję podwózki.

Podszedł do mnie i chwycił za ramię, wbijając palce tuż nad łokciem.

– Oszalałaś? Czy w tym mieście jest jakaś sekta nagich leśnych kobiet? Które próbują wsadzić mnie do pierdła za nieumyślne spowodowanie śmierci?

A potem krzyknął i zabrał rękę. Nie miałam pewności, co zrobiłam, lecz czułam pulsowanie w skroniach i wiedziałam, że to było jakieś zaklęcie. Zrobiłam krok w przód. Nate lekko się cofnął.

– Nie łap mnie tak więcej. Nigdy.

– Okej – odparł oszołomiony, patrząc to na mnie, to na swoje palce. – Jasne.

Obejrzałam się na las.



– Słuchaj, naprawdę potrzebuję podwózki. Nie prosiłabym cię, gdyby to nie było ważne.

Kiwnąłem głową i udałem się razem z nim w stronę samochodu. W którym siedziała jakaś dziewczyna i gapiła się na mnie. Coś mi mówiło, że to uczennica drugiej klasy. Miała ciemnorude włosy obcięte na pazia i urodę w stylu Charlotte Gainsbourg.

– Cześć – rzuciłam, wsiadając do tyłu.

Obejrzałam się i omiotłam wzrokiem las. Gdy Nate wrzucił bieg, pomiędzy drzew wychynęła Marion. Nisko nad ziemią, jakby się czołgała.

– Hej – powiedziała niepewnie dziewczyna. – Widzisz to?

– Jedź – rzuciłam. – Jedź.

Marion zdążyła się już wyprostować i stała teraz na poboczu. Okropnie było ją widzieć, ale jeszcze gorzej się poczułam, kiedy zniknęła.

Nachyliłam się między dwa przednie fotele i obserwowałam drogę. Przerywana biała linia działała na mnie uspokajająco.

– Eee... – Dziewczyna poprawiła się na fotelu, nie oglądając się na mnie.

– Mam w torbie ciuchy sportowe. Nie są czyste, ale...

– Dziękuję – odparłam. – Nie szkodzi, że nie są czyste.

Podawała mi czarne rzeczy, a ja się w nie wcisnęłam. Pomógł sam fakt, że jestem ubrana. Nie chodziło o moje poczucie przyzwoitości, które – jak mi się zdawało – pozostawiłam w swoim życiu przed złotym pudełkiem, ale to dziwne uczucie wielkości.

– To była ta dziewczyna z tamtej nocy? – Głos Nate'a był pełen napięcia.

– Tak – odparłam. – To ona.

Długa pauza.

– Czyli jednak cię znała.

– Tak.

– Nie rozumiem – powiedział cicho, do siebie. A potem: – Dasz sobie radę?

Zadał to pytanie tak, jak robią to ludzie, kiedy chcą usłyszeć: „Tak. Oczywiście”, dlatego spojrzałam mu w oczy w lusterku wstecznym i odparłam:

– Tak. Oczywiście.

Jechał w stronę mojego domu, ale nie mogłam się tam udać. Marion wkrótce się tam zjawi. Nie chciałam sobie wyobrażać, co zrobiłaby mojemu tacie, gdyby musiała przez niego dotrzeć do mnie. Żadne miejsce nie wydawało się wystarczająco bezpieczne, wiedziałam jednak, gdzie chcę się udać, dlatego rzekłam do Nate’a:

– Tam mnie wyrzucić.

Zatrzymał się obok porośniętego trawą, szarego od światła księżyca wzgórza, które łączyło się z rzędem ogrodzonych posesji.

– Mogę podjechać jeszcze kawałek? Nie chcesz, abym cię wyrzucił pod domem?

Wskazałam na tył posesji Billy’ego. Wielkie podwórze z ogródkiem warzywnym i zajebistym domkiem na drzewie, który pomógł zbudować swojemu tacie rok po tym, jak się tu wprowadzili. Spędziłam w tym domu mnóstwo godzin.

– Tam idę.

– Dom Billy’ego Paxtona. – Niemal udało mu się wypowiedzieć te słowa tonem neutralnym.

– Dzięki za podwiezienie – odparłam, wysiadając. I rzeczywiście byłam mu wdzięczna.

– Nie ma sprawy. Ale hej, Ivy.

Obejrzałam się na niego, na jego poważne oczy i strupek nad ładnymi ustami.

– Nikomu o tym nie powiem. Obiecuję.

– Pewnie powiesz, ale nie szkodzi. – Uśmiechnęłam się do dziewczyny. – Dzięki za ubrania. Zwrócę ci je.

– Nie trzeba – odparła tonem, który mi przypomniał, że cała jestem pokryta zadrapaniami i śmierdzą potem i chlorem.

Gdy odchodziłam, usłyszałam, jak Nate znowu włącza muzykę. Tracili już z oczu mnie, moją nagą panikę i pełzającą dziewczynę, która wyłoniła się za mną z lasu. Wkrótce stanę się jedynie zaskakującym przerywnikiem w ich przewidywalnej nocy na przedmieściach. Uśmiechnęłam się do siebie i pobiegłam do Billy'ego.

Jedno okno w jego pokoju wychodziło na lewą stronę budynku. Zaczęłam szukać odpowiednich kamyczków do rzucenia, tyle że zamiast nich znalazłam duże, dekoracyjne gązdy. Wtedy przypomniałam sobie, z kim mam do czynienia, i obiegłam dom.

Siedział na werandzie z odchyloną głową, w białym T-shircie i spodniach od piżamy, a w ręce trzymał puste pudełko po zapalniczkach. Wyczuwałam zapach wypalonych zapalek, ale nie papierosów. Na mój widok zerwał się z miejsca tak szybko, że wiedziałam, że na mnie czekał.

Nasze ciała zderzyły się ze sobą na dole schodów, mój nos w czystej bawełnie naznaczonej dwutlenkiem siarki, jego w moich śmierdzących chemikaliami włosach. Oddychaliśmy w jednym rytmie i tuliłam się mocno do niego, dociskając złote pudełko do jego pleców.

– Co się stało? – zapytał cicho. – Coś się stało.

Wspięłam się na palce, aby dosięgnąć jego ucha.

– Możemy iść do domku na drzewie?

Billy zeszywniał i odsunął się, aby na mnie spojrzeć.

– Do domku na drzewie. – Jego oczy były tak wielkie, tak pełne nadziei, że ten widok mógłby złamać serce. – Ivy. Czy ty... czy ty...

– Pamiętam.

– Tak sobie pomyślałem. Kiedy zobaczyłem, jak biegniesz przez trawnik. Wyglądasz... wyglądasz jak ty. Co nie znaczy, że wcześniej nie wyglądałaś, po prostu...

– W porządku. Wiem.

Objął mnie mocno, dociskając nos do mojej szyi.

– Nawet pachniesz tak jak kiedyś.

– To znaczy jak?

Jego głos był zduszony przy mojej skórze.

– Jak szalone rzeczy.

Oczy mnie piekły. Czułam delikatność jego włosów na moim policzku.

– Co sprawiło, że sobie przypomniałaś?

– Porozmawiajmy w domku na drzewie.

Billy kiwnął głową, ale mnie nie puścił.

– Co się stanie, jeśli znowu zapomnisz?

– Nie zapomnę.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Domek na drzewie – powtórzyłam.

– Okej – powiedział cicho i westchnął. – Minęło tyle czasu. Zabierzmy coś, co przykryje pajęczyny.

Weszliśmy objęci do domu. Każde miejsce, w którym mnie dotknął, było naelektryzowane, każde, którego nie dotknął, gorączkowo na to czekało. Podbiegł do nas Gremlin, po czym zamarł, powąchał moje stopy i uciekł w ciemność.

– Nie pachniesz aż tak dziwnie – szepnął Billy, patrząc za nim.

Cicho się zaśmiałam.

– Nie o to chodzi... to zakłęcie na moich stopach. Później wyjaśnię.

Uniósł brwi i mocniej ścisnął mi dłoń. Weszliśmy na górę niczym dwugłowe zwierzę i zabraliśmy dwie kołdry i poduszki. Gdy wychodziliśmy, z wieszaka zdjęłam jeszcze wiatrówkę, coś z kieszenia, do której mogłam schować złote pudełko.

Domek nie miał drabiny, trzeba się było wspiąć po samym drzewie. Zrobiłam to pierwsza i Billy rzucił mi najpierw jedną kołdrę, potem drugą, a na końcu poduszki. W środku było wilgotno i leżało mnóstwo liści, ale pachniało tak, jak pamiętałam. Trochę jak moje stare pudełko po cygarach, do tego deszcz i stęchlizna, i ta intensywna zielona woń u podstawy łodygi liścia. Na starych deskach rozłożyłam dwie kołdry, na nie rzuciłam nieobleczone w poszewki poduszki. A potem czekałam na niego.

Miałam rację, to najlepsze miejsce, w jakim mogliśmy się znaleźć. Domek zbudowano umiejętnie i z miłością i był nawet odporny na warunki pogodowe. Spadzisty dach, trzy okna i drzwi. Dodatkowo domek umieszczony był pośród gałęzi starego dębu, do którego tyle razy się tuliłam, gdy dorastałam. Tu będziemy bezpieczni.

Billy wciągnął się do środka. Spojrzał na mnie, po czym się rozejrzał.

– To był dobry pomysł.

– Wiem.

Oczywiście kiedyś udawałam, że to nasz prawdziwy dom, jego i mój, a mniej więcej wtedy, kiedy skończyłam dziesięć lat, marzyłam, że jest to miejsce, w którym zamieszkamy po ślubie. Nigdy mu o tym nie powiedziałam. W powietrzu migotały duchy naszych młodszych wcieleń, naszych tajemnic, głów leżących obok siebie na drewnianej podłodze. Tych wszystkich razów, kiedy pragnęłam go pocałować albo liczyłam, że on pocałuje mnie.

– Chodź tutaj. – Wyciągnęłam rękę, wykorzystując do tego resztki energii. – Zapytałeś mnie, co się stało. Te wszystkie rzeczy, których nie pamiętałam, wszystko o tobie, o magii... Moja matka mi je ukradła. I zamknęła w złotym pudełku.

Czułam ciepło leżącego obok mnie ciała.

– To nie jest metafora, prawda?

Pokręciłam głową, a z kieszeni pożyczonej kurtki wyjęłam pudełko, aby mu je pokazać. Miałam wrażenie, że jest jak naładowana broń.

– Naprawdę wierzę, że uważała, że mnie w ten sposób chroni. Nie wiem jedynie, czy to wystarczy.

– Tak mi przykro – szepnął Billy. – To jest... przykro mi.

– Nie mogę jeszcze zasnąć – mruknęłam. – Ta osoba, o której wtedy myślałam, że jest w moim domu, to ktoś, kogo znała moja matka. Inna czarownica. Mamy i cioci nie ma od kilku dni i jestem pewna, że ona je pojmała albo zrobiła im krzywdę. My tutaj jesteśmy bezpieczni, ale muszę je znaleźć. – Przycisnęłam palce do oczu. – Nie wiem nawet, czego

mogłabym użyć, aby je znaleźć. Mogłabym szpiegować, mogłabym zasnąć...

Kiwnął głową.

– Powinnaś się przespać, potrzebujesz tego. Ja nie zasnę, będę cię pilnował.

– Nie, chodzi mi o to, że mogłabym wyśnić sen. – W klatce piersiowej poczułam ból. – Przez całe lata wierzyłam, że nic mi się nigdy nie śni. Ale to była kolejna rzecz, którą odebrało mi to pudełko. Kiedy byłam mała, w snach potrafiłam zrobić dosłownie wszystko. Nawet wciągać do nich innych ludzi.

– Ivy. – Jego oczy były tak łagodne. – Wiem.

Rzeczywiście wiedział. Teraz to sobie przypomniałam. W dzieciństwie Billy'ego dręczyły koszmary. Zaczęły się po tym, jak jego matka wydzwaniiała do domu, niekonsekwentne wybuchy matczynego zainteresowania, które nigdy nie trwały długo. Kiedy koszmary stały się naprawdę paskudne, wciągałam Billy'ego do swoich snów.

Wymieniliśmy się uśmiechami, a kiedy mnie całował, nadal się uśmiechaliśmy.

Aż przestaliśmy. On leżał obok mnie, potem nade mną, wsparty na łokciu. Przesunął dłoń po moim ciele, od żeber do uda. Całowaliśmy się i całowaliśmy, aż w końcu Billy westchnął mi do ust i szepnął:

– O mój Boże. Nareszcie.

– Drugi pocałunek – powiedziałam.

– Był lepszy. Był nawet lepszy.

Zaśmialiśmy się w ciemności. Wszystko poza tym domkiem było węzłem z drutu kolczastego, ale my znajdowaliśmy się tutaj. Nie wiedziałam, że radość i smutek tak mocno się ze sobą splatają. Nie wiedziałam, jak przyjąć to wszystko, co odebrała mi moja matka, co o tym myśleć.

Billy przejechał dłoń po gładkim materiale mojego pożyczonego stroju.

– Kurde. Teraz będę miał fetysz pod postacią filmików z ćwiczeniami. Każ mi zrobić pompki, okej?

Zaśmiałam się, po czym znowu go pocałowałam. Czułam się jak dziecko, które nagle znalazło się w posiadaniu całej furgonetki z lodami. A potem się odsunęłam, dlatego, że w tej chwili potrzebowałam swojego mózgu. Billy umościł się za mną i objął ramieniem.

– Kochanie – wymruczał mi w brudne włosy.

To czułe słówko wypełniło mi klatkę piersiową jak miód, słodycz, w której można się zatracić. Próbowałam przywołać jakieś zimne myśli, w sumie to jakiegokolwiek. Znowu usłyszałam Marion, po tym, jak zapytałam, czy zrobiła krzywdę mojej mamie i cioci.

*One nie są martwe. Nie jestem aż taka miłosierna.*

Nie są martwe, ale ich tu nie ma. Czyli są zaczarowane. Gdzieś. Usiadłam.

– Co się stało?

– Mam pomysł. Miejsce, które warto sprawdzić. – Spojrzałam na niego. – Możemy wziąć twój samochód?

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY



Przedmieścia

*Teraz*

SAMOCHÓD BILLY'EGO MIAŁ ZEPSUTĄ KLIMATYZACJĘ. Wszystkie szyby były opuszczone i do środka z rykiem wdzierał się wiatr, okładając pięściami moją głowę i pomagając mi w utrzymaniu myśli z dala od siebie, gdzie nie będą sprawiać takiego bólu. Miałam zaburzone poczucie czasu. Zegar w aucie pokazywał 3:07, ale to nie mogła być prawda. Ta noc zbyt długo się już ciągnęła.

Może Marion dokładała do każdej godziny dodatkowe minuty, abym zdążyła ją odszukać. Je odszukać. Ona, moja matka i ciocia Fee przeżyły prawdziwy koszmar. Teraz zamierzałam poszukać ich u jego źródła.

Gdy ześlizgnęliśmy się z domku na drzewie, Marion na mnie nie czekała. Billy poszedł do domu po kluczyki, buty i na wszelki wypadek paczkę precelków, a ona nadal się nie zjawiała. To jednak nie znaczyło, że jej spojrzenie mnie nie śledzi.

Skręciliśmy w zjazd z autostrady i kilka minut później jechaliśmy przez miasteczko uniwersyteckie. Kampus był prawdziwym labiryntem trawników, deptaków i piętrowych parkingów. Dotarliśmy najbliżej, jak się dało, a mimo to wciąż nie widziałam tego, czego szukałam.

– Znajdę jakieś miejsce do zaparkowania – powiedział Billy i włączył kierunkowskaz, choć był środek nocy i w zasięgu wzroku nie było widać żadnego innego samochodu.

– Zaczekaj – rzuciłam. – Tutaj zaparkuj.

Kiedy tak zrobił, odwróciłam się do niego, ujęłam jego dłonie i rzekłam:



– Wiesz, że nie pójdziesz tam ze mną.

– Ivy – zaczął, ale pokręciłam głową.

– Jeśli mam rację i one tam są, nie mogę się skupiać na zapewnianiu ci ochrony.

– Nie musiałybyś... – Urwał i zastanowił się. – Ale jeśli ona... co jeśli ona zakradnie się za ciebie z lichtarzem albo czymś w tym rodzaju? Potrzebny ci ktoś pilnujący tyłów.

– Ona nie użyje lichtarza. A jeśli się dowie... No bo spójrz tylko na nas. – Wskazałam na przestrzeń między naszymi ciałami, arenę, po której praktycznie śmigają strzały Amora. – Ona wie, kim dla mnie jesteś. Mogłaby to wykorzystać.

Billy spuścił głowę.

– Nienawidzę tego.

– Tym właśnie jest bycie z czarownicą – rzekłam cicho. – Musisz mi pozwolić być silniejszą od ciebie.

Pocałował mnie w knykcie.

– Z tobą – odparł z szerokim uśmiechem. – Z czarownicą jako siedmiolatek wiedziałem, że jesteś ode mnie silniejsza. To jest ekstra. Nie cierpię jedynie tego, że jestem kulą u nogi. Chciałbym ci jakoś pomóc.

– Pomagasz. Zapewniasz pojazd na czas ucieczki, no nie? No i mnie tu przywiozłeś. Jesteś także...

Pocałował mnie.

– Jestem twoim kierowcą. Więc czekam tutaj. Ze wzrokiem wbitym w telefon na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała.

– Życz mi powodzenia. – Po tych słowach wysiadłam z samochodu.

Kiedy zostałam sama, mogłam pozwolić sobie na strach bez obawy, że Billy będzie mnie próbował zatrzymać albo za mną pójdzie. Obeszłam betonowy budynek. Zaczynałam nie ufać Google Maps, wtedy jednak zobaczyłam wąskie przejście.

Oświetlały je stare, pomarańczowe lampy używane na budowach. Na końcu ścieżki znajdował się budynek tak złowieszczy, że nie musiałam czytać tabliczki z jego nazwą, aby wiedzieć, że dotarłam na miejsce. W czasie drogi czytałam o nim i dowiedziałam się, że aktualnie jest zamknięty i przeprowadza się w nim remont. Ale nie było widać żadnych rusztowań ani śladów prac. Po prostu nieoświetlony budynek na trawniku z koniczyną w samym środku ciemnego kampusu. Zatrzymałam się na końcu.

Drzwi wejściowe biblioteki były otwarte. Zupełnie jak w tamtym domu w lesie.

Weszłam do środka.

Wszystkimi zaklęciami, jakie rzuciłam do tej pory, kierował instynkt. Reagowałam, panikowałam, sięgałam po to, co miałam na podorędziu. Wcześniej wpadłam na pomysł, że aby się dostać do biblioteki, która swego czasu była domem okultystki, użyję zaklęcia otwierającego. Teraz, kiedy go nie potrzebowałam, spożytkowałam zgromadzoną w głowie magię na zaklęcie poprawiające widzenie.

Sprawiło, że blask księżyca stał się jaśniejszy i podkreślił głośność krawędzi wszystkich tych rzeczy, które pragnęły pozostać w ciemności. Weszłam do holu wypełnionego zapachem starych książek. Gdy tam stałam, zaczął się tworzyć ból głowy, tak rozproszony i metaliczny w smaku, że miałam wrażenie, jakbym wdychała srebrny pył.

Na sam początek mojego mózgu przepchnęło się kolejne stare / nowe wspomnienie: znałam to uczucie. Pojawiało się w następstwie złej magii innej osoby.

Podążyłam za nim. Moja matka przeszła tę trasę, albo bardzo podobną, tej nocy, kiedy wepchnęła Marion do lustra. Umieszczona we śnie wersja tego miejsca przez ponad dwadzieścia lat była cełą Marion. Czułam ich kroki obok moich, gdy szłam zakurzoną, mozaikową podłogą, mijałam regały, przechodziłam pod oknami z witrażami tatuującymi upiornymi kształtami moją skórę.

W ślad za tym niedobrym uczuciem weszłam na drugie piętro, a ból głowy zamienił się w drżenie całego ciała. U dołu trzecich schodów spjrzałam w górę. Jedyne, co zobaczyłam, to kurz i światło księżyca, ale myśl o wejściu przepelniała mnie świdrującym przerażeniem. Zrobiłam trzy wdechy i zaczęłam wchodzić, ocierając się ramieniem o ostrą krawędź niedawno użytej magii.

Wszędzie panowała cisza, wszystko pozostawało nieruchome, lecz serce mi biło mocno i szybko, jakby to była zaciskająca się pięść. Zatrzymałam się tuż pod włazem w suficie. Nad nim znajdowało się źródło wszystkiego i nadal nie słyszałam żadnego dźwięku.

Trap uniósł się z hukiem i na ziemię opadła drabina, o kilka zaledwie centymetrów mijając moją głowę. Kiedy moje serce ponownie wróciło do klatki piersiowej, podniosłam wzrok.

Znowu kurz. Znowu światło księżyca. Postawiłam stopę na szczeblu i zaczęłam się wspinać. Cisza. Moja głowa zrównała się z sufitem i na ziemi zobaczyłam ich ciała.

Podciągnęłam się i chwiejnym krokiem podeszłam do nich. Moja matka i ciocia leżały na plecach. Ciocia Fee miała podbite prawe oko, a na twarzy mojej matki widniały otarcia. Dłonie wyciągały ku sobie, lecz się nie stykały. Powieki im drgały we śnie.

To nie był naturalny sen. Nawet zanim je dotknęłam, potrząsnęłam, błagałam, wiedziałam, że się ot tak nie obudzą. Całe pomieszczenie wypełniało zakłęcie. Kiedy próbowałam wsunąć rękę pod ciało matki, okazało się ciężkie jak skała.

Dotknęłam ich twarzy i pomyślałam o tych, co spali w domu w lesie. Tego zakłęcia nie dało się tak łatwo złamać: sięgnęłam po jego krawędzie, lecz ich nie znalazłam. Obadałam jego dno i poczułam wodę głębszą niż ta, do której byłabym w stanie zanurkować.

Ale skoro spały, istniała szansa, że mogłabym do nich dotrzeć. Mogłabym tutaj zasnąć i wyciągnąć je z koszmaru Marion do własnego snu. Takiego, z którego by się obudziły. Nie miałam na coś takiego czasu – Marion nie mogła znajdować się daleko – ale lepszych pomysłów także nie.

Położyłam się między nimi na podłodze poddasza. Zamknąwszy oczy, sięgnęłam po ten świadomy sen, który czekał na mnie pięć lat, zamknięty z resztą mojej magii w złotym pudełku.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY



Przedmieścia

*Teraz*

TRZY ŚPIĄCE CZAROWNICE, LEŻĄCE W JEDNYM RZĘDZIE. Dwie podrygują w uściskach niepokojącego snu. Trzecia – wciśnięta między nie, z głową leżącą pod ich niemal stykającymi się ze sobą dłońmi – właśnie odpływa.

Pod nimi, ale niezbyt daleko stąd, porusza się czwarta czarownica. Biegnie przez koniczynę, mija rzędy okazałych drzew. Dawno temu była w tym miejscu młoda dziewczynka z osamotnionym, głodnym sercem. Jeśli teraz ma serce, nie da się do niego zajrzeć. Polakierowana na czarno osobliwość odbijająca światło.

Biegnąc, mija zaparkowany na krawężniku samochód, w którym siedzi chłopak. On ma serce tego rodzaju, które można niemal dotknąć, rozświetlone strachem, miłością i kilkunastoma typami oczekiwania. Nie widzi czwartej czarownicy. To jej decyzja, zresztą on jest wyczulony tylko na dziewczynę z rozjaśnionymi włosami.

Czwarta czarownica nadchodzi. Jest już prawie na miejscu.

Oto jak wyglądało zaśnięcie na podłodze poddasza.

Zamknęłam oczy i na jakiś czas ukryłam się w ciemności, nakłaniając ją, aby podeszła bliżej, prosząc, aby ukradła i podmieniła kwaśną mgłę magii Marion. Ciemność złagodniała, poruszyła się, delikatnie zamieniła się w sen.

Wiedziałam, jak powinno to teraz wyglądać, jak zawsze wyglądało, kiedy byłam młodsza, a senne marzenia były moim królestwem. Ciemność

rozpakuje się niczym kufer z kostiumami, rozkładając kolory delikatne niczym pastele na skorupce jaj, poruszające się na wietrze jak zasłony. Mogłam do nich podejść i dotknąć, wszystkie te kolory morza i nieba, które nie mają swojej nazwy. Nieskończona ich liczba, aby przejść przez nie w sen.

Ale kiedy tym razem zasnęłam, czekała na mnie tylko jedna zasłona. Nie była spowita mgłą ani burzowa, ani naznaczona wschodem słońca, lecz stanowiła czystą, utlenioną czerwień, nie dryfującą, lecz płonącą. Wyglądała jak wrota do Piekła.

Wyczuwałam je za nią, dwa rodzaje ciepła. Należącą do mojej matki niezależną warstwę kobaltowego ognia i łagodne jesienne słońce cioci Fee. Dlatego przeszłam przez krwawą zasłonę do snu, w którym umieściła je Marion.

W tym śnie sprawiła, że nadal znajdowałyśmy się na poddaszu. Zakłęcie zamieniło je jednak w koszmar.

Domyśliłam się, że to było wspomnienie.

Na środku pomieszczenia senna wersja Marion recytowała nad lustrem. Obok niej leżał zaszlachtowany królik, brocząc krwią na deski. Moja matka i ciocia Fee, przerażone nastolatki, stały z plecami przyciśniętymi do ścian. Między nimi stała czwarta, czarnowłosa kobieta z twarzą jak kamień.

Wcześniej liczyłam, że stworzę własny sen, do którego je przywołam. Ale ten okazał się taki uparty, tak potworny z tą wonią krwi. W mojej głowie nie było miejsca na nic innego.

Raz miałam okazję wysłuchać historii przywołania – opowiedziała mi ją Marion w lustrze szpiegującym. Jednak to, co się teraz odgrywało, wyglądało inaczej.

Byłam świadkiem tego, jak Marion próbuje związać ze sobą okultystkę, i tego, co nastąpiło potem. Zobaczyłam Astrid Washington, czyste zło w koronie jasnych włosów. Walkę mamy i cioci Fee o uratowanie Marion, która zakończyła się tym, że cała trójka trafiła do kręgu. Odwagę Fee, katatonię Marion. I decyzję mojej matki, podjętą tak szybko, że nikt jej nie zdążył przewidzieć. Decyzję o wepchnięciu Marion w otchłań lustra.

W końcu zobaczyłam, skąd się wzięły te blizny na jej ręce. I zmierzyłam odległość, jaka dzieliła jej portret odmalowany przez Marion – potworne, celowe – i tę pełną udręki dziewczynę usuwającą przyjaciółkę z tego świata.

Stałam jak wrośnięta w ziemię. Sparaliżowana tym, czego byłam świadkiem, i okrutną matematyką: cztery czarownice, a potem trzy, bez choćby ciała czwartej. Zasłoniłam dłońmi usta, kiedy dotarło do mnie okrucieństwo tego, co zrobiła Marion: kazała mamie i cioci Fee na nowo przeżywać najgorszą noc w ich życiu.

Ledwie zdążyłam zaczerpnąć powietrza, kiedy sen się zresetował i zaczął od nowa. Krew, wosk, dym i cztery czarownice.

Podobnie jak w przypadku każdego horroru, za drugim razem było to mniej straszne. Teraz potrafiłam myśleć, potrafiłam poruszać się po poddaszu niczym widz w nawiedzonym domu. Im dłużej znajdowałam się w tym śnie, tym łatwiej mi było wychwycić jego kontury i zasady. Marion uczyniła go czymś, co nie ma krawędzi, jak jajko. Moja matka i ciocia przeżywały go jako młodsze wersje siebie, ale ja nie potrafiłam sprawić, aby mnie zobaczyły.

Próbowałam ugasić płomień zapalniczki Marion, rozetrzeć słony krąg, uszczypnąć ramię mojej matki. Rozejrzałam się gorączkowo w poszukiwaniu jakiegoś słabego elementu i moje spojrzenie padło na królika. Nim biedactwo znowu zostało poświęcone, chwyciłam go na ręce.

Był ciężki, był miękki i wrywał mi się z rąk. Wcisnęłam to stworzenie w ramiona mojej matki ze snu.

Królik ją ugryzł. Ten piękny element sennej magii, dziki nawet jako swoja kolejna wersja, zatopił zęby w jej przedramieniu. Miała szesnaście lat, kiedy zwierzę się rzuciło, ale kiedy doszło do ugryzienia, była aktualną wersją siebie.

Ból wyrwał prawdziwą ją ze skorupy, w której umieściła ją Marion. Mama upuściła królika, który pokicał w kąt. Nim zdążyła się oddalić i przemienić, chwyciłam ją, jakby była Tam Lin, jakby tylko mój uścisk mógł ją uchronić przed zniknięciem. Trzymałam ją, czując, jak jej ciało drży, i mówiłam:

– Mamo, mamo, to ja.

Sen przemienił się w dym, aż w końcu pozostałyśmy tylko my, a moja ciocia obejmowała się, siedząc na podłodze spowitej w mgłę.

Mama odsunęła się ode mnie, mrucząc do siebie:

– To nie ona. To kolejny sen.

– To ja, mamo. Ja.

– Jesteś zjawą. A może to ty się pod nią kryjesz. – Do jej głosu zakradł się jad. – Marion.

– Musisz mnie zobaczyć – powiedziałam ostro. Cały czas wbijała mi palce w skórę i patrzyła takim wzrokiem, jakby mnie nie widziała. – Musisz mi uwierzyć.

– Mała Ivy. – Głos cioci Ivy był jak balsam na moją duszę. – Skąd się tu wzięłaś? Dana, to ona. Nie czujesz, że to ona?

Na twarzy mojej mamy pojawiła się nadzieja.

– Ivy – szepnęła.

Nie miałyśmy czasu na nic poza wydostaniem się stąd, ale zbyt byłam wkurzona, by się powstrzymać.

– Wiem o wszystkim – oświadczyłam. – O Billym, złotym pudełku i... wszystkim.

– Wszystkim. – Jej twarz stanowiła studium kontrastów. Wykrzywione usta, błyszczące oczy i policzki czerwone jak po uderzeniu. – Wszystkim?

– Tak.

– Och. – To słowo było krzykiem, wciśniętym w jej dłoń. Na chwilę zamknęła oczy, po czym spojrzała na mnie. – Czy pamiętasz... tamten dzień w rezerwacie leśnym, z sarną i jelonkiem?

Zazgrzytałam zębami.

– Tak.

Sen przybrał nowy kształt. Stałyśmy razem na szarej trawie pod niebem nijakiego koloru. Ciocia Fee zerwała kilka źdźbeł i zbliżyła je do nosa, obserwując nas jak zirytowany sędzia.



– Dmuchany domek – powiedziała mama. – Pamiętasz to?

– Nie próbuj mną manipulować.

– Ta wysypka, jaka ci wyskoczyła po warzeniu ziół. I, och, mój Boże, Ivy. Pamiętasz leszczykę?

Z zaciśniętymi ustami skinęłam głową.

Wyglądała jak więzień polityczny. Ogromna determinacja, cienie pod zmęczonymi oczami.

– Napisanie twojego pierwszego... twojego pierwszego oszukaństwa. Niespanie przez całą letnią noc i picie mleka z kawą. – Zaśmiała się krótko.  
– Znalezienie kamienia wróżkowego.

– Zapomnienie o Billym – dodałam. – Okłamywanie Hanka. Tracenie połowy zmysłów.

Już nie była tak promienna.

– Tak.

– Dlaczego?

– Jeśli wiesz wszystko, to wiesz dlaczego. – Ton jej głosu nie był prowokacyjny, lecz przygnębiony. A potem otworzyła szeroko oczy. – O Boże. Ona cię tu umieściła. Marion.

– Sama się umieściłam. Znalazłam ją i was także znalazłam. Na litość boską. – Tupnęłam nogą. – Czy ty kiedyś zaczniesz mnie doceniać?

Niebo rozwarło się nad naszymi głowami. Spadające krople deszczu były niczym miękkie grad i wysuszały nam skórę jak alkohol.

– Chroniłam cię – odparła z szeroko otwartymi oczami. – Za wszelką cenę, niemądrze. Ale nigdy... nigdy bez miłości.

– Miłość się liczy, jeśli się jej nie czuje?

– Schrząniłam sprawę. Ale zawsze cię kochałam. Zawsze.

– Kochałaś – rzekłam ostrym tonem. – Odebrałaś mi połowę mnie i schowałaś do pudełka po butach, a potem nawet nie lubiłaś tego, co pozostało.

Broda jej się trzęsła.

– Niemożliwe, żebyś tak właśnie myślała.

– Pięć lat, mamó. Pięć lat próbowania, abys na mnie spojrziała.

– Wstydziałam się, Ivy! Tak bardzo się wstydziałam. Ja... okaleczyłam cię. Ale zamierzałam to naprawić. Osiemnaście, tak ustaliliśmy z twoim tatą. Kiedy skończysz osiemnaście lat, zamierzaliśmy wszystko ci powiedzieć, otworzyć pudełko...

– Marion to naprawiła. A wszystko nadal jest popsute.

– Tak cię przepraszam. Za wszystko.

Pląkała. Moja mama, która nigdy nie pląkała, nawet wtedy, kiedy Hank niechcący przytrzasnął jej palce drzwiami w samochodzie. I właśnie to potrzebowałam usłyszeć. Była mi to winna. Ale to było tak mało, tak późno, że nie potrafiłam tego znieść.

– Przestań – warknęłam gniewnie. – Nie mamy na to czasu.

Na jej twarzy rysowała się nieśmiałość, tak zupełnie nie w stylu mamy.

– Możliwe, że to jedyne, na co go mamy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Deszcz zaczął gęstnieć, twardnieć. Uderzał w naszą skórę niczym szkło morskie.

Ciocia Fee uniosła dłoń, aby chwycić kilka. Brwi miała ściągnięte.

– Ivy, czy to jest twój sen?

– Nadal mój – odezwała się Marion.

Stała nieco z boku, trzymając otwarty parasol.

Moja matka stanęła między mną a Marion. Słysząc było jej przerażony oddech. Skrzywiłam się, kiedy krople deszczu zaczęły ranić, już nie szkło morskie, lecz odłamki dopiero co stłuczonej butelki.

A potem zrobiłam ostry wdech, bo uświadomiłam sobie, że to ja produkuję ten deszcz. Robiły to mój gniew i żal. A kiedy to zrozumiałam, nietrudno było zamienić parasol Marion w wielkiego, czarnego ptaka, który wczepił się w nią szponami. Zapiszczała. Zmieniła ptaka w chmurę czarnego dymu, który odfrunął.

Teraz we cztery kuliliśmy się pod tym brutalnym deszczem. Wiedziałam, że jest mój, ale jego było trudniej zmienić niż tamten parasol, dlatego że wywodził się z wściekłości, która nadal we mnie tkwiła. Nie potrafiłam sprawić, aby znikł, więc zatrzymałam go w powietrzu. Okrutne małe krople lśniły w bezruchu. Potem przyciągnęłam je do siebie nawzajem. Chyba chciałam stworzyć magię ofensywną, jakiś wielki, szklany sztylet, który wytnie dla nas wyjście z tego gównianego snu. Ale ten sen był nadal tworem Marion, ja jedynie w nim pracowałam, więc to, co utworzyły krople, zostało wyciągnięte z jej głowy: olbrzymie okrągłe lustro z przywołania, to, do którego moja matka ją wepchnęła.

Już miało wielkość studzienki włazowej, a krople nadal się doklejały, tworząc gładką, krystaliczną tafłę.

– O nie – rzuciła Marion, gdy lustro podpełzło bliżej naszych stóp.

Przerwała sen.

Gdy tylko poczułam, że jego granice ustępują, przywracając memu ciału świadomość, zerwałam się na równe nogi. Chwiałam się, kręciło mi się w głowie, ale stałam. Ja tam spędziłam nawet nie godzinę, tymczasem mama i ciocia Fee leżały Bóg jeden wie jak długo. Chwilę trwało, nim choćby otworzyły oczy.

Marion mogłaby je wtedy zabić. Moje ciało szykowało się na tę próbę, w głowie pulsowało ryzyko. Ale mogła też zabić je już wcześniej, a jednak tego nie zrobiła. Patrzyłam, jak przygląda się z bezbrzezną pogardą ich niezdarnym ruchom na ziemi.

– Dobrze się czujecie? – zapytałam.

Mama zakaszłała. Pełne pyłu powietrze w suchym gardle.

– Marion – skrzeknęła. – Proszę.

– Nawet się nie waż – warknęła Marion.

Z uczuciem gniewu jej twarz wyglądała bardziej ludzko. Szybko jednak zniknęła.

Mama ponownie wypowiedziała jej imię, tak cicho.

– Zrób, co chcesz zrobić, ale zrób to mnie. Nie Ivy. Nie Fee. Ich nie masz za co karać.

Uśmiech Marion był wręcz słyszalny, usta odrywające się od mokrych, białych zębów.

– Mój Boże, Dana, kiedy się stałaś tak kurewsko słaba? Nie potrafisz nawet porządnie skłamać. Obserwowałam cię. Nigdy nie przestałam cię obserwować. Rok po tym, jak mnie wepchnęłaś, widziałam, jak ty i Felicita siedzicie na piasku i ustalacie, że nie żyję. Obie wiedziałyście, że to nieprawda. Obie postanowiłyście mnie nie ratować. Co robiłaś zamiast tego? Och, no tak. Udawałaś, że czytasz z ręki pijanym dziewczynom.

– W takim razie tylko my – odezwała się moja ciocia. – Puść Ivy. Zakończmy to tak, jak chcesz zakończyć.

Zrobiłam krok przed siebie, pierwsza jednak odezwała się Marion. Jej słowa stanowiły upiorne echo tego, co sama zamierzałam powiedzieć.

– Posłuchajcie siebie. Ivy jest lepszą czarownicą niż wy dwie razem wzięte. Ona przyszła tu was ratować. Przestańcie udawać, że to ona potrzebuje waszej ochrony.

– Tak, mammo. Przestańcie.

Słyszając mój ton, mama się wzdrygnęła, lecz ją zignorowałam. Patrzyłam tylko na Marion.

– Czego chcesz? – zapytałam. – Po co wróciłaś? Co zamierzasz tu zrobić? Zabić nas?

Kiedy na mnie spojrzała, doznałam przedziwnego uczucia, jakby patrzyło na mnie coś, co nie w pełni widzę, co wykorzystuje swoje oczy jako wizjery. Coś zimnego, powolnego i czemu ewidentnie brakuje jakiegoś ludzkiego pierwiastka.

– Śmierć jest zbyt prosta – oświadczyła. – Śmierć to kąpiel w mleku. Sądziłam, że najgorszym, co mogłabym jej zrobić, byłoby zabranie ciebie. Uczynienie moją. I taką silną, że z każdego miejsca widziałaby, co próbowała w tobie zabić. Co straciła na zawsze. Ale teraz. – Te dziwne oczy

prześlizgnęły mi się po twarzy. – Teraz myślę, że najgorszym dla niej byłaby strata ciebie. Dosłowna.

Zaklinałam obecne w tym pomieszczeniu kobiety, które mnie kochały, aby się nie wtrącały, aby czekały w bezruchu.

– Zamierzasz mnie zabić, Marion?

– Mogłabym.

– Może. – Zrobiłam krok w jej stronę, potem drugi, aż znalazłam się na tyle blisko, że mogła mnie dosięgnąć. Obie mogłyśmy dosięgnąć się nawzajem. – Gdybyś jednak tego nie zrobiła... Gdybym ja... gdybym z tobą poszła, dokąd byśmy się udały?

Długą chwilę milczała, aż w końcu rzuciła:

– Istnieją legendy o matriarchalnych społeczeństwach, które nadal istnieją. W zaginionych miejscach. Na wyspach czy pustyniach, czy głęboko w lesie. Małe światy z pradawnymi korzeniami. Miejsca, w których kobiety odczyniają czary, a magię się czci i można całe życie przeżyć, nie oddalając się od domu dalej niż na kilometr.

– Tego właśnie pragniesz?

To powolne, zimne coś, co miało jej twarz, zerknęło na mnie.

– Nie wiem. Chyba nie.

– Czego pragniesz?

– Już niczego – odpowiedziała Marion od razu, gdy skończyłam mówić. Przycisnęła sobie pięść do mostka. – Ale nadal czuję miejsce, gdzie pragnęłam.

– Myślę – powiedziałam miękko – że tym, czego chciałaś, było uratowanie mnie. I to zrobiłaś. I zrobiłaś to tak, jak trzeba. Umieściłaś mnie w wodzie, trzymałaś w ramionach. Mówiłaś do mnie, kiedy mój umysł rozpadał się na kawałki. Nie pozwoliłaś, aby magia roztrzaskała mi mózg. – Wyciągnęłam do niej rękę. – Uratowałaś mnie.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie.

Nie poruszyłam się. Minęła niekończąca się sekunda, aż w końcu Marion wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń.

Z całej siły wbiłam paznokcie w jej skórę, aż miałam pewność, że ją przerwałam. Nim zdążyła mi się wyrwać, rzucić zaklęcie albo zaciągnąć nas z powrotem do jakiegoś potwornego snu, drugą rękę wsunęłam do kieszeni kurtki Billy'ego, wyjęłam złote pudełko i przycisnęłam je do miejsca, w którym upuściłam krew.

Marion zaśmiała się. Unosząc brwi, z autentycznym zaskoczeniem. W tym momencie wyglądała jak nastolatka, taka prawdziwa, pełna wad i uzdolniona, i magiczna, i niekompletna, zupełnie taka, jak ja.

– Nie sądziłam... – zaczęła, ale pudełko otworzyło swoje głodne usta, a ona urwała i nigdy się nie dowiem, co zamierzała powiedzieć.

Gdy wpatrywała się w puste wnętrze, wypowiedziałam nad nią słowa zaklęcia, które kiedyś moja matka wypowiedziała nade mną. A potem poleciłam pudełku:

– Niech o nas zapomni. Zabierz od niej Danę Nowak, Felicję Guzman i Ivy Chase. Niech zapomni...

I urwałam, bo nie wiedziałam, co jeszcze dodać. Co byłoby miłosierdziem, co karą. Co Marion pragnęłaby utracić.

Więc podałam jej pudełko. Teraz nie mogła niczego zrobić, moich słów nie dało się cofnąć. Wyglądała tak, jakby chciała cisnąć nim o podłogę, ostatecznie wzięła je jednak ode mnie, zbliżyła do niego usta i wyszeptała coś, czego nie usłyszałam.

Pudełko rozpoczęło swoją pracę. Strasznie to było oglądać, ale czasami jedynym sposobem na okazanie szacunku jest bycie świadkiem. Nim czary dobiegły końca, trzymałam za ręce moją matkę i ciocię i razem patrzyłyśmy, jak złote pudełko się zamyka, a Marion układa się do snu.

Zabrałyśmy pudełko, a ją zostawiłyśmy na skąpanej w blasku księżyca podłodze. Pozbawioną pragnienia zemsty i kto wie czego jeszcze. Źle się z tym czułyśmy. Nie wiedziałyśmy, czy porzucamy osobę dotkniętą amnezją czy żywe naboje. Może jedno i drugie.

I może w końcu byłam wystarczająco dorosła na magię, dlatego że zaczynałam brać pod uwagę jej cenę. To, że do końca życia będę nosić

w sobie poczucie winy i fragment tej czarownicy, która mnie zapomniała.

# ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY



Przedmieścia

*Teraz*

JA I BILLY LEŻELIŚMY NA PLECACH W STRUMIENIU, obserwując gwiazdy. Woda była niebieska i ciut zimna.

To był jego pomysł. Pokazał mi zdjęcie wybrzeża pewnej bioluminescencyjnej zatoki, tak bym mgła ją umieścić we śnie.

– Jesteś gotowy na przebudzenie? – zapytałam.

– Jeszcze chwilkę – odparł, ściskając mi dłoń. – Hej. Patrz.

Wskazał na miejsce, gdzie gwiazdy nachylały się zbyt blisko, jakby one także pragnęły nas obserwować. Moje ramiona się spięły i delikatnie odciągnęłam je na miejsce.

Czasami moje sny robiły coś, o co ich wcale nie prosiłam. Przypuszczałam, że maczała w tym palce podświadomość. Ale wiedziałam, że coś takiego nie miało miejsca w czasach przed złotym pudełkiem.

Poza tym snem nasze ciała spały w domku na drzewie. Żadne z naszych rodziców nie zorientowało się jeszcze, że jest on znowu w użyciu, jedyne miejsce, które było tylko nasze. Mój tata zachowuje się nadopiekuńczo w stosunku do wszystkich od tamtego ranka, kiedy wróciłam do domu z mamą i ciocią Fee, wszystkie w stanie szoku, naznaczone zadrapaniami, potem, sińcami, krwią. A tata Billy'ego nadal mi nie wybaczył, że pięć lat temu porzuciłam jego syna. Jako że nie mogliśmy mu zdradzić prawdziwego powodu, starałam się powoli odzyskiwać jego sympatię.

Na razie mieliśmy domek na drzewie. Samochód Billy'ego. I moje sny.



Trzymałam jego dłoń w fosforyzującej wodzie i zamknęłam oczy.

– Ivy. – Jego głos był spokojny, ale na tyle ostry, że opuściłam stopy na dno strumienia – w prawdziwym życiu odrażające, we śnie wyłożone zielonymi kamyczkami – po czym spojrzałam na to, co mi pokazywał.

Gwiazdy znowu nam się przyglądały. Ale tak naprawdę, a ich obce spojrzenia były kłująco przenikliwe. To było niebo identyczne z tym, pod którym mała nie utonąłam, panikując w basenie po tym, jak otworzyłam złote pudełko.

Billy postawił stopy obok moich i objął mnie w talii.

– Obudźmy się teraz, okej?

Kiwnęłam głową, skupiając się na swoim oddechu. A potem spojrzałam na wodę i krzyknęłam. Intensywnie niebieski strumień zniknął. Staliśmy zanurzeni po pas w giętkim lustrze.

– Spójrz na mnie. – Głos Billy’ego był stanowczy, uspokajający. – Obudźmy się.

I tak zrobiliśmy.

Gdzieś nad domkiem spokojnie nawoływały się gołębie, a niebo wyglądało jak srebrny papier. Przekręciłam się na bok i skryłam twarz w torsie Billy’ego.

– Przepraszam – bąknęłam.

Pocałował mnie w skroń.

– Nie masz za co przeproszać.

Tuliliśmy się do ostatniej możliwej sekundy. A potem zsunęliśmy się na dół i każde poszło do własnego łóżka.

Trzy tygodnie minęły od tej najdłuższej nocy w moim życiu. Sprawdzałam wiadomości, ale jak na razie nie pojawiło się nic, co pasowałoby do opisu Marion: żadnych niewyjaśnionych zagadek, nie znaleziono żadnej błakającej się osoby z amnezją, nie wróciły żadne marnotrawne, nie starzejące się córki.

Dla mojej rodziny to były trzy tygodnie nowej uczciwości, która – jeśli mam być szczerą – wcale nie była czymś w stu procentach dobrym. Tata upajał się tą nową normalnością, wszyscy żywi, wszyscy razem, a najgorsze nasze tajemnice wyszły z ukrycia. Jednak dla Hanka ta nowa rzeczywistość nie okazała się wcale taka prosta. Chodził oszołomiony i płochliwy, jakby niechcący spojrzeć prosto w słońce.

No i pozostawała kwestia mamy i mnie. Przypuszczałam, że przez jakiś czas będzie między nami dziwnie. Zbyt wiele ujawnione zostało jednocześnie. Ale się starała. Naprawdę się starała.

Najlepiej sprawdzało się milczenie. Wspólna praca, ramię w ramię. Głównie małe zakłęcia, magia dla dzieci. To, co mi odebrała, a Marion pomogła odzyskać. Czasami dołączała do nas ciocia Fee, a czasami byliśmy same.

Po drugiej stronie wszystkiego wcale nie było okej. Ale może pewnego dnia będzie.

Wpadłam na przesądny pomysł, że do czasu, kiedy rozjaśnione włosy mi odrosną, ja jej wybaczę. W mojej wizji tej przyszłości znowu do siebie pasowałyśmy. Matka i córka, dwie rudowłose czarownice obok siebie. Patrząc na nią, będę widzieć matkę, która rzeczywiście mnie kocha, wybaczę tej skomplikowanej kobiecie, która tak namieszała. Ona wyciągnie do mnie rękę bez wstydu, a ja ją ujmę bez kompromisu. Takie miałam marzenie.

Więc czekałam i pozwalałam, aby włosy mi rosły.

Do łóżka położyłam się wykończona. Usta miałam tak czerwone, tak spuchnięte od całowania, że przez jakiś czas będę je musiała ukrywać.

Za kilka godzin znowu zobaczę Billy'ego. Umówiliśmy się z Aminą i Emily na śniadanie w Denny's, a potem miał mnie podrzucić razem z rowerem do centrum, gdzie zamierzałam szukać pracy. Proponował, że szepnie o mnie słówko w Pepino's, ale według mnie wspólna praca to nie

był dobry pomysł. Przekręciłam się z uśmiechem na drugi bok, po czym uśmiech zamarł na moich ustach.

Pokój był szary i ciepły i było w nim coś, co tu nie pasowało.

Delikatnie wstałam, kucnęłam przed regałem z książkami i wyjęłam coś, co wciśnięto między *Lunch Poems* i *Ciemność rusza do boju*. Było mniejsze od pozostałych książek i miało czarny grzbiet. Na półce wyglądało jak cienka czarna przerwa.

Zastanawiałam się, kiedy Marion zostawiła to dla mnie. Przypuszczałam, że nieco ponad trzy tygodnie temu, kiedy włamała się i zabrała złote pudełko.

Była nowa, tego rodzaju księga, którą można znaleźć w eleganckich sklepach papierniczych, oprawiona w czarną skórę. Nie od razu ją otworzyłam. Mogą się tam znajdować rzeczy niebezpieczne do zobaczenia i przeczytania w myślach. Ale ostatecznie i tak się nie powstrzymałam.

*Księga Marion Peretz*, tak napisano na pierwszej stronie. Sam widok jej nazwiska, tego skrawka nowych informacji sprawił, że przebiegł mnie prąd.

To była księga okultystki, wypełniona do połowy, a jej strony zapisane gęsto atramentowymi notatkami, wierszykami, zaklęciami. Musiała poświęcić wiele godzin, aby przelać do tej księgi swoją wiedzę, dla mnie.

Powinnam ją spalić. Moja mama nadal żywiła przekonanie, że magia bywa trująca, skażona niczym krew po ukąszeniu węża. Choć nie do końca w to wierzyłam, aż za dobrze wiedziałam, że pewnych zaklęć się nie rzuca, z pewnymi siłami się nie zadziera.

Powinnam ją spalić. Powinnam przebiec teraz na drugi koniec korytarza i dać ją mojej matce. Po raz kolejny zastanawiałam się, kiedy Marion przemyciła ją na moją półkę i jak mogłam przez kilka tygodni jej nie widzieć.

Ostatecznie schowałam ją na samym końcu dolnej szuflady w komodzie, razem z hibernującymi jesiennymi swetrami.

Kiedy się położyłam, pomyślałam o Marion, która przez całe moje życie obserwowała mnie przez szpiegujące lustro. Której wspomnienia o mnie były zamknięte w złotym pudełku, a ono spoczywało w bezpiecznej skrytce w banku, dopóki mama i ja nie wymyślimy lepszego sposobu na jego zabezpieczenie.

Marion odeszła i nie poznałaby mnie, nawet gdybym stanęła tuż przed nią. Nim jednak schowałam jej księgę, coś kazało mi unieść rękę. W geście uznania, pożegnania, jakiejś poplątanej wdzięczności.

Na wszelki wypadek.

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję swojej agentce, Faye Bender, za jej ciepłe serce, chłodną głowę i ogólną genialność. Dziękuję wydawczyni, Sarah Barley, za to, że przez ten nowy świat szła razem ze mną i za niewzruszoną wiarę w pomysły swoich autorów i ich umiejętność opowiedzenia czasem bardzo dziwnych historii.

Podziękowania niech zechcą przyjąć następujące osoby: Bob Miller, Megan Lynch, Malati Chavali, Sydney Jeon, Nancy Trypuc, Marlena Bittner, Cat Kenney, Erin Kibby, Erin Gordon, Kelly Gatesman, Louis Grilli, Jennifer Gonzalez, Jennifer Edwards, Holly Ruck, Sofrina Hinton, Melanie Sanders, Kim Lewis, Katy Robitzski, Robert Allen, ekipa Macmillan Audio oraz cały zespół w Flatiron. Dziękuję za wszystko, co robicie dla mnie i moich książek. No i ta okładka! Dziękuję dyrektorowi kreatywnemu i projektantowi Keithowi Hayesowi i ilustratorowi Jimowi Tierneyowi za to, że ta książka otrzymała złowieszcze drzwi, koncept tak idealny, że nadal zapiera mi dech w piersi.

Jestem niezwykle wdzięczna Mary Pender i wszystkim agentom pomagającym w tym, aby ta książka dotarła do czytelników na całym świecie. Są to: Lora Fountain, Ia Atterholm, Annelie Geissler, Milena Kaplarevic, Gray Tan, Clare Chi oraz Eunsoo Joo.

Dziękuję wielkodusznym czytelnikom pierwszych rękopisów! Emmie Chastain za mądrość i słowa zachęty, a także za to, że pomogła mi bardziej pokochać tę poplątaną wersję. Tarze Sonin za szczerze rozmowy i wysłuchiwanie mojego biadolenia. Alexie Wejko za genialne uwagi, dzięki którym sporo mi się rozjaśniło. Krystal Sutherland za to, że jest wymarzoną czytelniczką najwcześniejszej wersji i zapewnia mi siłę do dalszej pracy. Kamillo Benko, tym razem miałaś lepsze i bardziej urocze rzeczy (dużo lepsze i dużo bardziej urocze) na głowie niż czytanie

pierwszej wersji, ale rozmowy i wymienianie z Tobą wiadomości zawsze dają mi radość i klarowność.

Dziękuję opiekunom w byłym żłobku mojego synka. Świadomość, że był szczęśliwy i bezpieczny nawet daleko ode mnie, była niezbędna do ukończenia tej książki.

Wielkie dzięki dla Natalie Hail za idealną listę zakupów z fałszywym dowodem. Mike Schiele, dziękuję za ścianę z polaroidami. Eileen Korte za nocną wycieczkę przez podmiejskie Super K. Amy Abboreno dziękuję za tak wiele rzeczy, łącznie z tamtym cudnym dniem, kiedy łąki zalało i pojawiły się maleńkie żaby. Magia istnieje naprawdę i z Tobą zawsze ją znajduję.

Jak zawsze wdzięczna jestem Michaelowi za wszystko, zwłaszcza za to, że całymi miesiącami pozwalasz mi opowiadać wymijająco o książkach, których nie wolno Ci na razie czytać ani zbyt dużo o nich wiedzieć. Dziękuję Milesowi za to, że czyni ten świat nieskończenie bardziej zabawnym, lepszym i jaśniejszym, i za to, że każdego ranka mogę się budzić i widzieć jego twarz. Jak zawsze dziękuję rodzicom, Steve'owi i Dane Albert, za wszystko, absolutnie wszystko.

## PRZYPISY

- [1] *Picadillo* – potrawa popularna w kuchni kubańskiej, hiszpańskiej i meksykańskiej. Mielona wołowina w pomidorach. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] *Betwix and between* (ang.) – między, pomiędzy; ni to, ni owo.
- [3] Przedmiot przesądny czczony przez niektóre afrykańskie plemiona i używany jako urok lub fetysz.
- [4] Zapach, który jest połączeniem aromatycznych ziół, drewna sandałowego i champaka.
- [5] Pochodzące z języka hiszpańskiego określenie uzdrowiciela ludowego w Ameryce Łacińskiej.
- [6] Przedmiot przesądny, czczony przez niektóre afrykańskie plemiona i używany jako urok lub fetysz.
- [7] Bóg z mitologii nordyckiej.
- [8] *Yerbera* (hiszp.) – zielarka.
- [9] *Perdóname* (hiszp.) – Wybacz mi.
- [10] *Woodbine* (ang.) – wiciokrzew.